Czarnek czyściciel • Bój o KRS • Polacy lubią Polskę • Coraz droższa wojna
Cała prawda o integracji sensorycznej • Policjanci na Mustangu • Po co nam złoto?

POLITYKA.PL

POLITYKA

KULTURA+

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 13 (3557), 25.03–31.03.2026
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Zimne łóżka

Szybko przybywa dorosłych Polaków nieuprawiających seksu – wynika z nowych badań

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 13
Wydanie w sprzedaży do 31.03.2026

eprasa.pl/f60/042159

KOLOROWE OBIETNICE NAJNTISÓW

KUP TERAZ

W sprzedaży

132 strony

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl f60e042159

12
Polacy w lustrze

Temat tygodnia

12 Jak się żyje Polakom w Polsce, mówi prof. **Adam Leszczyński**, historyk i socjolog

Polityka

16 Rafał Kalukin **Misja Czarnka**
20 Ewa Siedlecka **Odbijanie KRS**
23 Anna Dąbrowska **Oburzające wyniki audytu w Collegium Humanum**

Społeczeństwo

26 Agnieszka Gierczak-Cywińska **Badania terenowe nad polskim seksem**
30 Marcin Piątek **Mustang w policyjnej stajni**
33 Zbigniew Borek **Reporter POLITYKI na szkoleniach obronnych**
36 Joanna Cieśla **Terapia integracji sensorycznej – czy to działa?**

Rynek

40 Cezary Kowanda **Po co nam rezerwy złota**
43 Marcin Piątek **Spór o budowę centrum danych w podwarszawskich Regułach**

Świat

46 Łukasz Wójcik IRAN **Naród w potrzasku**
50 Agnieszka Lichnerowicz **Sojusz średnich mocarstw**
54 Filip Gańczak NIEMCY **Stare barwy AfD**
56 Tomasz Zalewski USA **Żydowska diaspora wobec wojny**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Andrzej Hołdys **Regulator klimatu – pustynny pył**
62 Agnieszka Krzemińska **Witruwiusz, rzymski inżynier**

Historia

64 Jacek Snopkiewicz **Ten trzeci z celi Moczarskiego**
67 PROSTO Z KSIĄŻKI
68 Joanna Podgórska **Skąd potęga Opus Dei**

KULTURA+

74
- **Wiosenne kalendarium**
- **Niezrealizowane filmy Wajdy**
- **Niezła dawka metalu**
- **Podwójny jubileusz Davisa i Coltrane'a**
- **Filmowa muzyka Lopatina**
- **NOSPR – wspaniała 90-latka**
- **Purcell i Mozart**
- **Gitarzyści wszelkich stylistyk**
- **Musicale o międzywojniu**
- **Literacki wrocławski Silesius**
- **Dynamiczne prace Marii Jaremy**
- **Oniryczne obrazy Jędrzeja Bieńki**

88 Rozmowa z **Tomaszem Lipińskim**, laureatem nagrody specjalnej Kreatora Kultury podczas Paszportów POLITYKI
92 Rozmowa z brazylijskim reżyserem **Kleberem Mendonçą Filho**, autorem nominowanego do Oscara „Tajnego agenta"
96 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

102–105 • **Legendarne trybunki w nowej odsłonie** • **Memiczny Leonardo DiCaprio** • **OZE-sroze** • **Słynne wiedeńskie kawiarnie** • **Podhalańska tiropita**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **70** Afisz • **97** Witkowski • **98** Lis • **99** Sulej
• **100** Mizerski • **100**, **106** Galeria POLITYKI
• **101** Do i od redakcji
• **106** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl f60e042159

Unia wyluzowanych

Bartek Chaciński

W tłumnie oglądanym i widowiskowym nowym filmie „Projekt Hail Mary" jest wiele fantazji: podróże z prędkością światła, kosmiczne mikroorganizmy i zagrażająca Ziemi katastrofa, tu akurat z powodu globalnego ochłodzenia. Ale najbardziej fantastycznym pomysłem wydaje się w tej historii fakt, że planetę ratują współpracujące ze sobą solidarnie rządy wszystkich krajów. A w czasach rozgorzałych konfliktów wojennych, nowego wyścigu zbrojeń i antynaukowych tendencji coraz trudniej uwierzyć w utopię światowego rządu, który słucha uczonych i pracuje na rzecz wspólnego dobra. Tyle że w Europie i tak pewnie łatwiej ją sobie wyobrazić niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie film nakręcono.

Stary Kontynent ma chwilowo niezły wizerunek, odkąd postawił się Amerykanom w kwestii uczestnictwa w „zabezpieczeniu" cieśniny Ormuz – Trump usłyszał głośne „nie" od poszczególnych krajów UE w sprawie przyłączenia się do operacji, a później cichsze „tak" od kilku państw dla działań na rzecz poprawy bezpieczeństwa żeglugi w cieśninie. A ponieważ sama wojna nie ma dobrej prasy, utrwalił się obraz Europy jako spokojnej enklawy, pilnowanej przez Emmanuela Macrona rozprawiającego o atomówkach nad bagietką i kawką albo duńskiej premier Mette Frederiksen, po cichu, ale metodycznie przygotowującej swój kraj na wariant ataku sojusznika z NATO na Grenlandię.

Jeszcze zanim pożegnaliśmy ze smutkiem znanego z kopnięć z półobrotu Chucka Norrisa, znikły gdzieś dowcipy o tym, że gdy tylko Norris wykupił wczasy w Europie, Francja ogłosiła kapitulację (był też o Wyspach Dziewiczych, które po wizycie Norrisa porzuciły drugi człon nazwy). Wizja Ameryki Norrisa kojarzyła się sympatyczniej, ale przeminęła z Trumpem. A im gorszy wizerunek ma ten drugi, tym większe nadzieje pokładamy w Europie, konstatując, że biurokracja i procedury to może jednak mniejsze zło. W sieci oglądamy więc teraz obraz kontynentu idyllicznego, który zamiast śledzić doniesienia o żołnierzach wysyłanych na Bliski Wschód, dyskutuje o bezpieczeństwie swoich turystów, a w weekendy zabawiany jest przez Mind Enterprises: duet włoskich didżejów, leniwie popijających i popalających przy konsoli w promieniach słońca gdzieś nad Morzem Śródziemnym, aktualnych bohaterów świata memów.

Jak na zamówienie Peter Sloterdijk, czołowa postać współczesnej filozofii, opublikował właśnie „Le livre de l'Europe" (Księga Europy) – zwieńczenie cyklu wykładów dla Collège de France. Komentatorów zaskoczył optymizm, z jakim opisuje nasz kontynent jako wspólnotę, która ciągle się uczy, której kreatywność i samokrytyka pozwalają pokonywać różne przeszkody. Bo potrafimy się przyznać do błędu, a nawet odrzucić stare zasady. Sloterdijk nazwał w swojej książce Europę „unią wyluzowanych apostatów".

Nie wiemy, czy filozof słuchał italo disco i przegryzał bagietkę, pisząc tę szeroko dyskutowaną rozprawę, ale wiadomo – z badania przeprowadzonego przez IBRiS dla Instytutu Narutowicza – że i Polacy doceniają swoje miejsce w Europie. Co więcej, „większość Polaków uważa, że bycie w Unii jest patriotyczne". To prawdopodobnie ci, którzy najszybciej poradzili sobie z otwieraniem plastikowych butelek z przytwierdzoną zakrętką (to ta kontynentalna zdolność uczenia się). Co więcej, 74 proc. uczestników badania uważa, że można być polskim patriotą i jednocześnie czuć się częścią wielkiej wspólnoty, np. europejskiej (więcej o tym w rozmowie Ewy Wilk z prof. Adamem Leszczyńskim na s. 12).

Ale są i gorsze informacje. Jedna trzecia Polaków tak się zatraciła w realizacji ambicji życiowych różnego typu (z oglądaniem memów włącznie), że nawet nie wie, czy jest zadowolona ze swojego życia seksualnego, czy nie. Te dane pojawiają się z kolei w tekście Agnieszki Gierczak-Cywińskiej (s. 26). „Żyjemy w trójkątach: ja, ona i smartfon" – pisze autorka, uzupełniając dane o terenowe badania nad polskim seksem. Przeżywamy problemy podobne jak duża część zachodniego świata: mniej ślubów, więcej rozstań, za to „niedobór seksualny" okazuje się bardzo rzadko wybieranym powodem rozwodów.

Jeśli o ślubach mówiło się w tym tygodniu często, to głównie w kontekście małżeństw jednopłciowych. Konkretnie jednego: tego, które zawarli w Berlinie Jakub Cupriak-Trojan i Mateusz Trojan, a chcąc dokonać transkrypcji aktu w Polsce, napotkali problemy: odmówił im warszawski urząd stanu cywilnego, nie wyraził zgody również Wojewódzki Sąd Administracyjny. W końcu Naczelny Sąd Administracyjny zgłosił się z pytaniem do TSUE, europejski trybunał dał odpowiedź, a NSA właśnie nakazał tę odpowiedź wcielić w życie w polskich urzędach (s. 8).

Tym samym stało się coś, co zapowiedziała w grudniu ubiegłego roku Renata Lis na łamach POLITYKI. „Gdybym była prorokiem, powiedziałabym, że będzie tak: cokolwiek Sejm przegłosuje w tej sprawie, przez prezydenta zostanie zawetowane" – pisała nasza felietonistka. „NSA nakaże transkrypcję aktu ślubu Mateusza i Jakuba. A wtedy małżeństwa jednopłciowe, które nie mieszkały za granicą tak długo jak oni, pojadą po swoje transkrypcje do miast, które będą je wydawać wszystkim. Może będzie to Kraków, może Świdnica. I tak się wreszcie dokona ta straszna rewolucja".

I dokonało się. Pod nieobecność części polskich konserwatystów, tych najbardziej histerycznie broniących się przed wyrokiem TSUE – bo ich delegacja ruszyła na Węgry pozować do zdjęć z walczącym w kampanii wyborczej Viktorem Orbánem – z piątku na sobotę nagle zmieniło się oblicze tej ziemi. Konkretnie: sytuacja par jednopłciowych. Żeby się trzymać metafor kosmicznych, jest to może mały krok dla panów Jakuba i Mateusza, za to dla Polski całkiem duży.

eprasa.pl f60e042159

Albatros travel

Albatros 40 lat

Cesarskie miasta Chin

od Placu Niebiańskiego Spokoju po Terakotową Armię

Wybierz się w klasyczną podróż objazdową, podczas której przeszłość spotyka się z teraźniejszością w dwóch najbardziej ikonicznych miastach Chin: Pekinie i Xi'an.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Pekinu. Świątynia Nieba i odpoczynek. **Dz. 3** Pekin. Plac Niebiańskiego Spokoju, Zakazane Miasto i Wzgórze Węgielne. **Dz. 4** Pekin. Wielki Mur Chiński, produkcja pereł, Pałac Letni i opcjonalnie pokaz akrobatyki z kolacją. **Dz. 5** Pekin – Xi'an. Miasteczko olimpijskie i szybki pociąg do Xi'an. **Dz. 6** Xi'an. Armia Terakotowa, Wielki Meczet i teatr tańca z epoki Tang (opcjonalnie). **Dz. 7** Xi'an. Zajęcia Tai Chi na murach miejskich, Wielka Pagoda Dzikiej Gęsi i lokalny targ. Kolacja pożegnalna. **Dz. 8** Xi'an – Pekin. Przejazd szybkim pociągiem do Pekinu, zakupy i kolacja pożegnalna. **Dz. 9** Pekin – Warszawa. Powrót do domu.

3 posiłki dziennie

9 dni
Wyloty z Warszawy
07/11 2026, 06/03 2027

od **7.998,-**

NOWOŚĆ

2 posiłki dziennie

Peloponez – kolebka europejskiej kultury

Bogata historia, niezwykła gościnność i lazurowe morze. Dołącz do naszej wycieczki, pełnej greckiej kultury i odpocznij w urokliwej miejscowości Tolo.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa-Ateny. Krótkie zwiedzanie stolicy Grecji. Przejazd do Tolo. **Dz. 2** Tolo oraz historia wojny trojańskiej podczas wycieczki do Asini. Wprowadzenie do historii Grecji i języka greckiego. **Dz. 3** Pierwsza stolica nowożytnej Grecji – Nafplio. **Dz. 4** Podróż przez historię Grecji, teatr w Epidauros i produkcja oliwy z oliwek. **Dz. 5** Starożytne Mykeny i Lwia Brama. **Dz. 6** Dzień wolny, wieczorem nauka tradycyjnego tańca greckiego. **Dz. 7** Małe wioski Arkadii z obiadem w lokalnej restauracji. **Dz. 8** Wizyta w Atenach i powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 16/05, 03/11 2026 | od **4.798,-**

Pociągiem i statkiem przez norweskie fiordy

Zobacz wspaniałe norweskie fiordy, górskie krajobrazy i fascynujące miasta Norwegii podczas niezwykłych podróży pociągiem oraz rejsów statkiem.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Oslo. Zwiedzanie stolicy Norwegii. **Dz. 2** Przejazd najpiękniejszymi trasami kolejowymi na świecie przez górski płaskowyż Hardangervidda oraz dalej koleją Flåmbanen; rejs po wspaniałych fiordach Aurland. **Dz. 3** Balestrand. Czas wolny i rejs wzdłuż fiordu Sognefjord do Bergen. **Dz. 4** Bergen. Spacer przez starą dzielnicę Bryggen, fantastyczne widoki z Fløibanen i targ rybny Fisketorvet. **Dz. 5** Bergen – Stavanger. Rejs wzdłuż surowego wybrzeża Norwegii z Bergen do Stavanger. **Dz. 6** Stavanger. Zwiedzanie miasta, rejs statkiem po fiordzie Lysefjord. Czas wolny. **Dz. 7** Stavanger – Kristiansand - Drammen. Wycieczka po mieście Kristiansand i pożegnalna kolacja. **Dz. 8** Drammen – Oslo. Powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 21/06, 04/08 2026 | **10.298,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL10**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl f60e042159

KRAJ

ETS: prąd kopie, napięcie rośnie

„My w Unii Europejskiej jesteśmy i będziemy, ale bzdur opłacać nie będziemy. (...) Precz z ETS-em!" – mówił 14 marca w Lubartowie na spotkaniu z mieszkańcami kandydat PiS na premiera **Przemysław Czarnek**. PiS coraz mocniej uderza w UE i proponowane przez nią rozwiązania, a szczególnie głośno wybrzmiewa ostatnio wezwanie do rezygnacji z ETS, czyli funkcjonującego w Unii od 2005 r. Systemu Handlu Uprawnieniami do Emisji – kluczowego instrumentu polityki klimatycznej dla energetyki i dużego przemysłu, zachęcającego do dekarbonizacji. W Lubartowie Czarnek podkreślał, że wysokie rachunki za prąd „zabijają" dziś polskie rodziny, a przyczyną są głównie opłaty ETS. Proponując (niemożliwe w praktyce do wdrożenia bez wyjścia z Unii) rozwiązanie tej sytuacji, zapowiedział projekt ustawy o wycofaniu przepisów wprowadzających ETS z obiegu prawnego.

Zmiany postuluje też Kancelaria Prezydenta, która zasugerowała, by cała Unia zrezygnowała z systemu. A gdyby ta śmiała propozycja okazała się niemożliwa do wdrożenia, doradcy Karola Nawrockiego zaproponowali premierowi szereg reform, o które ich zdaniem powinien zawalczyć w Brukseli. To m.in. czasowe obniżenie ceny uprawnień czy też wykluczenie instytucji finansowych z handlu emisjami.

System ETS stał się więc tematem politycznego sporu w Polsce. Jego reformę, głębszą lub płytszą, proponują praktycznie wszyscy ważni gracze na politycznej scenie. Zmiany w systemie handlu emisjami stały się też głównym tematem zeszłotygodniowego szczytu przywódców w Brukseli, bo sama Komisja Europejska zapowiedziała na ten rok jego rewizję. Na szczycie o polską wizję reformy zabiegał Donald Tusk, który zebrał poparcie dziewięciu innych państw członkowskich i w liście do Ursuli von der Leyen wezwał KE do „gruntownego przeglądu" ETS – w tym m.in. do przedłużenia obowiązywania bezpłatnych uprawnień do emisji dwutlenku węgla poza 2034 r. oraz złagodzenia tempa ich wycofywania od 2028 r. Rząd chce zmian i rewizji, ale nie rezygnacji z ETS. Nie tylko dlatego, że na rezygnację Unia się nie zgodzi. System istotnie wzmacnia nasz krajowy budżet – sam rząd szacuje, że w latach 2026–30 ma przynosić 18–20 mld zł rocznie.

Na unijnym szczycie Tuskowi udało się osiągnąć w sumie sporo. Rada zgodziła się na korekty w systemie, które w krótkim terminie uspokoją wzrost cen prądu, a także na uwzględnienie w tych zmianach specyfiki poszczególnych krajów. Już samo to jest uznawane za zmianę sposobu myślenia i daje perspektywę na kolejne kroki w celu łagodzenia celów polityki klimatycznej Unii. Na dobre i na złe. JS

© ROBERT KOWALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, VITALIY KRIUCHKOV/SHUTTERSTOCK

Halo, szkoła? Nie, pomyłka!

Skrajnie różne emocje budzi zapowiedziany przez ministrę edukacji narodowej Barbarę Nowacką zakaz używania smartfonów w szkołach podstawowych. Jak ogłosiła szefowa Ministerstwa Edukacji Narodowej na konferencji w Olsztynie, taka regulacja zacznie obowiązywać już od września. Polityczka wyjaśniała, że praca nad tym przepisem – który początkowo miał być częścią projektu poselskiego ograniczającego dostęp dzieci poniżej 15. roku życia do social mediów – została przyspieszona po rozmowie z premierem Donaldem Tuskiem.

Wśród nauczycieli i rodziców przeplatają się głosy w tonie „wreszcie jakaś dobra decyzja MEN" z opiniami, że pomysł jest absurdalny i „za chwilę i tak zostanie wycofany". W ankiecie branżowego serwisu „Strefa edukacji" 60 proc. uczestników oceniło ruch jako dobry. Jednak egzekwowanie zakazu na pewno będzie wyzwaniem. Już teraz idzie to bardzo różnie w szkołach, które oddolnie go wprowadziły – jest ich mniej więcej połowa w skali kraju. Chodzi o to, że jeśli uczeń korzysta z telefonu i nie chce przestać, nauczyciel nie może mu zabrać urządzenia, bo to własność prywatna. A ministra Nowacka zapowiedziała, że szczegółowych przepisów w sprawie egzekwowania zakazu nie wyda, bo nie chce naruszać autonomii szkół. Do tego szefowa MEN przewiduje wiele wyjątków od zakazu, m.in. dopuszczenie korzystania z telefonów w procesie dydaktycznym czy wtedy, gdy zachodzi potrzeba utrzymania kontaktu rodziców z dzieckiem z przyczyn zdrowotnych. A ta kategoria może się okazać bardzo pojemna.

Podejście władz do technologii w życiu dzieci oraz w pracy placówek oświatowych jest cokolwiek chwiejne. Na przykład w pierwotnym projekcie nowej podstawy programowej edukacji przedszkolnej wpisano zakaz korzystania z cyfrowych urządzeń ekranowych. W kolejnej wersji przepis jednak złagodzono, jak tłumaczy MEN, pod wpływem pytań nauczycieli o tablice interaktywne kupione w ramach projektów unijnych. Grupa ekspertów od edukacji przedszkolnej (naukowców i działaczy) wysłała do premiera list z apelem m.in. o utrzymanie zakazu technologii ekranowych. Autorzy popierają swoje argumenty licznymi odwołaniami do badań naukowych, z których jasno wynika, że wczesny kontakt mózgu z ekranami ogranicza rozwój funkcji poznawczych, takich jak koncentracja uwagi. W tle tych dyskusji pojawiły się medialne pogłoski, że Tusk planuje dymisję kierownictwa resortu, m.in. za brak stanowczości. Kłopot w tym, że stanowczość ogólnie nie jest mocną stroną rządu i nawet w odniesieniu do MEN nie wiadomo już, przy których rozwiązaniach byłaby oczekiwana. J.CIEŚL.

eprasa.pl f60e042159

Metoda na „PiS light”

Karolina Lewicka
Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Nie wiem, jakie poglądy ma Mateusz Morawiecki. Niewykluczone, że nie ma żadnych, będąc jedynie klasycznym przypadkiem „spoconego mężczyzny w pogoni za władzą”, który mówi to, co w danej chwili przybliża go do tego celu. Obecnie przebrał się za polityka umiarkowanego, choć nie tak dawno temu stwarzał się na obraz i podobieństwo głównego lokatora Nowogrodzkiej, będąc chwilami większym rojalistą od króla. I jeśli walczył z ziobrystami, to tylko o wpływy, a jeśli krytykował ich „reformę” wymiaru sprawiedliwości, to nie dlatego, że upolityczniała sądownictwo, to akurat mu nie przeszkadzało, ale że – jego zdaniem – odbijało się to negatywnie na notowaniach partii.

Teraz, to nowość, były premier próbuje łączyć wodę z ogniem, czyli dawny technokratyczny sznyt (będący rodzajem autokreacji) z kontynuacją ideologicznego zacietrzewienia. Wraz z raportem „Powered by Poland” powrócił bowiem Morawiecki „od gospodarki”, znany już z 2016 r. jako twórca Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, która gdzieś tam się jeszcze pewnie kurzy. Z drugiej strony nie podstawia nogi, jeśli chodzi o partyjny przekaz, a tu ton nadaje kandydat Czarnek. Mówi więc Morawiecki o ETS czy OZE mniej więcej to samo i nawet podobnym językiem, choć w jego programie panele fotowoltaiczne nie zioną piekielnym ogniem. Ale że wstydu brak, to półprawdy, kłamstwa i wierutne bzdury gładko przechodzą mu przez gardło, jak to ongiś przecież wielokrotnie bywało.

Jednocześnie „harcerze” rozpoczęli eseistyczną ofensywę. Oto Łukasz Schreiber ręce łamie nad upadkiem naszej debaty publicznej, biada nad inwektywami typu „zdrajca” lub „sługus Niemiec”. Sprawdzam, czy poseł nadal należy do PiS – owszem. Ale że na złe czasy potrzeba mężów stanu, takowego Schreiber dostrzega, anonsując go na portalu wszystkoconajwazniejsze.pl jako „najpopularniejszego premiera po 1989 r., teraz w opozycji, który zdaje się bardziej myśleć o przyszłych pokoleniach, nie tylko o sondażach (…), psując dobre samopoczucie politykierom skupionym na knuciu i swoich małych intrygach”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że cały tekst powstał dla dwóch powyższych zdań. Jest też link do innego artykułu, tym razem byłego szefa dyplomacji w dwutygodniowym rządzie Morawieckiego, Szymona Szynkowskiego vel Sęka, postponującego polityczne „freak fighty” oraz walkę na „zasięgi”, za to wyrażającego zapotrzebowanie na profesjonalistów, którzy „zaprezentują strategię dla Polski na lata (…) wojowników idei”. Nazwisko samo ciśnie się na usta.

Morawiecki na radykalnej flance PiS nie ma teraz czego szukać, bo tę zawłaszczyli politycy dawnej Suwerennej Polski. Inne są czasy, potrzeba innych ludzi – uznał prezes Kaczyński. Jeśli jednak nie uda się odbudować poparcia za pomocą prostackich okrzyków i rubasznego stylu Czarnka, zawsze może wrócić metoda na „PiS light”. A tam będzie już czekał Morawiecki o łagodnym obliczu krzątającego się po polskim obejściu ekonoma, marzący o odegraniu dwóch głównych ról: premiera i prezesa PiS.

REKLAMA

Nowa gra Skojarzenia

Łączysz fakty? Sprawdź się

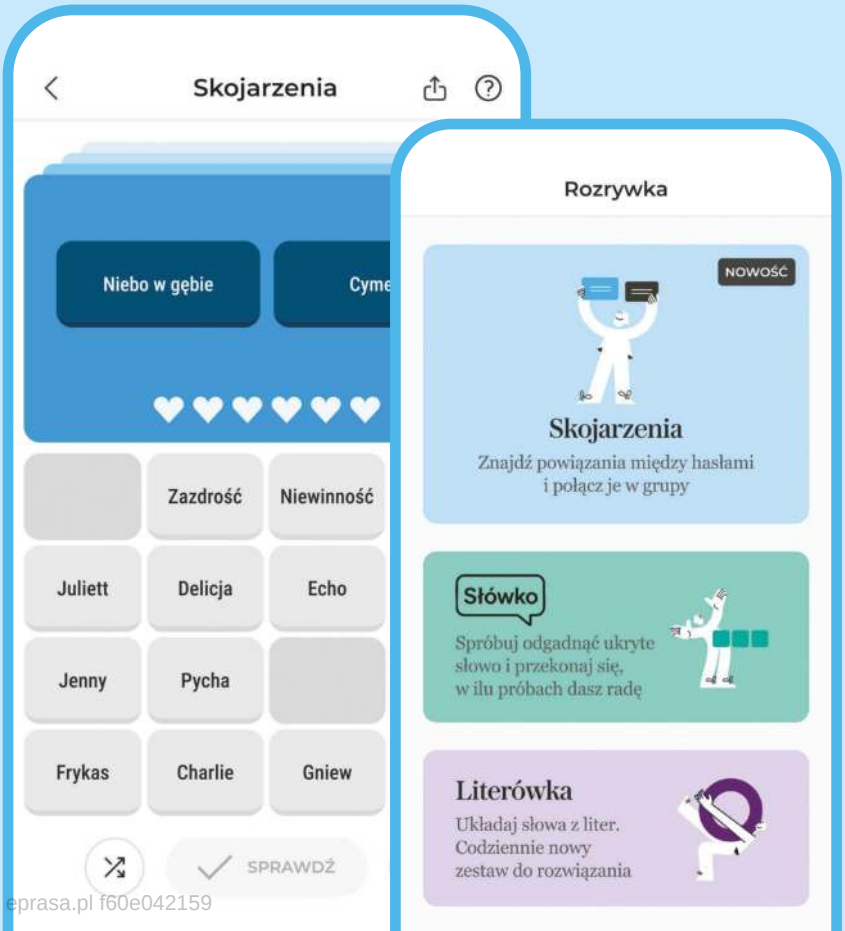

Graj za darmo w APLIKACJI WYBORCZEJ

eprasa.pl f60e042159

Czas na równość małżeńską

Naczelny Sąd Administracyjny orzekł, że urzędnicy stanu cywilnego mają obowiązek dokonywać transkrypcji małżeństw jednopłciowych. Wyrok zapadł w ostatni piątek ku rozpaczy prawicy, przy aplauzie sali i całej społeczności LGBT+. Sędziowie Leszek Kiermaszek (sprawozdawca), Mirosław Gdesz i Marzenna Linska-Wawrzon symbolicznie zapisali się w historii. Batalia trwała długo. **Jakub Cupriak-Trojan i Mateusz Trojan**, którym ten wyrok Polska zawdzięcza, zawarli ślub w Berlinie w 2018 r. Wnioskowali o transkrypcję dokumentów w Warszawie, ale urząd stanu cywilnego im odmówił, bo polskie prawo nie uznaje małżeństw jednej płci. Trojanowie zaskarżyli tę decyzję do wojewody, który ją podtrzymał, więc skierowali się do wojewódzkiego sądu administracyjnego, który sprawę oddalił.

Polskie sądy nie chciały słać w tej sprawie pytań prejudycjalnych do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Zrobił to dopiero NSA. Jesienią 2025 r. TSUE orzekł, że odmowa rejestracji związków jednej płci narusza unijną zasadę swobody przepływu osób i obywatelstwa, wynikającą wprost z Karty praw podstawowych. NSA ten wyrok wykonał 20 marca 2026 r. USC ma 30 dni, by wpisać ślub Trojanów do akt.

– *Sądzę, że możemy się teraz w Polsce spodziewać serii wniosków transkrypcyjnych* – mówi Annamaria Linczowska, koordynatorka ds. rzecznictwa i działań prawnych z Kampanii przeciw Homofobii. – *Pytanie, jak zachowają się urzędy, gdy po wpis do akt zgłosi się para spoza UE. Kolejna ważna kwestia to faktyczny wymiar tej transkrypcji. Czy pary osób tej samej płci będą mogły ubiegać się o zwolnienie od podatku od darowizny? Co z ubezpieczeniami społecznymi, zdrowotnymi? Co z rozwodami? Myślę, że wiele ciekawych procesów przed nami. Będziemy to monitorować i wspierać.*

Sędzia Kiermaszek podkreślił, że art. 18 konstytucji (małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny) nie wyklucza uznania, poszanowania i ochrony związków jednej płci. Tylko że system teleinformatyczny oparty na numerach PESEL może nie przyjąć danych osób tej samej płci. W resorcie cyfryzacji czeka rozporządzenie do ustawy o aktach stanu cywilnego (w dokumentach mają występować „małżonek 1" i „małżonek 2"), wyrok NSA może zadziałać motywująco. Zalecenia dla USC powinny wyjść z MSWiA, a jego szef Marcin Kierwiński, podobnie jak ludowcy, obawia się „turystyki ślubnej" i „weekendowych małżeństw". Europejski Trybunał Praw Człowieka w marcu już trzeci raz wezwał polski rząd do uregulowania statusu par jednej płci. Wyrok NSA to ważny krok naprzód. Następne będą pewnie związki partnerskie, projekt tak ogryziony, że nie zawiera nawet słów „związek partnerski". Ale to nadal lepsze niż nic. AŻ

800 minus

Znamy liczbę osób, które nie pobierają świadczenia 800 plus, choć mają do tego prawo. Jest ich aż 238,4 tys. Oznacza to, że Skarb Państwa co miesiąc oszczędza na nich ponad 190 mln zł. Całkiem sporo. Metodologia ustalenia tej danej jest prosta. Zakład Ubezpieczeń Społecznych oszacował obywateli w wieku 0–17 lat (6,6 mln osób), a następnie nałożył te dane na osoby, które w grudniu 2025 r. pobrały świadczenie (6,361 mln osób). I właściwie tutaj kończy się urzędowa wiedza, bo instytucja nie ma uprawnień, żeby pytać, kto i dlaczego nie zgłasza się po należne mu pieniądze. ZUS nie miał również okazji robić tego typu badania.

Są jednak przesłanki, które mogą wytłumaczyć tę dosyć wysoką liczbę. Po pierwsze, świadczenie nie jest wypłacane automatycznie. Należy o nie co jakiś czas aplikować. Nie każdy o tym pamięta. Zdarzało się, że między jednym okresem aplikacyjnym a kolejnym wniosków nie złożyło w terminie nawet 2 mln osób. Kolejna sprawa to droga, jaką należy składać wnioski – tylko elektroniczna. Nie każdy potrafi sobie z tym poradzić. ZUS zapewnia pomoc w swoich placówkach, ale przecież nie w każdej miejscowości taką placówkę znajdziemy.

Są również przesłanki szczególne. Jeśli osoba poniżej 18. roku życia zajdzie w ciążę i zaaplikuje o 800 plus na własne dziecko, to z automatu traci prawa do pobierania 800 plus na swoje konto. Podobnie z osobami, które przed 18. rokiem życia weszły w związek małżeński. Świadczenia nie mogą również pobierać nieletni przebywający w zakładach wychowawczych, ale również w niektórych szkołach wojskowych, gdzie zapewnia się pełne wyposażenie i żołd. Na końcu listy są osoby świadomie rezygnujące z pobierania świadczenia. Jak wynika z badań opinii społecznej, w których pytano o partycypację w tym programie, odsetek ten był marginalny. Rezygnację deklarowały głównie osoby bardzo zamożne. Nie wiadomo jednak, czy te deklaracje przekładały się na realia.

Rząd ma jeszcze naturalnego sprzymierzeńca w tej kwestii – to demografia. Co roku liczba uprawnionych spada o ok. 170–200 tys., bo z roku na rok rodzi się mniej dzieci. Rządzących może to jednak cieszyć tylko w bliskiej perspektywie, bo dla gospodarki takie ubytki w ludności są mordercze. Zwłaszcza w kontekście emerytur i dysproporcji osób pobierających emerytury i na nie zarabiających. Nowy okres świadczeniowy z tytułu 800 plus zaczyna się od 1 czerwca. Już można składać wnioski. Chyba że ktoś chciałby świadomie zrezygnować. JULL

© PLATFORMA X, DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

eprasa.pl f60e042159

RAINBOW

R.pl

CZYM JEST OBJAZD 7+7?

- **Tydzień zwiedzania i tydzień odpoczynku**
  po objeździe wypoczniesz w wybranym hotelu
- **Bilety, hotele, wejściówki**
  wszystko zorganizujemy za Ciebie
- **Polskojęzyczni, doświadczeni piloci**
  pokażemy Ci najpiękniejsze trasy i miejsca

DLA MNIE OBJAZD 7+7

eprasa.pl f60e042159

Strażnicy Rewolucji w cieśninie Ormuz

Wet za wet

Amerykanie szykują się do lądowej inwazji w pobliżu cieśniny Ormuz, Izraelczycy – w Libanie, Iran strzela na 4 tys. km, a wojna trwa już prawie miesiąc.

Amerykanie gromadzą w regionie siły lądowe, głównie *marines*, którzy w sile 2,5 tys. mają dopłynąć na miejsce w tym tygodniu. Dwa kolejne, równie liczne, transporty są w drodze. Celem lądowej inwazji może być irańska wyspa Chark w północnej części Zatoki Perskiej. Na początku ubiegłego tygodnia Amerykanie zniszczyli tam systemy wojskowe, nie ruszając jednak instalacji naftowych i gazowych w obawie o światowe ceny paliw – przez Chark przechodzi 90 proc. eksportowanych przez Iran węglowodorów.

Kontrola nad Chark może się okazać niezbędna do odblokowania cieśniny Ormuz. A to wydaje się kluczowe dla losów całej wojny. Irańczycy, którzy według części mediów potajemnie minują to przejście między Zatoką Perską i Oceanem Indyjskim, nadal grożą zatopieniem każdej przepływającej jednostki. Robią jednak kolejne wyjątki, m.in. dla statków indyjskich, a ostatnio japońskich. Jednocześnie, w obliczu cen ropy naftowej, które przebiły już 113 dol. za baryłkę Brent, Donald Trump zniósł część sankcji na kraje, które wcześniej kupowały irańską ropę.

Trudno będzie jednak prezydentowi USA ogłosić zwycięstwo i wycofać się z wojny, jeśli Ormuz pozostanie zablokowany. Dlatego Trump w ostatnich dniach najpierw wezwał sojuszników z NATO, aby pomogli zabezpieczyć cieśninę, a gdy odmówili, nazwał ich (nas) tchórzami i oświadczył, że Ameryka sama sobie poradzi. W piątek zapowiedział, że będzie „wygaszał wojnę", nawet bez odblokowania Ormuzu, ale już w sobotę wieczorem zapowiedział, że jeśli Irańczycy nie odblokują cieśniny w ciągu 48 godzin (minęły już po zamknięciu tego numeru POLITYKI), zniszczy wszystkie ważne elektrownie w Iranie, na co Teheran odpowiedział, że… zniszczy wszystkie ważne elektrownie w krajach Zatoki Perskiej. W poniedziałek Trump odwołał jednak i tę groźbę, powołując się na udane rozmowy z Irańczykami, którzy – jak pokazały ostatnie dni – wciąż potrafią uderzyć.

Najpierw zaatakowali brytyjską bazę na wyspie Diego Garcia pośrodku Oceanu Indyjskiego, 4 tys. km od własnego terytorium. Baza ta ma kluczowe znaczenie dla Amerykanów – startują stamtąd bombowce strategiczne oraz samoloty tankowce. Co prawda, dwie irańskie rakiety balistyczne niczego nie uszkodziły (jedna spadła do morza, drugą zestrzeliła obrona), ale zaskakuje sam fakt, że Irańczycy po czterech tygodniach wojny wciąż mają takie możliwości.

Drugi zaskakujący kierunek irańskich ataków to Izrael. Panuje tam restrykcyjna blokada informacyjna, ale według niepotwierdzonych informacji irańskie pociski miały spaść w pobliżu izraelskiego kompleksu nuklearnego Dimona, a także kilkakrotnie przeciąć niebo nad Starym Miastem w Jerozolimie. Zdaniem części ekspertów to nie dowód na brak celności irańskiej broni, lecz raczej ostrzeżenie.

Sam Izrael wywołał niezadowolenie w Waszyngtonie atakiem na Południowy Pars, największe na świecie irańsko-katarskie pole gazowe, mimo że wcześniej Trump publicznie przestrzegał sojuszników przed celowaniem w instalacje gazowe w obawie przed dalszym wzrostem cen tego surowca. Wkrótce potem Iran w odwecie zaatakował zakłady skraplania gazu w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. To ważne na poziomie symbolicznym, bo od początku wojny toczonej z różną intensywnością nie było jeszcze takiego dużego ataku amerykańsko-izraelskiego, na który Iran by nie odpowiedział.

Izraelska ofensywa w Libanie nie wywołuje już takich zastrzeżeń Amerykanów. Po tym, jak 2 marca Hezbollah w ramach solidarności z zaatakowanym Iranem sam wystrzelił kilka pocisków w kierunku Izraela, premier Beniamin Netanjahu zarządził szybkie kontruderzenie i przygotowania do dużej inwazji w południowym Libanie – siódmej od 1978 r. Tym razem ma ona przekroczyć linię rzeki Litani, co już wywołało masową ucieczkę Libańczyków, głównie szyitów, na północ – ponad milion z nich musiało opuścić domy.

Izraelowi na razie sprzyja sytuacja w Bejrucie, gdzie u władzy jest kilku proamerykańskich polityków – w ostatnich tygodniach rozpoczęli nawet częściowe rozbrajanie Hezbollahu. W dodatku opinia publiczna obwinia Hezbollah za katastrofalne dla kraju skutki ostatniej wojny z Izraelem, która wybuchła po ataku Hamasu z października 2023 r. To się może jednak zmienić, jeśli izraelska ofensywa będzie postępować.

Wojna z Iranem zaczyna być droga. Przed weekendem Pentagon wystąpił do Kongresu o dodatkowe 200 mld dol. Sekretarz wojny Pete Hegseth przekonywał, „że do walki ze złoczyńcami potrzebne są pieniądze". Suma ta wywołuje jednak wątpliwości nie tylko wśród Demokratów. Szczególnie że regularny budżet Pentagonu w tym roku przekroczy 1 bln dol. Według oficjalnych danych Pentagonu pierwsze sześć dni wojny kosztowało USA 11 mld dol. Niezależni eksperci twierdzą, że w tych dniach rachunek przekroczy 30 mld. A to niejedyne koszty. 31 marca Trump miał rozpocząć czterodniową wizytę w Chinach, ale zapowiedział już, że ją przełoży z powodu wojny. Dominuje opinia, że prezydent USA chciał pojechać do Pekinu jako zwycięzca ajatollahów, co poprawiłoby jego pozycję negocjacyjną w sprawie amerykańsko-chińskiej umowy handlowej. Ajatollahowie jednak nie przegrywają.

ŁUKASZ WÓJCIK

© MORTEZA NIKOUBAZL/NURPHOTO/GETTY IMAGES, ERNESTO MASTRASCUSA/EPA/PAP, KENZO TRIBOUILLARD/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f60e042159

Francja się przechyla

Sojusze umiarkowanych centrowych i lewicowych partii utrzymały przewagę w wyborach samorządowych w największych francuskich miastach. Merem Paryża został kandydat lewicowej koalicji **Emmanuel Grégoire**, jednak z niewielką większością. Siły skrajne zdobyły silniejsze pozycje na prowincji. Europejscy partnerzy Francji w wynikach tamtejszych wyborów samorządowych szukają prognoz na przyszły 2027 r., kiedy już w maju Francuzi wybiorą następcę prezydenta Emmanuela Macrona. Będzie to miało – jak w Polsce – ogromny wpływ na kierunek rozwoju i los Unii Europejskiej. Szklanka do połowy pełna czy pusta? Francja przechyla się ku skrajnościom – zarówno prawicowe Zgrupowanie Narodowe Marine Le Pen, jak i Francja Niepokorna lewaka Jeana-Luca Mélenchona zdobyły w terenie nowe przyczółki: nie tak wielkie, na jakie liczyły, twierdzą jednak, że mają szanse sięgnąć po prawdziwą władzę. Marine Le Pen liczy na to, że sąd apelacyjny – przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi – zmieni jej wyrok zakazujący pełnienia funkcji publicznych. Jeśli nie, poprze swego młodego delfina, 30-letniego Jordana Bardellę.

Umiarkowani komentatorzy z centrum ostrzegają zwłaszcza przed Mélenchonem, który nasila wypowiedzi antysemickie, zaognia każdą debatę, lansując absurdy ekonomiczne i podatkowe. Spod jego wpływów nie umie się wyzwolić niegdyś potężna Partia Socjalistyczna. Wielu jej działaczy, tłumacząc, że trzeba bezwzględnie zagrodzić drogę skrajnej prawicy, dopuszcza lokalne sojusze z Mélenchonem. Taka postawa to coś pomiędzy syndromem sztokholmskim a naiwnością Czerwonego Kapturka – kpią komentatorzy.

Za sukces sił proeuropejskich można uznać wyraźne zwycięstwo Édouarda Philippe'a, byłego premiera Francji w latach 2017–20, który – choć wybrany przez prezydenta Macrona – ostro go skrytykował i założył własną partię Horyzonty. Teraz wygrał w normandzkim porcie Hawr i zamierza przewodzić budowanej koalicji centroprawicy, która ma przeciwstawić się skrajnościom. Oczywiście nie wszyscy umiarkowani go popierają, ale dziś wydaje się jedyną nadzieją. Komentator tygodnika „Le Point" powołuje się na zdesperowanego doradcę z Pałacu Elizejskiego, który rzucił hasło: „Jeśli przeciw Bardelli i Mélenchonowi kandydatem obozu umiarkowanego zostanie wazon, będziemy głosować na wazon!". Z drugiej strony wybory samorządowe dowodzą pewnego zmęczenia Francuzów sprawami publicznymi. Frekwencja była słaba: 57 proc., choć przedtem kształtowała się zwykle w granicach 65 proc.

Hotel Kuba?

Co się stanie z Kubą? „Wierzę, że będę miał zaszczyt ją przejąć" – ogłosił w połowie marca Donald Trump, nie wdając się w szczegóły. Z kolei prezydent Miguel Díaz-Canel (jednocześnie gensek rządzącej partii komunistycznej) przyznał, po tygodniach zaprzeczeń, że prowadzone są rozmowy z Waszyngtonem. Według licznych spekulacji ćwiczony jest wariant wenezuelski: odsunąć od władzy przywódcę i przekabacić system na amerykańską stronę. Słowem, poszukiwany jest odpowiednik uległej Delcy Rodríguez (wiceprezydentki Wenezueli u boku Nicolása Maduro, która po jego uprowadzeniu przejęła stery). Dzięki takiej transformacji można ogłosić sukces prawie bezkosztowo (co w dniach operacji irańskiej ma szczególne znaczenie), pozostawiając jednak na miejscu prawie nietknięty opresyjny i niewydolny system władzy.

Czy tą nową kubańską nadzieją byłby wicepremier **Óscar Pérez-Oliva Fraga**, blisko skoligacony z Fidelem i Raulem Castro, który firmuje ogłoszoną właśnie reformę umożliwiającą amerykańskim firmom i diasporze inwestowanie w licznych sektorach gospodarki? Zapowiedział też uwolnienie 51 więźniów politycznych, za kratami pozostanie ponad tysiąc. Kiedy to ogłaszał w telewizji, siadł na całej wyspie prąd, więc niewielu Kubańczyków mogło poznać tę nowinę. Wyłączenia są coraz dłuższe, bo brakuje ropy naftowej (przestała płynąć z Wenezueli, a potem z Meksyku), a bez niej nie ma prądu, benzyny na stacjach ani wody w kranach. Brakuje już prawie wszystkiego, pada rolnictwo, stanęła produkcja, załamała się turystyka i – pod naciskami Trumpa – eksport kubańskiej kadry medycznej, ostatniego źródła twardych walut.

Kubańczycy głosują nogami: od 2021 r. wyjechało 2,6 mln, głównie młodych, a każde poluzowanie wywołałoby nową falę imigracji; na Florydę jest stąd 145 km. Ma to przećwiczone sekretarz stanu Marco Rubio, syn kubańskich imigrantów, który zbudował popularność na ostrej antycastrowskiej retoryce. „Kuba musi się zmienić, ale nie musi zmienić się od razu" – komentował teraz nieoczekiwanie po rozmowach, w których uczestniczył kolejny Castro, wnuk Raúla, być może następny kandydat na przejściowego lidera. Jego 94-letni dziadek – brat i współtowarzysz zmarłego w 2016 r. Fidela – stoi na czele rodzinnego klanu i pociąga za sznurki w silnie zakorzenionej kubańskiej kleptokracji. Mieliby pozostać w systemie?

Kuba to nie Wenezuela, nie ma ropy, lecz ma biznes turystyczny, łakomy kąsek dla inwestorów. Ale tu akurat okopało się wojsko i służby. Czy to się w ogóle może udać bez reform politycznych? Czy to jest sposób na stopniową pokojową zmianę systemu? Czy to jest prawdziwy scenariusz, czy tylko mydlenie oczu, a zadecyduje naga siła? I co z blisko dwumilionową kubańską diasporą, żelaznym elektoratem Republikanów, jej utraconym na wyspie majątkiem i żądzą odwetu? Kuba, która w ostatnią sobotę znów pogrążyła się w ciemnościach, staje się jednym wielkim znakiem zapytania.

eprasa.pl f60e042159

Polska kocha Polskę

Rozmowa z prof. Adamem Leszczyńskim, historykiem i socjologiem, o tym, jak się świetnie sami oceniamy, choć rządzących już gorzej. I o innych wnioskach z badania IBRIS zrealizowanego na zlecenie Instytutu Narutowicza.

EWA WILK: **– Jeśli chce mi pan powiedzieć, że Polacy uważają swój kraj za najlepszy na świecie do życia, to nie uwierzę.**

ADAM LESZCZYŃSKI: – Ale tak jest. Blisko połowa Polek i Polaków jest przekonanych, że Polska jest absolutnie najlepszym krajem do życia na świecie. To jest fascynujące. Prawie 10 lat temu napisałem książkę „No dno po prostu jest Polska. Dlaczego Polacy tak bardzo nie lubią swojego kraju i innych Polaków". Tytuł to cytat z wpisu na forum internetowym, a książka – napisana na podstawie literatury i publicystyki, była o narodowych kompleksach i bardzo negatywnym wyobrażeniu, jakie

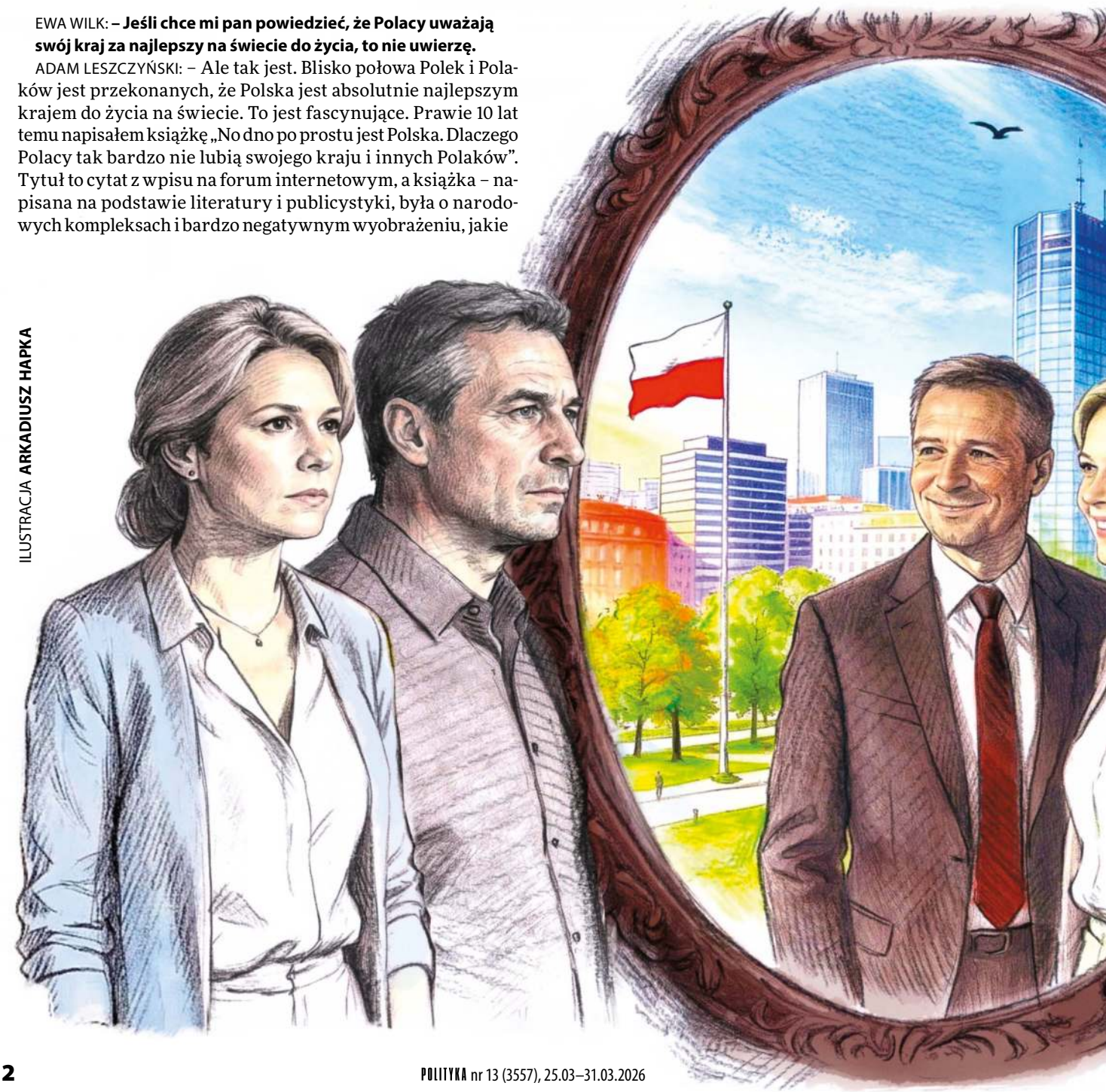

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

eprasa.pl f60e042159

Prof. dr hab. **Adam Leszczyński** jest dyrektorem Instytutu Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza i wykładowcą na Uniwersytecie SWPS. Przez wiele lat był publicystą „Gazety Wyborczej"; współzakładał OKO.press; publikował w najpoważniejszych periodykach, pisząc jednocześnie poczytne książki o walorach naukowych, jak np. „Ludowa historia Polski". Jest jednym z pierwszych stypendystów – laureatów Nagrody Naukowej POLITYKI (2001 r.).

Polacy mieli o sobie. Z badań przeprowadzonych w grudniu 2025 r. (IBRiS dla Instytutu Narutowicza) na reprezentatywnej próbie 3 tys. osób, które teraz analizujemy, wynika, że doszło do zasadniczej zmiany w tym, jak Polacy postrzegają siebie i swoją wspólnotę. Jesteśmy już po etapie wstawania z kolan. Wstaliśmy.

Patriotami to my zawsze byliśmy. Jeszcze nasilił nam się ten afekt?

Wyraźnie i radykalnie zmienia się to, jak Polacy myślą o swoim patriotyzmie i przywiązaniu do ojczyzny. Niezależnie od tego patriotyzm jest absolutną normą społeczną w Polsce. Nasi respondenci oceniali siebie pod tym względem na skali od 1 do 10. Praktycznie nikt nie wybrał mniej niż 5, średnia przekroczyła 7. Za tą deklaracją kryją się jednak różne postawy.

Pan to nazywa normą, ja raczej zbiorowym przymusem. Powiedziałam kiedyś dla ożywienia okoliczności towarzyskich, że skoro los wyznaczył mi taki, a nie inny dom, to muszę o niego dbać i go bronić, ale bez miłosnych uniesień. Ależ mi spuszczono lanie!

Myślę, że widzi to pani jako przymus, ponieważ konfrontuje się stale z innym modelem patriotyzmu niż ten, który sama wyznaje. Gdyż sposobów na bycie patriotą jest w Polsce przynajmniej kilka, z czego dwa dominują. Pierwszy – konserwatywno-prawicowy, postromantyczny – związany jest z symbolami, męczeństwem, cierpieniem, często poczuciem zbiorowego niedocenienia. Wyznają go przede wszystkim ludzie starsi, gorzej wykształceni, mieszkający w mniejszych miastach i na wsi, głównie wyborcy PiS i Konfederacji.

Przepraszam, żadne to odkrycie. Ogólna popularność partii prawicowych nie wróży mu chyba uwiądu. Czy obserwuje pan tu jednak jakiś ubytek?

Wyraźnie jest to model odchodzący do przeszłości. Wykształcił się on w odpowiedzi na historyczne traumy, które społeczeństwo polskie przechodziło w czasie zaborów, przegranych powstań, okupacji. Akcentuje on rolę cierpienia, kult bohaterstwa daremnego, często emanuje poczuciem niedocenienia. Osoby go wyznające twierdzą często, że jesteśmy wspaniałym narodem, tylko świat tego nie widzi. W młodszych pokoleniach wyraźnie rzadziej się on pojawia, co nie znaczy, że w ogóle zanika.

Czy to się nie kłóci ze stosunkowo licznym udziałem młodych w skrajnych ugrupowaniach konserwatywno-nacjonalistycznych?

Jak mówiłem, to nadal jeden z dominujących wzorców patriotyzmu – dotyczy ok. 30 proc. naszego społeczeństwa. Ale drugi model jest wyraźnie na fali wznoszącej. Opiera się on na poczuciu indywidualnego i zbiorowego sukcesu, satysfakcji i zadowolenia. Wynika z przekonania, że Polsce się udało, Polacy sobie radzą, a za granicą często jest gorzej niż w Polsce. Ten model też często cechuje osoby starsze, ale te wielkomiejskie, ▶

Przekonania na temat patriotyzmu: TOP 10

W jakim stopniu zgadza się Pan/Pani z poniższymi stwierdzeniami? (w proc.)

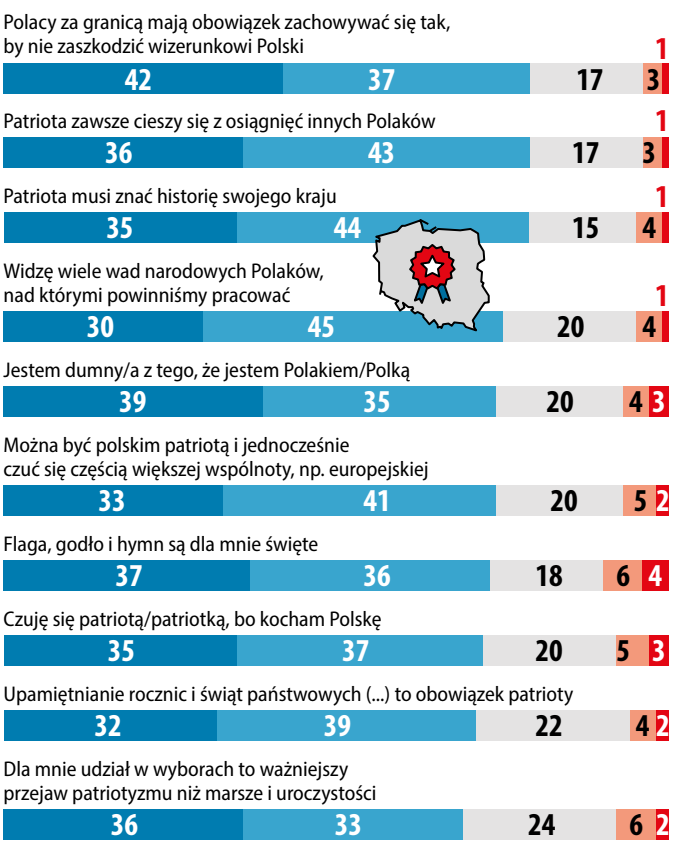

© LECH MAZURCZYK, WSZECHNICA FWW/WIKIPEDIA

eprasa.pl f60e042159

Kolektywny narcyzm: Polacy o sobie

Proszę pomyśleć o Polakach jako grupie. Na ile zgadza się Pan/i z poniższymi stwierdzeniami? (w proc.)

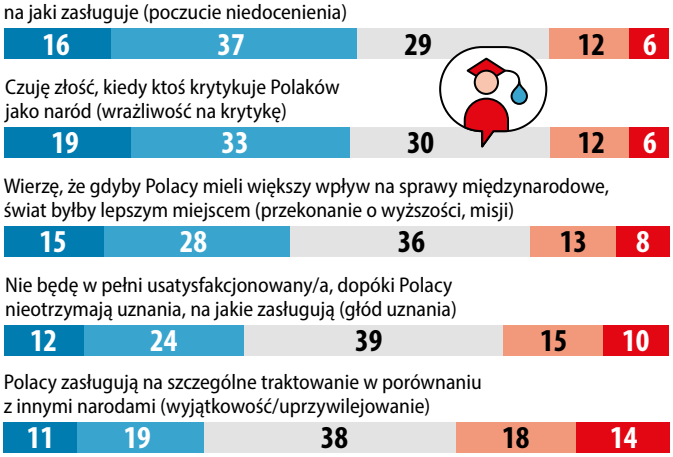

▶ lepiej wykształcone, wyborców Koalicji Obywatelskiej i częściowo Lewicy. To osoby, które dorabiały się przez całe życie, mają ustabilizowane kariery. Młodzi ludzie są tu dużo bardziej sceptyczni, temperatura ich uczuć jest nieco niższa.

Ważne, że wyznawcy jednego i drugiego modelu identyfikują się jako patrioci niemal identycznie wysoko. Poziom emocji jest po obu stronach podobny.

A najbardziej fascynujące jest to, jak poczucie, że w Polsce ludziom się żyje coraz lepiej, przekłada się na ocenę całej wspólnoty i własnego przywiązania do ojczyzny.

Zdecydowaną nowością są odpowiedzi na pytanie, jaki jest typowy Polak czy Polka; jaki ma charakter. 66 proc. respondentów wskazało pewność siebie. 62 proc. przypisuje nam ambicję. Na zaradność wskazuje 62 proc. Na stanowczość, umiejętność postawienia się – 60 proc. I aż 79 proc. – na realizm. W klasycznym modelu polski patriota był straceńcem, marzycielem, fantastą; szarżował z szablą na czołgi. Dziś ambicja, realizm, ciężka praca to są przekonania, postawy i wartości, do których ludzie nie tylko aspirują, ale coś, co – jak większość nas uważa – Polaków wyróżnia jako zbiorowość.

Kwestię tzw. narodowych wad też państwo badali?

Wyszło nam np., że Polacy uważają, że radzą sobie, ale raczej samodzielnie – słabsze jest przekonanie o solidarności zbiorowej, o sile wspólnoty.

Weźmy przywary, nad którymi biadoliliśmy przez lata: zawiść, egoizm, niski poziom zaufania społecznego.

Polacy byli dotąd raczej społeczeństwem o dość niskim stopniu zaufania. Natomiast teraz prawie połowa naszych badanych uważa, że Polacy są społeczeństwem raczej ufnym. To też jest, uważam, wielkie osiągnięcie. Pokazuje syndrom cywilizacyjnego sukcesu: społeczeństwa dostatniejsze cechują się zwykle wyższym podstawowym zaufaniem.

Ja wciąż jednak nie dostrzegam w tych wynikach przełomu. Może gdyby pan powiedział, że Polacy przestali być wiecznymi narzekaczami, wierzącymi, że bez układów i pleców do niczego w tym kraju nie dojdziesz…

Polacy w dość dużym stopniu są przekonani o tym, że sukces zawdzięcza się ciężkiej pracy; ten pogląd występuje u nas teraz częściej niż w wielu społeczeństwach zachodnich. Gdy ludzie widzą, że niekoniecznie ja sam, ale sąsiad dorobił się ciężką pracą, uważają, że to jest możliwe.

Do tej pory mówiło się, że naszą powszechną przywarą jest skłonność do tzw. deprywacji wtórnej: mnie się poprawiło, ale sąsiadowi bardziej, więc reaguję wściekłą zawiścią.

To się pewnie zmieniło. Wiara w wartość ciężkiej pracy jest typowa dla społeczeństw, które przeżyły szybki okres wzrostu gospodarczego. W społeczeństwach zachodnich, pogrążonych w stagnacji gospodarczej czasem już od 20–30 lat, rzeczywiście może być trudniej dorobić się ciężką pracą. Tam ludzie raczej dziedziczą majątki i status, niż dochodzą do nich sami. Interpretuję więc nasze wyniki jako przejaw wysokiej samooceny społeczeństwa niebiednego, nienależącego już do kręgu postfeudalno-szlacheckiego, lecz mieszczańskiego i kapitalistycznego, które szybko się dorabia.

W tym kontekście ciekawy jest związek dwóch typów patriotyzmu – postromantycznego i mieszczańskiego. Chodzi o cechę, którą badacze nazywają narodowym narcyzmem. To przekonanie, że moja wspólnota jest niedoceniana i należy się jej więcej uznania, niż dostaje. Lokujemy się pod tym względem na dość wysokim poziomie – ok. 30 proc. Polaków wyznaje taki pogląd. Ale właściwie wyłącznie są to wyborcy prawicy, deklarujący patriotyzm postromantyczny.

Patrioci mieszczańscy nie czują, byśmy byli wyjątkowi?

Nie czują się niedocenieni, nie przejawiają jakiejś wyjątkowej potrzeby uznania. Nie uważają, że nam się od świata coś należy specjalnie z tego powodu, że jesteśmy Polakami.

Charakter typowego Polaka/Polki

Z jakimi cechami kojarzy się Panu/i typowy Polak/Polka? Proszę z każdej pary wybrać opis, który Pana/i zdaniem lepiej oddaje charakter typowego Polaka/Polki? (w proc.)

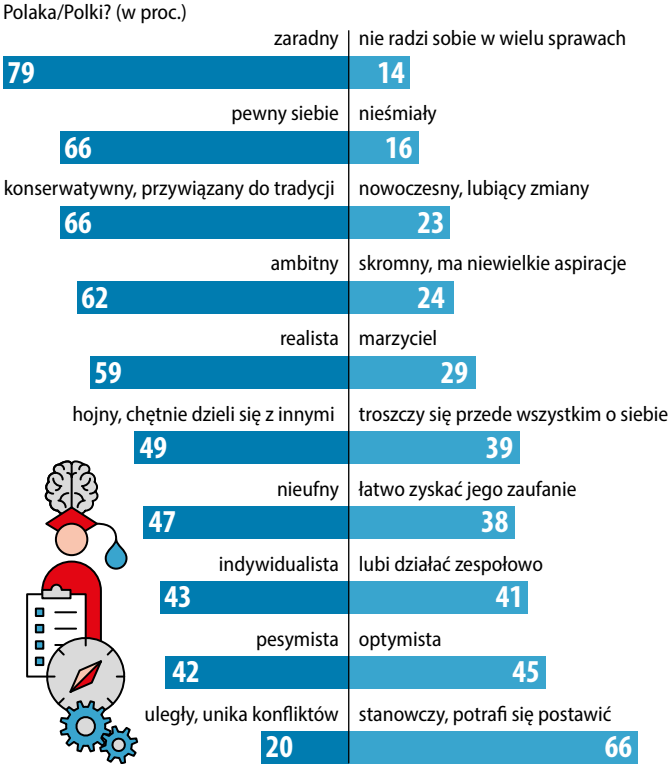

eprasa.pl f60e042159

Aktywność społeczna

Które z poniższych działań o charakterze narodowym zdarzyło się Panu/Pani wykonać w ciągu ostatnich 12 miesięcy? (w proc.)

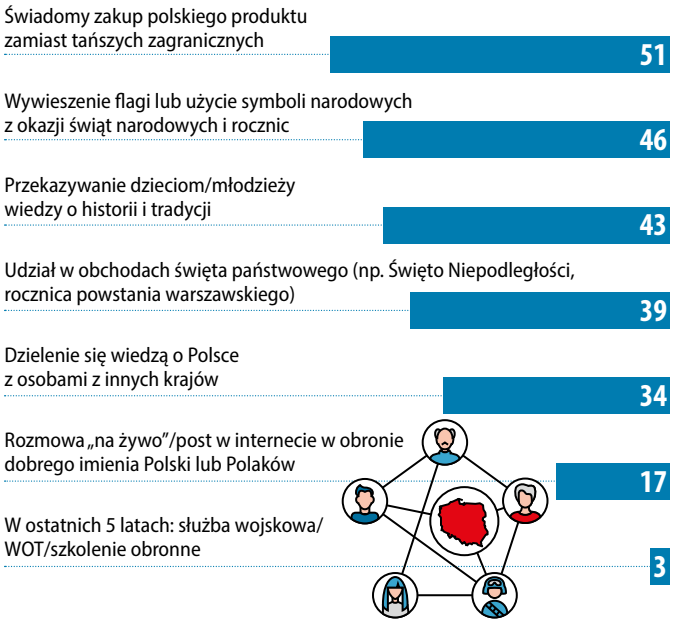

I w większym stopniu akceptują krytykowanie własnej wspólnoty.

Jakie wnioski z badań skierowałby pan do obecnie rządzącej koalicji?

Myślę, że politycy centrum i lewicy powinni mówić więcej o patriotyzmie, ponieważ tego oczekują od nich ich wyborcy. Nie wstydzić się pokazywania tego, że są patriotami. Mówić jasno tak o sobie, używać narodowych symboli częściej niż dotychczas. Aż 73 proc. naszych rodaków uważa, że można być zwolennikiem Unii Europejskiej i patriotą; nie dostrzegają w tym żadnej sprzeczności. Oczywiście romantycy – konserwatyści są bardziej krytyczni wobec Unii Europejskiej, ale generalnie przeważająca większość Polaków uważa, że bycie w Unii jest patriotyczne.

Czyli centrowy rząd powinien silniej zagrać na patriotycznej nucie?

Tylko z pełną świadomością, czym patriotyzm ich wyborców różni się od modelu prawicowego, jakie aspekty podkreślać, by przekaz trafił do ich elektoratu. I uwzględnić, że jedno jest trochę ponad podziałami – to wysoka samoocena Polek i Polaków. To powinno bardzo wyraźnie być widoczne w retoryce politycznej.

Mówi się, że Koalicja powinna eksponować swoje sukcesy. Ale chyba nie do końca o to chodzi – raczej o akcentowanie, że to nie tyle ona, ile Polacy są świetni, czy tak?

Tak myślę. Sądzę, że powinna to być retoryka afirmująca sukces, co nie znaczy unikająca problemów, bo wiadomo, że różne sfery w kraju, choćby opiekę zdrowotną, wyborcy oceniają nisko. Generalnie jednak podkreślałbym, że Polacy sami zapracowali na swój sukces: radzą sobie, są ambitni, samodzielni, pracowici. To są te cechy, które domagają się uznania ze strony polityków.

Niestety, Polacy wystawiają nie za wysokie oceny obecnie rządzącym. Mimo że – choćby według niedawnych badań CBOS – oceniają swoje warunki materialne życia najlepiej w historii, lepiej niż przed pandemią. Uważają, że tak dobrze, jak im się żyje teraz, nie żyło im się nigdy.

Rozumie pan ten paradoks?

Gdyby dotykał nas kryzys gospodarczy, bezrobocie, wysoka inflacja – wyjaśnienie byłoby proste. Ale w takiej sytuacji, jaką mamy, myślę, że to wymaga lepszego zbadania.

A nie jest to polski atawizm – zgeneralizowana niechęć do jakiejkolwiek władzy?

Nie sądzę, względnie dobra ocena rządów PiS utrzymywała się nawet w apogeum inicjatyw KOD, w okresie awantur o Trybunał Konstytucyjny, KRS itd. Morawieckiemu notowania załamały się na dobre dopiero w czasie Czarnego Protestu. Pod koniec poprzedniej kadencji parlamentu rząd PiS miał już bardzo złe noty. Ludzie byli wyraźnie niezadowoleni i zmęczeni. Dziś wyborcy bardzo wyraźnie sygnalizują politykom: pokażcie nam lepiej, jak działacie.

I ci zadowoleni z siebie i dumni z sukcesu Polski rodacy przyłożyliby rękę do powrotu do władzy polityków wyznających wartości odwrotne od ich ideałów, choćby ten narcystyczno-konserwatywny patriotyzm?

Niektóre sprawy, które dla pani czy dla mnie są istotne, są dużo mniej ważne dla przeciętnego wyborcy. Np. Trybunał Konstytucyjny czy przywracanie niezależności politycznej sądownictwa – oceniam, że interesuje się tym zdecydowana mniejszość społeczeństwa. Natomiast cała reszta mówi: pokażcie mi, co ja mam z waszych rządów. Pokażcie, za co wam płacę. Jest taki miernik, który wydaje mi się bardzo prognostyczny. Chodzi o pytanie w sondażach: czy oceniasz, że sytuacja w kraju idzie w dobrym kierunku czy w złym? Polacy zarabiają tak dobrze jak nigdy, wiedzą to, a równocześnie mówią: sytuacja w kraju idzie raczej w złym kierunku. Nie wystarczy, żeby inflacja i bezrobocie były niskie. Ludzie mają większe (albo inne) oczekiwania. Na miejscu rządzących postarałbym się je dobrze zbadać.

Ambitni chcą mieć ambitny kraj?

I przywódców, którzy ambicję okazują. Można powiedzieć, że PiS tylko udawał tę ambicję, ogłaszając i realizując wielkie projekty, przekopy, kanały, lotniska itd., niekiedy nawet – jak to się potocznie mówi – pomysły od czapy. Ale ewidentnie długo trafiał w oczekiwania swoich wyborców.

Ale tzw. słupki poparcia wyborczego ta partia ma teraz niskie jak nigdy. Czy wstanie ona z kolan z jakimś nowym, uwodzicielskim hasłem?

Z pewnością nad tym pracuje, bardzo uważnie śledząc badania społeczne. PiS miał reputację partii, która umie z nich korzystać – ciekawe, ile mu z tej umiejętności zostało. Myślę, że wyczuwa się tam już nieaktualność hasła o wstawaniu Polski z kolan. Bo, powtórzę, nasza ojczyzna z kolan już dawno wstała.

ROZMAWIAŁA EWA WILK

Metodologia:

Technika badawcza
badanie zrealizowane na panelu internautów metodą standaryzowanych wywiadów komputerowych do samodzielnego wypełnienia (CAWI)

Wielkość próby
3 tys. osób

Badana grupa
Polacy 18+ (ogólnopolska próba reprezentatywna)

Czas realizacji
17–23.12.2025

© LECH MAZURCZYK (4)

eprasa.pl f60e042159

Taran na

Przemysław Czarnek obwołany kandydatem na premiera ma na razie strategiczne zadanie. Odebrać Konfederacjom to, co zabrały Prawu i Sprawiedliwości.

RAFAŁ KALUKIN

Tak naprawdę żaden z niego jeszcze kandydat na premiera. Zresztą w polskim systemie politycznym premierów się nie wybiera, tylko powołuje. Żeby formalnie zasłużyć na takie miano, trzeba więc najpierw wygrać wybory. I nie można oczywiście wykluczyć, że Przemysławowi Czarnkowi to się kiedyś uda, ale do tego jeszcze długa droga.

Dzisiaj jest co najwyżej nieformalnym liderem partyjnej szpicy, która ma urealnić pretensje swojego obozu do wiodącej pozycji w nadchodzącym rozdaniu. Mówi się, że partyjna centrala wyznaczyła mu bardzo konkretne cele, z których zostanie w swoim czasie rozliczony. I jeżeli za rok o tej porze PiS nie dobije w sondażach do przynajmniej 35 proc., może się nagle okazać, że Czarnek przechodzi do rezerwy, żeby zrobić miejsce kandydatowi w świeżo odprasowanej koszuli.

Polityk z Lublina otrzymał więc w najlepszym razie szansę ubiegania się o premierostwo. Przez najbliższe miesiące będzie siał sporo wiatru, rzucając kolejne rękawice obecnemu premierowi, chociaż tak naprawdę to nie z Donaldem Tuskiem się dzisiaj mierzy. Jedyna droga do poprawy notowań PiS wiedzie bowiem

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl f60e0421597

prawicę

przez osłabienie prawicowej konkurencji. I po to jest właśnie Czarnek, żeby zmarginalizować Grzegorza Brauna, Sławomira Mentzena oraz Krzysztofa Bosaka.

Jest politykiem sprawnym i nie można mu odmówić scenicznej charyzmy. Niewielu poza nim można znaleźć na politycznym rynku retorów umiejących wygłosić bez kartki godzinne przemówienie, które mimo stereotypowej treści potrafi przyciągnąć uwagę i stać się źródłem chodliwych cytatów. Choćby memicznych, jak w przypadku słynnego już „OZE sroze", ale knajackość Czarnka jest skalkulowanym elementem jego „ludowego" wizerunku.

Pierwszą daną mu w polityce szansę wykorzystał wręcz bezbłędnie, przeskakując w trakcie jednej kadencji kilka szczebli kariery, co w tak mocno hierarchicznej partii rzadko się zdarzało. Kiedy zostawał w 2015 r. wojewodą lubelskim, prawie nikt go nie znał. Lokalny dodatek „Gazety Wyborczej" relacjonował: „W urzędzie jest wyraźna atmosfera wyczekiwania na to, co zrobi nowa władza. O Czarnku mówi się, że jest bardzo kulturalnym człowiekiem i nie spieszy mu się do zwolnień, ale wiadomo, że wykonuje polecenia wyżej postawionych osób, bo sam nie ma żadnej politycznej siły".

Z kulturą osobistą różnie później bywało, ale cytat zasługuje na uwagę, dobrze opisując punkt wyjścia. Stanowisko wojewody samo w sobie było już marginalne, bo realną władzą i budżetem dysponują w regionach marszałkowie. A do tego obejmujący je polityczny żółtodziób nie miał nawet specjalnie wpływowych protektorów, gdyż zawdzięczał urząd umocowanemu jedynie lokalnie posłowi PiS Sławomirowi Zawiślakowi. Skądinąd dzisiaj należącemu do koła poselskiego Korony Brauna, co może mieć w przyszłości jakieś znaczenie.

Czarnek twardo jednak dosiadł politycznego konia, nie ograniczając się do administracyjnej dłubaniny. Już wprowadzając się do gabinetu, wystawił flagę Unii Europejskiej i powiesił na ścianie Najświętszą Panienkę, po czym pocwałował prosto na front wojny kulturowej, stając się wkrótce znanym na całą Polskę prawicowym konkwistadorem. Pierwszym pretekstem do zaistnienia w tej roli był doroczny Marsz Równości, czyli – mówiąc po czarnkowemu – „promocja zboczeń, dewiacji i wynaturzeń". Hałasu było co niemiara i nie obyło się nawet bez pozwu sądowego, ale o to właśnie chodziło.

I już do końca swojego urzędowania kuł ideologiczne żelazo. To w jego gabinecie miał się zrodzić pomysł ustanawiania lokalnych stref anty-LGBT, za co zresztą wręczał samorządowcom specjalne medale. A w chwilach wolnych od wojowania z tęczową zarazą zapędzał kobiety do rodzenia dzieci bądź też konfliktował się z mniejszością ukraińską. Z opinią bezkompromisowego twardziela po czterech latach zostawał już posłem, śrubując najlepszy wynik w okręgu.

Na tyle zresztą od razu prominentnym, żeby już w 2020 r. znaleźć się w sztabie wyborczym Andrzeja Dudy. Jedni później twierdzili, że to on wskazał główny temat kampanii. Inni – że został pod tym kątem ściągnięty. Tak czy owak kampania raczej umiarkowanego dotąd prezydenta skupiła się na wojnie z „ideologią LGBT". Tyle że sam Czarnek w swojej zapalczywości trochę przesadził z obskurantyzmem, kiedy podał w wątpliwość „idiotyzmy o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości", za co zapłacił chwilowym odwykiem od mediów. Na dłuższą metę był jednak wygrany, gdyż lud prawicowy uwielbia takich hunwejbinów, a i prezes potrafi ich docenić.

Lublinianin po czterdziestce już wcześniej wpadł Kaczyńskiemu w oko. Coraz bardziej panoszyli mu się w obejściu ziobryści, którzy licytowali od prawej. Potrzebował więc swojego radykała, który da odpór. I to był ten pierwszy raz, kiedy prezes wykorzystał Czarnka w rozgrywce na prawicowym froncie. Najwyraźniej uznając, że się sprawdził, skoro już w nowych okolicznościach powierzył mu podobne zadanie.

Jego kariera odzwierciedla kulturowe i polityczne zmiany zachodzące na polskiej prawicy po 2015 r. Przejmujący władzę PiS czerpał polityczne paliwo z podsycanego napięcia pomiędzy „ludem" i „elitami". Samemu legitymizując się w roli reprezentanta „zwykłych Polaków", co mimo upływu lat, rozlicznych błędów i wypaczeń pozostaje kodem aktualnym.

Jako kandydat na premiera Czarnek zapuszcza więc raz jeszcze starą płytę. „Trzeba uświadomić zwykłym Polakom, że nie walczymy o sprawy dalekie, abstrakcyjne, ale podstawowe. Dziś rozstrzyga się sprawa najważniejsza: czy będziemy mogli żyć normalnie, po polsku, czy też nie. Jeśli zwykły Polak się nie przebudzi, to jego syn czy wnuk nie będzie już żył po polsku" – perorował w niedawnym wywiadzie dla „Sieci". Odwołując się do mitycznej milczącej większości, która mimo przemian społecznych przechowała konserwatywne odruchy.

Sam jest zresztą dzieckiem ludu z niewielkiej miejscowości nieopodal Sieradza. „Pochodzę ze zwykłej, wiejskiej, robotniczo-chłopskiej rodziny" – nie bez dumy mówił na jednym ze spotkań. Matka była pielęgniarką, ojciec – kierowcą. Przemysław z konieczności łączył naukę z zarobkowymi saksami we Włoszech, o czym chętnie opowiada, podkreślając w ten sposób zaradność młodego człowieka, który w życiu miał pod górę. Dosyć wcześnie trafił jednak pod skrzydła wuja ks. Jerzego Pałuckiego, teologa z KUL, co ułatwiło mu drogę na studia prawnicze oraz karierę naukową.

Powszechnie tytułowany jest w swojej partii profesorem, chociaż nie wygląda. Osoby z tytułami naukowymi tradycyjnie cieszą się w PiS wyjątkową estymą. Czarnek uosabia jednak zupełnie nowy typ zaangażowanego akademika z ludu, któremu obca jest wyniosłość arystokratów ducha w rodzaju Ryszarda Legutki czy Zdzisława Krasnodębskiego, nie wspominając o dorobku. „Profesor" Czarnek, a w jeszcze większym stopniu „doktor" Nawrocki nie mają na polu naukowym istotnych dokonań i raczej też nie mieli takich ambicji, skoro tak wcześnie poszli w politykę. Ich habitusy pozostały zresztą w znacznej mierze plebejskie, czy to w języku (jak u Czarnka), czy ogólnej estetyce i życiowych pasjach (u Nawrockiego).

Przebieg kariery Czarnka na KUL robi zresztą trochę dziwne wrażenie. Poczynając od tego, że od magisterium aż po habilitację miał zawsze tego samego promotora, czyli prof. Dariusza Dudka. W kręgu konstytucjonalistów cieszącego się autorytetem, ale bynajmniej niezdystansowanego od polityki. Przed laty reprezentował prezydenta Lecha Kaczyńskiego w jego sporze ▶

eprasa.pl f60e042159

▶ kompetencyjnym z Tuskiem, później formalnie doradzał Dudzie, a teraz Nawrockiemu.

Ale bardziej powinno zaskakiwać to, że najsłynniejszy z wychowanków profesora podszedł w 2014 r. do habilitacji z nader skromnym dorobkiem paru raptem artykułów w niszowych katolickich pismach bądź słownikach biograficznych. Bez choćby jednej poważniejszej monografii, chociaż od obrony doktoratu minęło już wtedy całe osiem lat, więc było trochę czasu na poważniejsze badania.

Praca habilitacyjna Czarnka nosiła tytuł „Wolność gospodarcza. Pierwszy filar społecznej gospodarki rynkowej". Do uczelnianego repozytorium niestety nie ma otwartego dostępu, ale przynajmniej można znaleźć w sieci obszerną recenzję autorstwa prof. Dudka. A przy tym osobliwą, bo chociaż we wstępie i zakończeniu autor podkreśla wysokie walory naukowe pracy, to w szczegółowych ocenach najczęściej już kwestionuje zawarte w niej tezy, ubogą niekiedy argumentację, nadmierną skłonność do publicystycznych uproszczeń. Podchodzi do wysiłku habilitanta z wyraźnym sarkazmem, choćby dworując sobie z jego ambicji wpływania słowem pisanym na rzeczywistość, które prof. Dudek porównuje do niemalże noblowskich. Kwitując na koniec, że przedstawione propozycje są „dość skromne".

Ale z perspektywy czasu najciekawsze wydają się fragmenty polemiczne. Dudkowi wyraźnie zgrzytała „szczególna atencja dla L. Balcerowicza", którą odnajduje w recenzowanej pracy, a już jednoznacznie odrzucił zawartą w niej wizję państwa jako „opresyjnej organizacji rządzących przeciwko rządzonym, w szczególności zaś wymierzoną w Bogu ducha winnych przedsiębiorców, chcących tylko realizować swoje naturalne dążenia do osiągania jak największych zysków, a represjonowanych przez uroszczenia państwa opiekuńczego".

Habilitant Czarnek bez ogródek bowiem stwierdzał, ku oburzeniu swojego promotora, że „człowiek staje się innowacyjny (...) właśnie ze względu na swój egoizm". A przypomnijmy, że był 2014 r. i już nadciągała wielkimi krokami epoka wielkiej „redystrybucji godności" poprzez transfery socjalne, których awansowany już na uczelnianego profesora prawnik stanie się natychmiast oficjalnym orędownikiem. Ale kto wie, może w rywalizacji z Konfederacją umiłowanie ludzkiego egoizmu jeszcze powróci.

Można mieć za to pewność, że w kolejnym punkcie spornym raczej już na dobre dał się przekonać swojemu recenzentowi. Otóż prof. Dudek podał w recenzji w wątpliwość przekonanie Czarnka o „bezwarunkowej zasadzie" pierwszeństwa w stosowaniu prawa wspólnotowego Unii Europejskiej przed krajowym, co zapewne nieuświadomiony jeszcze w sprawach „kasty" nieopierzony konstytucjonalista pochopnie wywiódł z wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2011 r., czyli z czasów dalece niesłusznych. Ot, błędy młodości.

Ale i tak musiał odczuwać głęboką wdzięczność wobec Alma Mater, gdyż zostając w 2020 r. ministrem edukacji, nie żałował na nią pieniędzy. Szczególnie zrobiło wrażenie 40 mln zł przekazane na rozbudowanie Wydziału Medycznego KUL, którym kieruje dr Katarzyna Czarnek, czyli prywatnie małżonka polityka. Ale to zapewne przypadek, podobnie jak to, że minister postanowił podnieść prestiż paru lokalnych katolickich pism, na łamach których jako młody doktorant dopiero budował swój dorobek. W publikacjach skromnie niestety punktowanych, ale błąd został szczęśliwie naprawiony i po korekcie artykuł w „Pedagogice Katolickiej" miał już taką samą wagę naukową jak w pismach tej rangi co „Nature", „Science" bądź „Lancet".

Czasy ministrowania pokazały, że wyrazisty skrzydłowy potrafi też budować swoją pozycję w drużynie. Zgodnie z wypróbowanym przez kolegów schematem wspierania prawicowego ekosystemu państwowymi dotacjami zorganizował własny program, który stał się znany pod nazwą „willa plus". 40 mln wytransferowanych do zaprzyjaźnionych organizacji może nie robiło aż takiego wrażenia w porównaniu z wielokrotnie większymi przewałami tamtych czasów, ale już medialne opisy mało dotąd znanych fundacji, uwłaszczonych na wystawnych kamienicach w centrach miast – zdecydowanie tak.

Ale nie odpuścił też Czarnek katolickiego *Kulturkampfu*, stając się najbardziej bodaj znienawidzonym przez młodzież ministrem edukacji od czasów Romana Giertycha (2006–07). Bo też zasługi wychowawcze miał niemałe, a ambicje nawet jeszcze większe. Jego reforma wzmocnienia nadzoru kuratoriów nad szkołami zyskała miano lex Czarnek i w pierwszej kolejności miała na celu przepędzenie z korytarza szkolnego podejrzanych organizacji, zwłaszcza tych od tęczy. Podobno Duda nawet skłonny był podpisać, ale uległ nauczycielskiej presji żony Agaty. W sumie jednak prezydent uratował PiS przed samym sobą, gdyż dodatkowe antagonizowanie rozsierdzonej zakazem aborcji młodzieży nie było politycznie rozumne.

Jeszcze przed objęciem resortu Czarnek deklarował „trzeźwą ocenę rzeczywistości w oparciu o wartości chrześcijańskie". I wydaje się, że co zamierzał, to zrobił. Odchodził ze służby publicznej jako jeden z najbardziej niepopularnych polityków na scenie, ale zarazem z ugruntowaną renomą ultraradykała.

Problem w tym, że ma renomę radykała nadal pisowskiego, co w jego obecnej misji może się okazać istotną przeszkodą. Czasy się bowiem zmieniły i centralistyczne zapędy poprzedniej władzy stały się passé nawet na prawicy. Czarnek oczywiście próbuje się adaptować do wyzwań nowej epoki. Czasem określi się mianem „wolnościowca", innym razem – endekiem („ale umiarkowanym", czyli bez przesady z tym Dmowskim).

W jego inauguracyjnym – w roli kandydata na premiera – wystąpieniu znalazły się wszystkie żelazne punkty z dekalogu dzisiejszej prawicy. Czyli bezwzględne „nie" dla rozmaitych unijnych bezeceństw, na czele z ETS, Mercosurem i paktem migracyjnym. Tradycyjnie bez słowa wyjaśnienia, jak praktycznie miałoby to wyglądać, gdyż polexit to opcja wciąż mało popularna. Dalej Ukraina, której trzeba oczywiście pomagać, ale już nie za bezdurno, tylko domagając się twardo szacunku, żeby polska godność nie cierpiała. A poza tym, wiadomo, Tusk i Niemcy... Nie było to może przesadnie innowacyjne, ale innowacją miał być przede wszystkim sam Czarnek w roli wodzireja.

Nieprzypadkowo to Sławomir Mentzen najmocniej mu później odparował, chociaż wcale nie został zaczepiony, a wręcz „kandydat" zaszczycił Konfederatę zaproszeniem do debaty. Ten jednak skierował z tym Czarnka do swojego rzecznika, z którym – jako rzecznik Kaczyńskiego – zapewne najlepiej się dogada. Tak obcesowe potraktowanie nie powinno budzić zdziwienia, gdyż niby to ocieplający relacje liścik Czarnka nasączony był trucizną. W końcu to nie jest czas budowania przyszłych zdolności koalicyjnych, tylko twardej walki o prawicowy elektorat, chociaż zdumieni impertynencją Mentzena niektórzy prawicowi komentatorzy zdawali się tego nie rozumieć.

eprasa.pl f60e042159

Niemniej to głównie formacja Brauna jest pierwsza na pisowskim celowniku, z paru zresztą względów. To do niej odpłynęło w ostatnim czasie najwięcej wyborców PiS, co daje nadzieję, że jeszcze całkiem się tam nie umościli. Ale też Korona jest ruchem na tyle osobliwym i chaotycznym, że sprawia wrażenie łatwiejszego do rozegrania od lepiej zorganizowanej Konfederacji. Nie jest wreszcie tajemnicą, że Amerykanie naciskają na PiS, żeby zrobił z Braunem porządek, bo jego antysemityzm jest za oceanem nie do zaakceptowania.

Tyle że Mentzen zapewne ma świadomość, że jego Konfederacja będzie następna w kolejce. Toteż uderzył prewencyjnie, i to w najbardziej wrażliwy punkt, czyli prawicową wiarygodność PiS. Punktując Czarnka za jego dawniejsze głosowania, w których popierał pandemiczne restrykcje, kompromisy z UE, wspieranie Ukrainy, „piątkę dla zwierząt" i jeszcze parę innych spraw, które w dzisiejszym prawicowym świecie stanowią tytuł do hańby.

I najpewniej taką melodię Czarnek będzie teraz słyszał przy okazji każdej wyprawy na prawicowe pogranicze, bo to najbardziej oczywisty sposób obu Konfederacji na odróżnienie oryginału od imitacji. I jeżeli nie znajdzie na to skutecznego sposobu, waląc głową w mur, może się szybko zużyć. Z drugiej strony już nieraz pokazywał, że jest politykiem masywnym, który potrafi taranować przeszkody, a zarazem też odpornym na ciosy. Rezultat konfrontacji trudno więc przewidzieć.

Wiele jednak zależeć też będzie od wsparcia, bo PiS wciąż dysponuje potężną partyjną machiną. Posiada rozbudowane struktury, pieniądze, własne media, kontakty międzynarodowe. Na tym tle Konfederacje to ledwie polityczne manufaktury. Pytanie, czy machina zadziała, gdyż ostatnio najczęściej sama się kłóciła. Posyłając w bój Czarnka, Kaczyński co prawda zadbał o udobruchanie zawiedzionego Mateusza Morawieckiego i jego ludzi, ale też marzący o kolejnej szansie były premier nie miał pola manewru, gdyż poza PiS trudno byłoby mu zrealizować ambicje. Tymczasem postanowił więc poczekać, jak pójdzie rywalowi do premierostwa. Jeżeli jednak za parę miesięcy nie pojawią się sondażowe efekty, najpewniej zacznie podgryzać wybrańca prezesa i konflikty powrócą.

Nie ma więc Czarnek prostego zadania, a stawka w tej grze jest ogromna. Do tej pory Kaczyński zawsze stawiał na postaci drugorzędne albo wręcz znikąd, bo zależało mu wyłącznie na ich wizerunkach i nie zamierzał hodować ewentualnych rywali. W zamierzchłych czasach był to Kazimierz Marcinkiewicz, później „premier techniczny" Piotr Gliński, następnie Andrzej Duda, Beata Szydło i Mateusz Morawiecki (wtedy jeszcze bardziej technokrata z zewnątrz), wreszcie Karol Nawrocki. Ale już emancypacja tego ostatniego pokazała, że stary prezes powoli traci panowanie nad swoją polityczną rodziną.

Stawiając zaś na Czarnka, ryzykuje jeszcze więcej, gdyż po raz pierwszy padło na polityka naprawdę samodzielnego i do tego popularnego w partii. Jeśli więc Czarnek w czekającym go biegu z przeszkodami szczęśliwie dotrze do mety, stanie się nie tylko realnym już kandydatem na premiera, ale też zapewne do sukcesji prawicowego władztwa. Ale jeśli się potknie, wielka szansa może bezpowrotnie umknąć. Zawsze bowiem znajdzie się ktoś bardziej bezwzględny i radykalny.

RAFAŁ KALUKIN

REKLAMA

TKAMY DOBROSTAN Kulturą

POLSKA STOLICA KULTURY

BB 2026 Bielsko-Biała Polska Stolica Kultury

Polska Stolica Kultury zaczyna się w Bielsku-Białej!

Program wydarzeń:

eprasa.pl f60e042159

Łzy Temidy

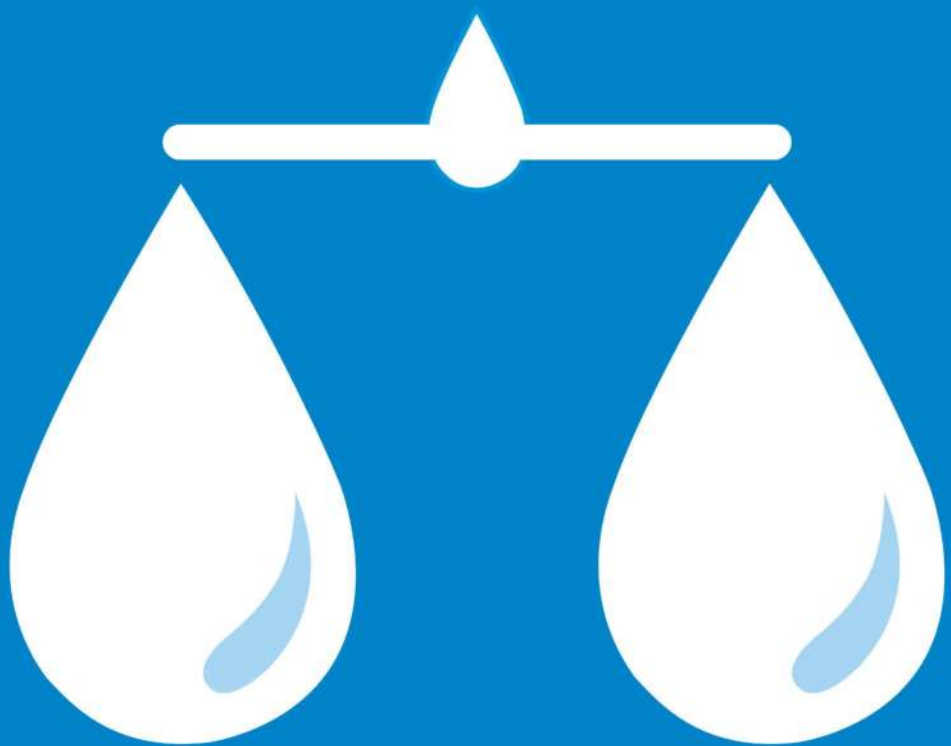

ILUSTRACJA **SYLWIA MARKIETA**

Rozpoczęło się odbijanie PiS-owi Krajowej Rady Sądownictwa. Instytucji, która jest źródłem zatrucia sądownictwa, a może być źródłem jego uzdrowienia. Ale jest duże „jeśli”...

EWA SIEDLECKA

PiS nie oddaje bez walki przejętych przez siebie organów. To, co widzieliśmy i nadal obserwujemy przy wyborach sędziów do Trybunału Konstytucyjnego, zaraz zobaczymy przy wyborach nowej Krajowej Rady Sądownictwa. 12 maja kończy się bowiem kadencja sędziów wybranych do niej wyłącznie przez polityków, czyli sprzecznie z konstytucyjną zasadą podziału i równoważenia się władz. Tak orzekły już europejskie trybunały. Do tego doszedł korupcjogenny tryb zbierania poparcia sędziów przez kandydatów do KRS. Pamiętamy, że zaufanym sędziom PiS sprawiało niejaką trudność zebranie wymaganych ustawą minimum 25 podpisów. Zwracali się więc do tych sędziów, którzy winni byli PiS przysługę, bo dostali np. awans czy dobrze płatną fuchę w Ministerstwie Sprawiedliwości. Albo do takich, którzy liczyli na awans w zamian za podpis.

Rząd Tuska chciał przywrócić ustrojową zasadę, że sędziów do KRS wskazują sami sędziowie, ale prezydenci – najpierw Duda, a potem Nawrocki – zablokowali ustawy reformujące wybory do KRS. Koalicja realizuje więc plan B: jak „ukonstytucyjnić” ten wybór bez zmiany ustawy.

eprasa.pl f60e042159

Pomysł sprowadza się do tego, żeby w ramach pisowskiej ustawy zrealizować to, co prezydent Nawrocki zawetował, czyli powszechne wybory do KRS sędziów przez sędziów. Ale PiS i prezydent Karol Nawrocki też mają plan B: jak do tego nie dopuścić. Szykuje się kolejna polityczna awantura.

Na końcu będziemy pytać: czy prezydent uzna, czy nie uzna nowo wybranej Krajowej Rady Sądownictwa? Tak jak dziś pytamy: odbierze czy nie przyrzeczenie od sędziów wybranych do Trybunału Konstytucyjnego? Bo jeśli nie uzna KRS, to najważniejsza jej funkcja zostanie zablokowana, a system sądownictwa będzie pozbawiony dopływu nowych sędziów w sytuacji, gdy już dziś w sądach jest ponad tysiąc sędziowskich wakatów, a czeka nas jeszcze stuprocentowy wzrost odejść sędziów w stan spoczynku.

Plan B Koalicji

W ramach pisowskiej ustawy rządząca Koalicja zamierza głosować w Sejmie na tych kandydatów do KRS, których wskażą sędziowie w powszechnym głosowaniu. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek w porozumieniu z organizacjami sędziowskimi działającymi w opozycji do reform ministra Ziobry planuje, by wszyscy chętni sędziowie wyrazili swoje poparcie dla kandydatów podczas Zgromadzeń Ogólnych Sędziów. Prezesi sądów mają zwołać Zgromadzenia Ogólne na 20 kwietnia. Każdy sędzia będzie miał 15 głosów (bo w KRS jest 15 miejsc dla sędziów), a głosować będzie można na kandydatów, którzy wcześniej prawidłowo zgłoszą swoje kandydatury marszałkowi Sejmu. Zliczenia poparcia dla każdego kandydata dokonają komisje powołane przez zgromadzenia sądów apelacyjnych, a prezesi tych sądów prześlą wyniki głosowań ze swoich apelacji marszałkowi Sejmu i zamieszczą je na stronie internetowej sądu.

Taki jest plan. Przedstawiło go dziesięciu prezesów sądów apelacyjnych w publicznym oświadczeniu z 16 lutego. Zaapelowali też do wszystkich sędziów o udział w opiniowaniu kandydatów. „Brak powszechności udziału w oczywisty sposób tworzyć będzie ryzyko dalszego kwestionowania Rady, a tym samym cel ukształtowania tego organu w sposób odpowiadający standardowi konstytucyjnemu nie zostanie osiągnięty. (...) Przy pełnej świadomości związanych z tym projektem ryzyk podejmijmy próbę wzięcia odpowiedzialności za funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości (...)".

Jak widać, inicjatorzy obawiają się słabej frekwencji w tych, jak je nazwano, prawyborach. Powodem może być obawa sędziów, że uczestnictwo w nich zamknie im drogę do awansu, bo prezydent, który ostatecznie o tym decyduje, zapowiada, że nie będzie awansował sędziów, których działalność mu się nie spodoba. W dodatku pod planem nie podpisał się prezes Sądu Apelacyjnego w Łodzi. To pokazuje, że zgromadzenia mogą się odbyć nie we wszystkich sądach. Choć sędziowie mogą przecież dostarczyć swoje karty do głosowania do innego sądu, w którym zgromadzenie się odbędzie.

W oświadczeniu prezesów był jeszcze jeden punkt: postulat, by Sejm podjął uchwałę, w której zobowiąże się do respektowania wyborów dokonanych przez sędziów. I tak się stało: 27 lutego Sejm przyjął uchwałę, w której zapewnia, że „uwzględni w swoich decyzjach wyniki wyborów dokonanych przez sędziów w wyborach powszechnych i transparentnych".

Plan B PiS

Przyjęty przez Koalicję w porozumieniu z organizacjami sędziowskimi plan przewiduje więc wybór KRS przez sędziów w swego rodzaju prawyborach, zatwierdzonych następnie przez Sejm. PiS kwestionuje te prawybory jako nielegalne, bo nieprzewidziane przez obowiązującą ustawę. Koalicja odpowiada, że przecież nikt nie zabrania posłom konsultować się ze środowiskami sędziowskimi w sprawie oceny kandydatów. Nieoczekiwanie w sukurs przyszło jej stowarzyszenie Ordo Iuris. W zamieszczonej na jego stronie opinii czytamy: „Nie znajdujemy przekonujących argumentów przemawiających za uznaniem niekonstytucyjności powołania sędziów-członków KRS zgodnie z ustawą, po wcześniejszej rekomendacji wyrażonej przez środowisko sędziowskie. Konstytucyjna zasada pomocniczości nie wyklucza bowiem działania samorządów zawodowych, w tym samorządu sędziowskiego, poprzez udzielanie niewiążących rekomendacji władzy ustawodawczej".

Jest i łyżka dziegciu – dla Koalicji lub, jak kto woli, miodu – dla PiS: Ordo Iuris podkreśla, że skoro wybory odbywają się według obowiązującej ustawy, czyli finalnie o składzie KRS decyduje Sejm, to taki „wybór nowej kadencji członków Rady zamyka dyskusję nad legalnością jej poprzednich składów (od 2018 r.) (...) i przesądza, że podnoszone w przestrzeni publicznej wątpliwości i zarzuty miały charakter ściśle polityczny, a nie prawny". Inaczej mówiąc: skoro wybieracie według obowiązującej ustawy, to koniec twierdzenia, że wybrana według niej tzw. neoKRS była nielegalna i produkowała neosędziów.

Sędziowie katolicy

Stowarzyszenia: Iustitia, Themis, Sędziów Rodzinnych i Sędziów Sądów Administracyjnych wspólnie przygotowały 15 kandydatur na 15 miejsc w KRS. Do KRS kandydują też beneficjenci pisowskiej, a właściwie ziobrowej reformy sądownictwa. Portal OKO.press wymienia m.in. byłego głównego rzecznika dyscyplinarnego dla sędziów Piotra Schaba i jego zastępcę Przemysława Radzika. A także neosędziego SN Kamila Zaradkiewicza, byłą wiceminister sprawiedliwości Annę Dalkowską i neosędziego Sądu Okręgowego w Warszawie i wiceprzewodniczącego obecnej neoKRS Stanisława Zduna. Tę grupę kandydatów firmują stowarzyszenia: Sędziów RP i Prawników dla Polski (tam działa były wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak).

Idą oni innym trybem: startują jako sędziowie „obywatelscy" i musieli zebrać co najmniej 2 tys. podpisów obywateli. OKO.press opisało akcję zbierania podpisów pod listą Sędziów RP w Kościele Matki Bożej Opatrzności w Czułowie. Podpisywanie było reklamowane jako głosowanie na „sędziów katolików".

Dlaczego startują jako „obywatelscy"? Zapewne obawiają się, że będą mieli mniej sędziowskich głosów poparcia niż kandydaci wysunięci przez Iustitię i pozostałe stowarzyszenia sędziowskie. Ale jest też inny powód: obawa, że minister Żurek w ramach przewidzianej ustawą weryfikacji podpisów odrzuci te dane przez neosędziów, uznając, że osoba mianowana z udziałem neoKRS sędzią nie jest.

Wybory jednak ruszyły. Podpisy zebrano, kancelaria marszałka Sejmu poinformowała, że w ustawowym terminie wpłynęło 61 zgłoszeń kandydatów. 29 z nich (w tym 15 rekomendowanych przez Iustitię, Themis, stowarzyszenia sędziów rodzinnych i administracyjnych) ma poparcie co najmniej 25 sędziów. ▶

eprasa.pl f60e042159

▶ Dwaj kandydaci mają poparcie obywateli, a 30 to kandydaci mieszani: obywatelscy, którzy na wszelki wypadek zapewnili sobie także podpisy sędziów.

Marszałek zwrócił się do prezesów sądów o wymagane ustawą informacje o orzecznictwie, „kulturze urzędowania" oraz wynikach wizytacji i lustracji pracy kandydatów. I do ministra sprawiedliwości o potwierdzenie, czy 59 podpisów poparcia pochodzi od sędziów uprawnionych do orzekania. Mają siedem dni na odpowiedź. Potem marszałek ogłosi publicznie nazwiska kandydatów. A 20 kwietnia na zgromadzeniach sędziowie na nich zagłosują. Prezes Stowarzyszenia Iustitia Bartłomiej Przymusiński zapewnia, że na listach do głosowania będą też kandydaci obywatelscy i ci wysunięci przez konkurencyjne stowarzyszenia: Prawników dla Polski i Sędziów RP.

Obrót o 180 stopni

W nowej KRS pewne miejsce mają nie tylko kandydaci poparci przez sejmową większość, ale także dwójka kandydatów, których wskażą PiS i Konfederacja. Ustawa bowiem mówi, że każdy klub w Sejmie ma prawo wskazać do dziewięciu kandydatów, a sejmowa komisja sprawiedliwości, która w głosowaniu kompletuje listę 15 sędziów, ma obowiązek zapewnić każdemu klubowi obecność na niej przynajmniej jednego ze wskazanych przez ten klub kandydatów. Mówi się, że o poparcie PiS walczą neosędziowie Dalkowska i Zdun.

W ten sposób w nowej KRS, która składa się z 25 członków, będzie 13 sędziów wybranych głosami Koalicji i dwóch – opozycji, czterech posłów (Koalicji), dwóch senatorów (Koalicji), pierwszy prezes Sądu Najwyższego (Małgorzata Manowska już skończy kadencję, dwóch wskazanych przez neosędziów SN kandydatów na jej następców czeka na decyzję prezydenta). Dalej: prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego, minister sprawiedliwości i przedstawiciel prezydenta Nawrockiego. Tak więc dzisiejsza sytuacja w KRS obróci się o 180 stopni.

Ale po drodze jest jeszcze Trybunał Konstytucyjny, do którego obecna KRS zaskarżyła przepisy, na podstawie których sama została wybrana, i zawnioskowała, by TK zatrzymał procedurę wyboru kolejnej KRS do czasu rozpoznania sprawy, czego ten do tej pory nie zrobił. Rozprawę wyznaczono na 16 kwietnia, sądzi pięciu sędziów, bez dublera. Gdyby ta rozprawa zakończyła się wyrokiem pomyślnym dla wnioskodawców, oznaczałoby to, że z prawa znikają zaskarżone przepisy. Ale dla obecnie trwających wyborów nie miałoby to już znaczenia, bo przeszły etap zawarty w zaskarżonych przepisach. Żeby zatrzymać wybory, TK musiałby orzec, że jego wyrok działa wstecz. Ale wtedy unieważniłby także wybór obecnej neoKRS. Ta gra wydaje się więc niewarta świeczki i być może TK postąpi w tej sprawie tak jak w bliźniaczej sprawie zaskarżenia trybu wyborów do TK: zawiesi bezterminowo jej rozpatrzenie.

Zepsuje to pewnie humor obecnym członkom neoKRS, którzy liczyli na jeszcze długie trwanie, jako że według ustawy dotychczasowa KRS pełni swoją funkcję do czasu wyboru kolejnej. Ale da prezydentowi pretekst do nieuznawania nowo wybranej KRS do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez TK. Oczywiście jeśli prezydent Nawrocki chciałby sparaliżować polskie sądownictwo, odmawiając mianowania sędziów rekomendowanych przez kolejną KRS.

Krążenie oboczne

KRS ma wiele ważnych zadań. Stoi na straży sędziowskiej niezawisłości i niezależności sędziów, opiniuje ustawy, które dotyczą sądownictwa, uchwala zbiór zasad etyki sędziowskiej, decyduje o możliwości dalszego orzekania sędziów, który osiągnęli wiek stanu spoczynku, wyraża opinię w sprawie odwołania prezesów i wiceprezesów sądu, powołania i odwołania dyrektora Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury. Te zadania będzie mogła wykonywać spokojnie. Pytanie, czy będzie mogła skutecznie wykonywać funkcję najważniejszą: rekomendowania prezydentowi kandydatów na sędziów i do sędziowskich awansów.

Jeśli prezydent będzie ignorował przesyłane mu przez KRS sędziowskie nominacje, nie można będzie wymyślić żadnego alternatywnego sposobu powołania tych sędziów. W przeciwieństwie bowiem do odebrania przyrzeczenia od sędziów wybranych do TK mianowanie sędziów sądów powszechnych, administracyjnych i Sądu Najwyższego to konstytucyjne uprawnienie prezydenta. Bez prezydenckiego mianowania sędzia nie jest sędzią, i tyle.

A brak sędziów w sądach staje się coraz bardziej dramatyczny. Od zmiany władzy w grudniu 2023 r. ministrowie sprawiedliwości – najpierw Bodnar, teraz Żurek – nie ogłaszają konkursów na wolne etaty sędziowskie, bo nie chcą powiększać problemu neosędziów mianowanych z udziałem neoKRS. Kolejni sędziowie odchodzą w stan spoczynku, choć mogliby jeszcze orzekać do 70. roku życia, bo nie chcą prosić neoKRS o zgodę na dalsze orzekanie. W ten sposób rośnie liczba nieobsadzonych etatów, przypominamy – już ponad tysiąc. Do tego dochodzi problem ważności orzeczeń neosędziów i odmowa części sędziów orzekania z nimi w składach. Nic nie wskazuje na to, by problem neosędziów można było rozwiązać.

W rezultacie z roku na rok wydłuża się czas oczekiwania na wyrok w sądach wszystkich instancji i we wszystkich rodzajach spraw. W ubiegłym roku w pierwszej instancji czekało się na wyrok 12,1 miesiąca, a to średni czas liczonych razem postępowań procesowych i nieprocesowych (czyli załatwianych bez rozpraw). W sprawach upadłościowych orzekanie trwa 50 miesięcy. W 2025 r. zasądzono odszkodowania za przewlekłość postępowania na sumę 7,5 mln zł.

Gdyby spełnił się czarny scenariusz i prezydent nie uznał nowo wybranej KRS, trzeba będzie sobie jakoś radzić. Od kwietnia studenci trzeciego roku prawa będą mogli być asystentami sędziów, wyręczając ich w niektórych czynnościach. Są też możliwości organizacyjne usprawnienia pracy decyzjami prezesów czy dyrektorów sądów. Pomóc może konsekwentna cyfryzacja sądów. Ministerstwo Sprawiedliwości liczy też, że część sędziów wróci do orzekania ze stanu spoczynku, gdy zgody na to nie będzie już wyrażała niekonstytucyjnie powołana neoKRS.

Ale to tylko plastry. Jednak rzeczywistość nie znosi próżni i najprawdopodobniej, jak w krwiobiegu dotkniętym zatorem, wytworzy się krążenie oboczne. I powrócimy do pozasądowych sposobów rozstrzygania sporów. W sprawach gospodarczych – w sądach arbitrażowych, w sprawach konsumenckich – przed wyspecjalizowanymi organami, w sprawach cywilnych i rodzinnych – w drodze mediacji. W sprawach karnych zaś – ugody z pokrzywdzonym i prokuratorem. Wszystkie te instytucje i procedury już istnieją, ale dotychczas były słabo wykorzystywane. Ile jednak można czekać na sąd?

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl f60e042159

Podczas gali absolwentów warszawskiego Collegium Humanum w czerwcu 2022 r. wystąpiła Doda

Teatr jednego rektora

ANNA DĄBROWSKA

Dotarliśmy do wyników audytu w Collegium Humanum. Przemysław Czarnek przekazywał uczelni pieniądze na promocję, choć już było wiadomo, że to fabryka fikcyjnych dyplomów.

Przemysław Czarnek, kandydat PiS na premiera, oburza się, kiedy mówi się o jego związkach z aferą w Collegium Humanum. „Mieszanie mnie ze sprawą tylko dlatego, że prezydent Sutryk (prezydent Wrocławia, który uzyskał dyplom MBA na CH – przyp. red.) usłyszał zarzuty, jest dla mnie jakimś nieporozumieniem, czystą rozgrywką polityczną" – mówił Czarnek pod koniec 2024 r., kiedy afera z CH wybuchła na dobre, a Paweł C., rektor uczelni, siedział już od ośmiu miesięcy w areszcie.

POLITYKA dotarła do wyników audytu przeprowadzonego przez Izbę Administracji Skarbowej w Lublinie, zakończonego w czerwcu 2025 r. Dokument rzuca nowe światło na sprawę i wskazuje na to, że Przemysław Czarnek jako minister edukacji i nauki w rządzie PiS publicznymi pieniędzmi hojnie wspierał promocję Collegium Humanum – mimo negatywnych rekomendacji komisji, którą sam powołał w resorcie. A działo się to w czasie, kiedy media opisywały już, że uczelnia stała się fabryką produkującą dyplomy MBA, które po zmianie prawa przez PiS dawały przepustkę do zasiadania w radach nadzorczych państwowych spółek.

Dziś CH działa pod nazwą Uczelnia Biznesu i Nauk Stosowanych „Varsovia". Pawłowi C. prokurator postawił blisko 100 zarzutów, w tym m.in. korupcyjnych, a także kierowania zorganizowaną grupą przestępczą i fałszowania dyplomów na masową skalę. W lutym 2024 r. trafił do aresztu, a pod koniec roku wyszedł po wpłaceniu 2 mln zł poręczenia majątkowego.

Paweł C. był mistrzem piaru. Sporo pieniędzy wydawał na marketing i reklamę, wiele inwestował w ładne obrazki z rozpoczęcia i zakończenia roku akademickiego. Na organizowane przez uczelnię wydarzenia rektor zapraszał ludzi znanych i lubianych, często autorytety w swoich dziedzinach, które uwiarygodniały jego przestępczą – jak twierdzi dziś prokuratura – działalność.

16 marca 2022 r. rektor Paweł C. złożył do MEN wniosek o finansowanie projektu „Humanowski Festiwal Nauki" w ramach resortowego programu „Społeczna odpowiedzialność nauki" (SON). Wnioskował o 770 tys. zł. Projekt przewidywał „wymianę informacji, myśli, doświadczeń, nowatorskich pomysłów, które pozwoliłyby zgłębić idee kluczowych wyzwań w zakresie zarządzania i odkryć je na nowo". O ironio, zarządzanie uczelnią przez Pawła C. faktycznie okazało się nowatorskie – na swój aferalny sposób.

We wniosku napisano, że w ramach współpracy środowisk zorganizowana będzie w czerwcu 2023 r. pierwsza Gala Naukowo-Graduacyjna. Napisano wprost, że będą też wtedy wręczone ▶

© TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl f60e042159

▶ przyszłym menedżerom prestiżowe dyplomy studiów podyplomowych MBA. O jakie dyplomy chodziło, dziś już wiadomo. W 2024 r. w projekcie zaplanowano drugą taką samą galę, która nie doszła do skutku, bo Paweł. C siedział już wtedy za kratkami. Koszt obu imprez wyceniono we wniosku na 700 tys. zł. Wnioskiem zajął się zespół doradczy powołany przez ministra Czarnka. Ocena okazała się dla projektu miażdżąca i dokładnie obnażyła promocyjne intencje Pawła C.

Zespół ministerialny jasno stwierdził, że nie można CH przekazać pieniędzy, bo wniosek nijak się ma do popularyzacji nauki i ma jedynie potencjał biznesowy. „Projekt ma znaczenie marketingowe dla rozwoju Uczelni, budowania jej marki i prestiżu" – napisano w ocenie – i stwierdzono, że nie może być finansowany z ministerialnych pieniędzy i programu „Społecznej odpowiedzialności nauki". Oceniono też, że koszty zostały zawyżone i ostatecznie zespół doradczy ministra wydał negatywną rekomendację dla projektu CH. Paweł C. odwołał się od tej decyzji i sam minister Przemysław Czarnek zdecydował, że uczelnia dostanie pół miliona złotych w dwóch transzach przelanych na konto CH w styczniu 2023 r. i rok później. Na liście ministerialnej znalazło się niespełna 200 projektów, a dofinansowanie dla Collegium Humanum było jednym z najwyższych.

Raport z realizacji projektu, który uczelnia przekazała do resortu, potwierdził tylko negatywną opinię zespołu doradczego Czarnka i pokazał, że nie miał on nic wspólnego z popularyzacją osiągnięć naukowców i ich badań. Wszystko poszło na galę promującą Collegium Humanum, która odbyła się w czerwcu 2023 r. w Teatrze Polskim – wydano na nią 224 tys. zł. To m.in. 25 tys. zł na oprawę artystyczną, 67 tys. zł na wynajęcie Teatru Polskiego, 27 tys. zł na catering. W audycie Administracji Skarbowej zwrócono też uwagę, że nawet na swojej stronie internetowej uczelnia pisała o „Spektakularnej Gali Graduacji Absolwentów", że z „dumą podkreślano wrażenia artystyczne tej gali, na której za najważniejsze uznano wykonanie utworów przez Irenę Santor".

Paweł C., jak w latach ubiegłych, zaprosił na imprezę znane osoby powiązane ze światem polityki i biznesu, by uwiarygodnić swoją działalność. Problem w tym, że w czasie kiedy Czarnek jednoosobowo decydował o przekazaniu CH pół miliona złotych, powszechnie było już wiadomo, jaki model biznesowy stosuje Paweł C. Także zaproszeni goście, którzy mieli uświetnić i dać twarz imprezie CH, powinni zdawać sobie sprawę, w czym biorą udział. W internecie do dziś można znaleźć np. wypowiedź Gertrudy Uścińskiej, ówczesnej prezeski ZUS za rządów PiS, która wystąpiła wtedy na scenie, a w kuluarach dała taką oto wypowiedź: „Dzisiejsza gala wypadła znakomicie, po pierwsze, organizacyjnie, co jest nie lada wyczynem (...). Jest też wymiar akademicki, naukowy, a tak naprawdę wymiar budowania kapitału społecznego. Graduacja jest podkreśleniem wyników całorocznej pracy uczelni".

Przedsiębiorca Andrzej Wodzyński, właściciel Grupy Tubądzin, otrzymał wtedy z rąk Pawła C. Złoty Medal Sukcesu i wychwalał w kuluarach: „Pan Rektor, Magnificencja, stworzył taki prawdziwy teatr, w którym są aktorzy niebędący aktorami, którzy mają możliwość dotknięcia, przeżycia, spotkania się z gronem profesorskim bardzo dostojnie. Jestem pod wrażeniem tego, co tutaj się dzieje, i życzyłbym wszystkim uczelniom, aby tak umiały celebrować i docenić wkład naukowy profesorów i cieszyć się razem z absolwentami, że posiedli taką wiedzę".

Dziś okazuje się, że to wszystko faktycznie było tylko teatrem, a do tego imprezę zorganizowano za publiczne pieniądze przyznane przez ministra Czarnka.

Przypomnijmy, że POLITYKA jako pierwsza już na początku 2020 r. pisała o CH i działalności jej rektora i założyciela Pawła C. Kiedy śledziliśmy kariery osób związanych z Jackiem Sasinem, który lokował swoich ludzi w podległych mu spółkach, zauważyliśmy, że wiele z nich zdobyło MBA w Wyższej Szkole Menedżerskiej w Warszawie. Jej rektorem przez pięć lat był Paweł C. Następnie w 2018 r. założył CH, które stało się maszynką do robienia dyplomów MBA przez polityczne kadry, głównie PiS, ale też związane z rządzącą dzisiaj koalicją – od zwykłych działaczy, poprzez samorządowców, aż po polityków z najwyższych szczebli. Zwracaliśmy uwagę, że politycy hurtowo – i ekspresowo – kończą studia MBA, które pozwalają im zasiadać w radach nadzorczych państwowych spółek. Dwa lata później „Newsweek" oraz POLITYKA opublikowały obszerne listy z nazwiskami „absolwentów" CH, którzy z dyplomem MBA zasiedli w samorządowych i państwowych spółkach. Co więcej, w czerwcu 2022 r. opublikowaliśmy na naszych łamach test, którego zdanie online uprawniało do zdobycia MBA na CH. Jak stwierdzili wykładowcy z prestiżowych uczelni, których poprosiliśmy o ocenę testu CH, jego poziom był żenująco niski i skonstruowany tak, aby nie dało się nie zdać.

Do 2017 r., aby wejść do rady nadzorczej państwowej spółki, trzeba było spełnić jeden z warunków: zdać państwowy egzamin, być radcą prawnym, adwokatem, biegłym rewidentem lub mieć doktorat z prawa albo ekonomii. Nie było to łatwe, więc PiS dopisał do ustawy możliwość dla tych, którzy mają MBA. Jednocześnie nie zrobiono nic, aby uregulować rynek tych studiów, na co też zwracaliśmy uwagę. Dziś zatem minister Czarnek może się zarzekać, że żadnych związków z CH nie miał, ale pieniądze, które przyznał uczelni na kolejną promocję jej działalności w 2023 r., dowodzą, że przyczynił się do jej popularności. W tym czasie musiał zdawać sobie sprawę, jak funkcjonuje CH, ale ważniejsze okazało się to, że wielu ludzi związanych z PiS miało dyplomy tej uczelni i dzięki temu w 2023 r., a był to rok wyborczy, dalej mogli zarabiać w państwowych spółkach.

12 czerwca 2025 r. Administracja Skarbowa w Lublinie po sporządzeniu sprawozdania z audytu w CH złożyła zawiadomienie do prokuratury w sprawie wyłudzenia dotacji udzielonych na finansowanie świadczeń dla studentów oraz na realizację opisanego powyżej projektu Humanowski Festiwal Nauki poprzez wystawienie dokumentów poświadczających nieprawdę w celu uzyskania dotacji oraz w sprawie wykorzystania dotacji niezgodnie z przeznaczeniem. Kwota zawiadomienia to 3 mln 810 tys. zł, śledztwo wciąż trwa.

W audycie, do którego dotarła POLITYKA, szeroko opisany jest też proceder wystawiania w CH poświadczenia o ukończeniu pierwszego roku studiów dla studentów z Ukrainy, choć ani razu nie pojawili się na uczelni. – *Skala nieprawidłowości w tym zakresie jest zatrważająca* – mówi nam osoba znająca kulisy sprawy. Okazuje się, że był to system pozwalający na ominięcie obowiązkowego od 2006 r. egzaminu państwowego w Ukrainie – ZNO (tzw. niezależnej oceny zewnętrznej). ZNO jest ustandaryzowanym

eprasa.pl f60e042159

testem, obowiązkowym dla wszystkich absolwentów szkół średnich pragnących ubiegać się o przyjęcie do szkół wyższych w Ukrainie. Test przeprowadza Ukraińskie Centrum Oceny Jakości Kształcenia. Z egzaminu zwolnić może ukraińskiego studenta rok studiów na uczelni w UE. Rzeszowska delegatura CBA zabezpieczyła 1057 sfałszowanych zaświadczeń wydanych przez CH Ukraińcom, którzy nigdy tu nie studiowali. „Oczywiście te zaświadczenia poświadczały nieprawdę, te osoby nigdy u nas nie studiowały, nie były. Rektor dostawał za to pieniądze na rachunek, bo były wystawione faktury. Również za te osoby dostawał pieniądze w gotówce w euro i w dolarach. Po jakimś czasie musieliśmy jeszcze raz wystawić poświadczające nieprawdę dokumenty, bo zwracało się do nas Ministerstwo Ukrainy i pytało, czy te wcześniejsze zaświadczenia o studiowaniu w Polsce są prawdziwe, myśmy oczywiście odpowiadali, że tak" – zeznał jeden z podejrzanych w śledztwie.

Jest też kolejny wątek poświadczania nieprawdy, na którym rektor miał zarobić kolejne miliony z budżetu państwa. Izba Skarbowa zbadała, ile pieniędzy CH dostało w latach 2022–23 na świadczenia dla studentów. Wysokość tych świadczeń jest ustalana na podstawie tego, ilu studentów rektorzy danej uczelni wpisują do rejestru ministerialnego POL-on. To rektor odpowiada za rzetelność tych danych i powinny one odpowiadać faktycznej liczbie studentów. Administracja Skarbowa zweryfikowała to, co Paweł C. wpisywał do POL-onu, z wewnętrzną bazą danych CH – systemem Sokrates, przesłuchaniami świadków i dokumentami z CBA.

Okazuje się, że liczba studentów w CH rosła ekspresowo, bo na koniec 2020 r. było ich 3982, na koniec 2021 r. już 7836, a w 2022 r. – 12 tys. Co ciekawe – na co zwrócili uwagę kontrolerzy z Izby Skarbowej – nie towarzyszył temu wzrost liczby kadry naukowej. W 2022 i 2023 r. były to łącznie 123 osoby. Uczelnia wpisywała do POL-onu studentów swoich filii, na które nie miała pozwolenia, czyli działały nielegalnie (m.in. w Węgrzech, Niemczech i Ukrainie). Uprawiany był tu także proceder nieusuwania z bazy studentów osób, które złożyły dokumenty, ale ostatecznie nie podjęły studiów, ale też pozostawiania w niej tych, które już studia ukończyły. „Odbywało się to na polecenie rektora" – zeznawali podejrzani. Studenci nie logowali się do systemu, nie pisali żadnych testów, nie dokonywali wpłat, a byli w rejestrach uczelni, co więcej – mieli przypisywane oceny, nawet przez trzy lata.

Finansowo Paweł C. znacznie na tym skorzystał. W 2022 r. otrzymał z resortu edukacji 6,1 mln, a powinien dostać mniej o 1,4 mln, bo wykazał 2319 fikcyjnych studentów. W 2023 r. wykazał 3229 fikcyjnych studentów, za których otrzymał 2,1 mln zł nieuprawnionej dotacji (w 2023 r. dostał 9,2 mln zł).

Wracając do Czarnka, który dziś nie chce pamiętać o tym, jak wspierał Collegium Humanum, są jeszcze sprawy, których trudno mu się wyprzeć. W październiku 2022 r., czyli już po pierwszych publikacjach o nieprawidłowościach w CH, Czarnek przyznał rektorowi Pawłowi C. dyplom uznania. „W podziękowaniu za zasługi w dziedzinie dydaktycznej i naukowej, inspirowanie studentów do zdobywania i pogłębiania wiedzy. Z serdecznymi życzeniami powodzenia w realizacji działań na rzecz społeczności akademickiej" – napisał w liście. W imieniu ministra dyplom wręczył jego przedstawiciel.

Collegium Humanum chwaliło się też obecnością Czarnka w siedzibie filii szkoły w Rzeszowie 12 maja 2023 r. Było to pięć miesięcy po tym, jak podpisał z uczelnią umowę na przekazanie pieniędzy na opisaną promocyjną galę graduacji w Teatrze Polskim. Ówczesny minister pozował na zdjęciach z Pawłem C. oraz kard. Gerhardem Müllerem, który również przyjechał wtedy do stolicy Podkarpacia. Tego niemieckiego duchownego, który został honorowym członkiem konwentu Collegium Humanum, papież Franciszek odwołał z funkcji przewodniczącego watykańskiej Kongregacji Nauki. Kardynał jest przyjacielem rodziny Czarnka i zasłynął wspieraniem rządów PiS. W 2023 r. podczas wizyty w Polsce ogłosił, że „mamy do czynienia z próbą piątego rozbioru Polski (...). Nie próbuje się go dokonać za pomocą siły militarnej, ale w wyniku walki, przemocy ideologicznej". Kardynał ma spójne poglądy z Przemysławem Czarnkiem.

W komunikacie na stronach CH pisano po tej wizycie, że minister Czarnek „został oprowadzony po siedzibie, spotkał się ze studentami oraz pracownikami Uczelni", podkreślał znaczenie działalności naukowej oraz publicznej JE Kardynała i życzył dalszych sukcesów i rozwoju studentom, władzom oraz kadrze Collegium Humanum. Zaraz po wizycie w CH w lipcu Czarnek poprowadził swoją córkę do ołtarza, przy którym głównym celebransem był kard. Gerhard Müller. Nasi rozmówcy twierdzą, że to Czarnek przyprowadził kardynała do Collegium Humanum.

Choć dziś kandydat PiS na premiera próbuje się wybielać i zaprzecza relacjom z Pawłem C., nie ma wątpliwości co do tego, że fabryka dyplomów mocno przysłużyła się władzy PiS, a Czarnek przyczynił się do „sukcesu" jej rektora.

ANNA DĄBROWSKA

© WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

eprasa.pl f60e042159

Zimne łóżka

Im więcej seksu i erotyki wokół nas, tym zimniej w naszych sypialniach. Połowa kobiet i niewiele mniej mężczyzn traci zainteresowanie życiem łóżkowym. Na Wisłą z sypialni wieje coraz większym chłodem.

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA

W 1997 r. aktywność seksualną w ciągu ostatniego roku deklarowało 86 proc. respondentów, dwie dekady później już tylko 76 proc. – wynika z raportów „Seksualność Polaków" seksuologa i badacza prof. Zbigniewa Izdebskiego. Kolejne badanie, przeprowadzone w trakcie pandemii, przyniosło jeszcze smutniejsze wnioski. Zmęczenie i stres sprawiły, że ponad połowa kobiet oraz 43 proc. mężczyzn w ogóle przestało myśleć o zbliżeniach.

W 2017 r. przy pytaniu o zadowolenie ze swojego życia seksualnego prof. Izdebski poza standardowymi odpowiedziami (na skali od „bardzo zadowolony" do „bardzo niezadowolony") dodał jeszcze jedną: „ani zadowolony, ani niezadowolony". Zaznaczyło ją 33 proc. respondentów, czyli jedna trzecia Polaków nawet nie wie, czy jest zadowolona ze swojego życia seksualnego, czy nie. Więcej osób – 35 proc. – zaznaczyło odpowiedź „raczej zadowolony". Bardzo zadowolonych było 17 proc. Spośród badanych 66 proc. było w tym czasie w stałych związkach.

– *Gdy pytam o życie seksualne, pacjenci najczęściej odpowiadają datą ostatniego stosunku albo miesięczną „średnią". Rzadko mówią o poziomie satysfakcji. Jakby w seksie liczyła się przede wszystkim ilość, a nie jakość* – mówi seksuolog dr n. med. Robert Kowalczyk, prof. UMW. – *Dzieje się tak m.in. dlatego, że w związkach łatwiej negocjuje się częstotliwość niż sens i znaczenie bliskości. Za tym często stoi założenie, czasem nawet nadzieja, że sama częstotliwość naprawi dystans w komunikacji, czułości i poczuciu bezpieczeństwa.*

Już nie kręci jak kiedyś

Magda rozkłada na łóżku naręcze bielizny. Są tam m.in. koronkowe seksowne komplety: stanik i stringi, ale także figi, niby zwyczajne, tylko że z rozcięciem w kroku. Do tego czarne body, którego prześwitujący materiał niczego nie zasłania, czy kuszące koszulki nocne i halki. – *Zgadnij, co z tego wywołało podniecenie u mojego męża?* – pyta 35-letnia wysportowana brunetka. – *To fikuśne czarne body? – Odpowiedź brzmi: nic.*

Te najbardziej wyzywające i jednocześnie najmniej wygodne wdzianka Magda miała na sobie tylko raz. Dziś zamiast stringów czy majtek z dziurką nosi bawełniane figi z sieciówek, a koronkowe staniki zamieniła na sportowe. Stawia na wygodę, w końcu jej życie seksualne i tak nie istnieje.

Z Narodowego Testu Zdrowia Polaków wynika, że rok do roku zwiększa się liczba dorosłych nieuprawiających seksu w ogóle. W 2020 r. tak odpowiedziało 26 proc. kobiet i 16 proc. mężczyzn, a w 2025 r. już 37 proc. kobiet (w tym roku była to najczęstsza odpowiedź kobiet!) i 26 proc. mężczyzn.

I żyli długo, i...

Początki relacji par, które po latach prawie lub całkowicie przestały uprawiać seks, brzmią podobnie. Na początku nie mogą się od siebie oderwać. Seks uprawiają codziennie, a czasem nawet kilka razy dziennie. Gdy się nie widzą, ślą esemesy pełne erotycznego napięcia.

– *Mieliśmy po dwadzieścia kilka lat, ślub wzięliśmy dość szybko. Byliśmy zakochani, otwarci, lubiliśmy się bawić. Seks był integralną częścią nas* – wspomina 42-letni Kamil. – *Po kilku latach weszliśmy na trochę inny etap życia – poważna, angażująca praca, kursy*

eprasa.pl f60e042159

doszkalające, regularne zajęcia sportowe. Seks nie był już tak częsty, coś, co wcześniej działało siłą rozpędu, zaczęło zwalniać.

W ich relacji teoretycznie niewiele się zmieniło. Nie brakowało czułości, wsparcia, intymności czy wspólnego hobby. A z drugiej strony nie byli papużkami nierozłączkami, każde miało swoje odrębne zainteresowania oraz prace, które wymagały wyjazdów. Nadal się świetnie dogadywali, poza jedyną kwestią.

– *O tym, że w tej sferze coś się między nami psuje, rozmawiać nie umieliśmy. Wszelkie próby wywoływały tylko frustrację. Oboje dążyliśmy do zbliżeń, ale coraz częściej nam to nie wychodziło.*

Paradoksalnie – zauważa prof. Kowalczyk – na rozmowy o seksie jesteśmy bardziej otwarci, gdy się jeszcze właściwie nie znamy, a wraz ze stażem związku może pojawić się wstyd. To efekt tego, że na początku związku jesteśmy tak zachwyceni drugą osobą, że racjonalność idzie w kąt. Gdy relacja się zacieśnia, zaczynamy kalkulować, ograniczać się, nie mówić wszystkiego, aby nie zrazić tej osoby do siebie. – *Nieraz słyszę w gabinecie, jak jedno mówi: „No, ale to ci się przecież podoba!", a drugie odpowiada: „To mi się podobało, ale pięć lat temu".*

Seks z kalendarza

Zmiany w pożądaniu są naturalnym etapem relacji, a nie od razu dowodem na kryzys. Kultura promuje pożądanie spontaniczne jako jedyne słuszne i autentyczne – te wszystkie filmowe historie, w których bohaterowie po całym dniu pracy, a potem jeszcze walce ze złymi ludźmi, brudni i spoceni rzucają się na siebie i oczywiście osiągają orgazm w tym samym momencie.

© GETTY IMAGES

W takim kontekście pożądanie responsywne, czyli takie, które pojawia się dopiero w odpowiedzi na jakieś bodźce, wydaje się nudne. Terapeuci zalecają parom, aby planowały seks, szczególnie gdy ich życie wejdzie na bardziej „dorosły" etap. Seks jako pozycja w kalendarzu między telefonem do spółdzielni a kupnem proszku do prania? To nie brzmi seksi.

– *Seks wymaga czasu i przestrzeni. Gdy jesteśmy młodzi, zazwyczaj mamy mniej zobowiązań, z wiekiem dochodzą kolejne. Seks zaczyna działać jak punkt do odhaczenia, ukoronowanie dnia, a nawet ostateczna miara sukcesu: praca, szkolenia, delegacje, sport, ambitne hobby, znajomi, niedospanie, jedzenie w biegu, a na koniec jeszcze idealny, w pełni satysfakcjonujący seks* – zauważa prof. Robert Kowalczyk. Biologii nie oszukamy, zbyt długie życie na pełnych obrotach kończy się spadkiem formy fizycznej i psychicznej, co odbija się m.in. na libido.

Dziś nieustannie coś domaga się naszej uwagi, nawet oglądając film czy serial, co chwilę zaglądamy do telefonu. Żyjemy w trójkątach: ja, ona i smartfon.

Pacjentom prof. Kowalczyka zdarza się łapać za telefony, zanim jeszcze opuszczą gabinet. – *Brak higieny cyfrowej przekłada się na to, co dzieje się w łóżku. I nie trzeba szukać daleko: media atencyjne, które notabene ze społecznością mają niewiele wspólnego, dostarczają nam „głasków" i punktów odniesienia do tego stopnia, że zwykłe życie zaczyna wydawać się mniej atrakcyjne.*

Kogo boli głowa?

Początki związku Magdy i jej męża nie były filmowe. Poznali się na imprezie u koleżanki, od razu złapali dobry kontakt i przegadali pół nocy. Po kilku randkach wylądowali w łóżku. – *Seks między nami był fajny* – opisuje. – *Miałam w życiu lepszych kochanków, ale pewnie dlatego tak ich wspominam, bo zawsze to były jakieś szalone romanse bez przyszłości. A tu od razu czułam, że to mężczyzna mojego życia, przyszły mąż i ojciec dzieci. Słuchaliśmy się, obojgu zależało nam, aby druga strona kończyła seks spełnieniem.*

Problemy zaczęły się trzy lata później, gdy Magda nie mogła zajść w ciążę. Im częściej lekarze kazali jej mniej się stresować, tym stresowała się bardziej, pojawiły się bóle pleców i problemy żołądkowe. Zbliżenia zaczęły jej się kojarzyć z poczuciem porażki. Podkreśla, że mąż był bardzo wyrozumiały, nie naciskał, akceptował, że seks zaczął się ograniczać tylko do dni płodnych.

Po dwóch latach starań na teście pojawiły się dwie kreski. Na fali szczęścia przeznaczyli oszczędności na wkład własny i kupili mieszkanie, rodzina pomogła w remoncie. Tydzień po przeprowadzce, gdy Magda miała już poważne problemy z wiązaniem butów, jej mąż został zwolniony z pracy. – *Z dnia na dzień zgasł. Potem zaczął mi wypominać, że naciskałam na zakup mieszkania, że po co nam taki drogi wózek itd. Po raz pierwszy pojawiły się między nami ciche dni* – wspomina. Pracę, o wiele lepszą od poprzedniej, znalazł po niespełna dwóch miesiącach, ale to go nie uspokoiło. – *Bardzo się angażował, chciał się pokazać z jak najlepszej strony, co oczywiście rozumiem. Ale przez to praktycznie cała opieka nad córeczką spadła na mnie, bo on był wiecznie w pracy, nawet w domu. Gdy kończył, to albo padał śpiący, albo grał w jakieś głupie strzelanki, albo oglądał filmiki na YouTube. Seks przestał go interesować.*

Dzięki jego lepszym zarobkom mogli sobie pozwolić na wsparcie opiekunki. Magda zaczęła chodzić na zajęcia fitness, im bardziej energetyczne, tym lepsze, bo pomagały jej rozładować napięcie. Takiej figury nie miała nigdy, obcy mężczyźni zaczęli ▶

eprasa.pl f60e042159

▶ się za nią oglądać. Znów poczuła się kobietą, a nie tylko matką. Wtedy zaczęła kupować seksowną bieliznę, ładne sukienki, wróciła do makijażu.

– *Tyle się naczytałam o kobietach, które po urodzeniu dziecka nie mają już ochoty na seks i jaki to problem dla facetów. U nas było odwrotnie, ale wciąż podejmowałam próby. Aż pewnej nocy, gdy córka miała z półtora roku, mąż powiedział, że czuje się przeze mnie molestowany. Poczułam się brudna.*

Choć o seksualności mówimy coraz częściej w przestrzeni publicznej, męskie pożądanie wciąż jest tabu. Sytuacji nie poprawiają reklamodawcy – godzina oglądania telewizji czy słuchania radia bez zachwytów nad środkiem na potencję to godzina stracona. Konar ma płonąć, najlepiej ogniem olimpijskim. Pożądanie u mężczyzny jest tam domyślne (kobiecie wystarcza widok penisa we wzwodzie). Problem z erekcją? Weź pigułkę!

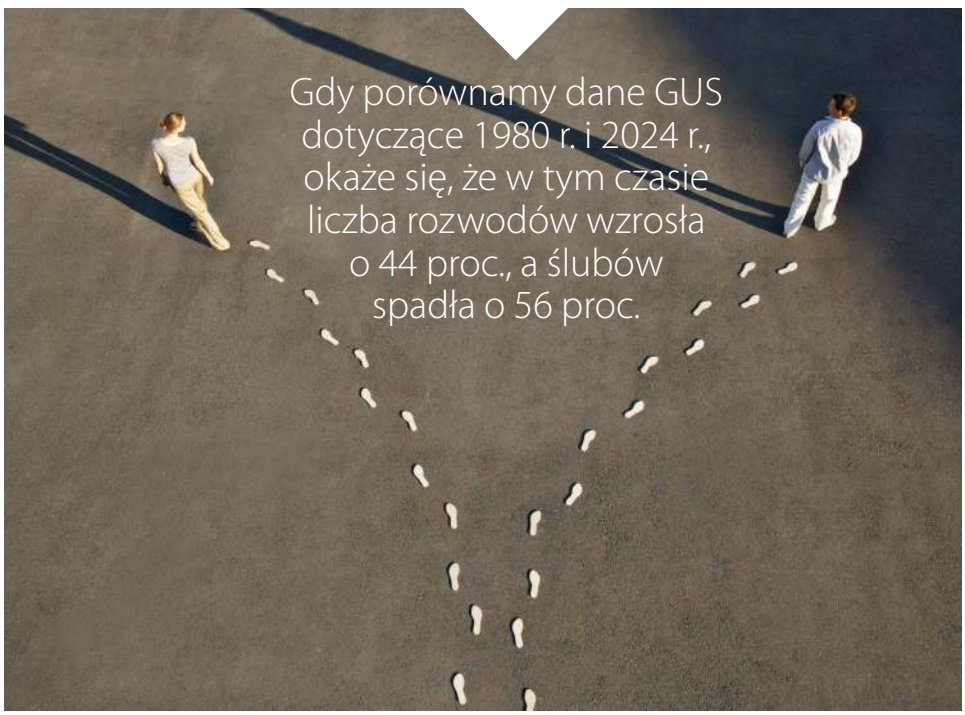

Najlepiej niebieską – Viagrę (sildenafil), jeden z największych komercyjnych sukcesów w historii farmacji. Preparaty zawierające sildenafil oraz podobnie działający tadalafil od lat są w Polsce dostępne zarówno na receptę, jak i bez niej. A – jak wynika z danych firmy PEX – ich sprzedaż w aptekach systematycznie rośnie. W 2025 r. na receptę wykupiono 2,1 mln opakowań (w 2020 r. – 1,4 mln), natomiast bez recepty sprzedano aż 8,6 mln (w 2020 r. – 5,7 mln). Tymczasem zarówno jedne, jak i drugie mogą wchodzić w interakcje z innymi lekami oraz maskować objawy poważnych chorób, których pierwszym sygnałem bywają zaburzenia erekcji. A to powinno skłaniać do konsultacji z lekarzem lub terapeutą, gdyż mogą też świadczyć o trudnościach w relacji – nie tylko u kobiet podniecenie rodzi się między uszami.

Leki na potencję to nie „włączniki erekcji", bo ta zaczyna się od sygnału płynącego z mózgu pod wpływem bodźców seksualnych. One tylko wzmacniają i wydłużają naturalną odpowiedź na pobudzenie, które pod wpływem zewnętrznych bodźców płynie z mózgu, ale jeśli go nie będzie, nie będą miały czego wzmacniać.

– *Z różnych badań i teorii męskości wynika, że dla wielu mężczyzn poczucie „bycia męskim" jest czymś, co trzeba stale potwierdzać w oczach własnych i otoczenia. W tej logice wysoka sprawność seksualna staje się łatwym, społecznie czytelnym dowodem męskości, więc gdy pojawiają się trudności z pożądaniem, pojawia się nie tylko frustracja, ale też presja i wstyd. W narracji społecznej kobieta, która mówi, że nie ma ochoty na seks, często nie budzi zdziwienia. Ale mężczyzna mówiący to samo wciąż bywa odbierany jako taki, z którym „coś jest nie tak" i który jest „mniej męski"* – precyzuje prof. Robert Kowalczyk.

Ciało wie pierwsze

Anna ma dziś 52 lata, dwóch dorosłych synów, za sobą sporo związków, kilka pierścionków zaręczynowych, ale za mąż nigdy nie wyszła. Od wczesnych lat nastoletnich była mocno rozbudzona seksualnie oraz ciekawa i – jak podkreśla – ta ciekawość nigdy jej nie przeszła. Obecny partner jest jednym z jej najlepszych kochanków, do tego jest bardzo przystojny, kilka lat od niej młodszy i nieźle zarabia. Są ze sobą od 10 lat, od pięciu mieszkają razem, od roku nie uprawiali seksu.

– *Moje związki są bardzo schematyczne, wszystkie tak samo się kończą* – opowiada. – *Na początku jest super, jestem bardzo otwarta, zaangażowana. A potem przychodzi ten moment, gdy tracę zaufanie, gdzieś ta lojalność partnera się kończy. Najczęściej ma to związek z jakimś kłamstwem. Gdy je odkrywam, z minuty na minutę odrzuca mnie od partnera, przestaję czuć do niego pożądanie. Ciało zawsze jest pierwsze – najpierw ciało mówi nie, a dopiero potem rozum zdaje sobie sprawę, że to reakcja na utratę poczucia bezpieczeństwa.*

W tym związku doszło do tego niedługo po tym, jak zamieszkali razem. Partner zarzekał się, że się zmieni. Anna dziś wie, że już wtedy powinna odejść, ale ile razy można zaczynać od nowa? Może z wiekiem trochę złagodniała? A może – zastanawia się – postawiła na wygodę? Przez cztery lata starała się ratować związek. Poszli na terapię par, ale szło jak po grudzie. Po roku niewiele się zmieniło, partner nadal nie jest w stanie rozmawiać z nią szczerze, bywa słownie agresywny. Anna jest świadoma, że wynika to z jego wewnętrznych problemów i przeszłości, ale ostatecznie cierpi także ona. – *Pogorszyło się moje zdrowie psychicznie, jestem bardziej depresyjna. Uciekłam w pracę, dzięki której wiele miesięcy w roku jestem poza domem. Pewnie tylko dzięki temu oficjalnie wciąż jesteśmy razem. Mentalnie już się spakowałam. Hibernuję.*

Odkąd wymyślono niebieską pigułkę, mówi się, że teraz czas na różową, czyli magiczną tabletkę na pożądanie – w domyśle dla kobiet. Statystycznie rzeczywiście to kobiety zgłaszające się do seksuologów najczęściej skarżą się na zaburzenia w obszarze pożądania, a mężczyźni na zaburzenia wytrysku. Z raportu prof. Izdebskiego wynika, że 50 proc. kobiet uprawia seks

eprasa.pl f60e042159

ze stałym partnerem, gdy nie ma na to ochoty; wśród mężczyzn ten odsetek wynosi 39 proc. Prof. Robert Kowalczyk w powstanie uniwersalnej „tabletki na pożądanie" nie wierzy, bo jego odczuwanie bądź nie to procesy bardzo złożone. W długich związkach mogą mieć na nie wpływ cztery czynniki: indywidualne (np. doświadczenie przemocy), społeczne (np. pornografia), biologiczne (poza najróżniejszymi problemami zdrowotnymi także np. przemęczenie, zła dieta), relacyjne (czyli wszystko to, co dzieje się między partnerami).

Nie ma więc jednego guzika, który wystarczy wcisnąć, by zadziała się magia. Tego nie da nam chociażby coraz modniejsza także u kobiet suplementacja testosteronu, która może trochę podnieść libido, ale tylko u pacjentów, którzy mają niedobór tego hormonu. Jednak nawet wtedy nie będą mieli ochoty na seks na zawołanie.

Rodzinna firma

Kamil mówi, że nic w życiu nie zdziwiło go tak bardzo jak to, że właściwie nie uprawiając już seksu, zaszli w ciążę przy pierwszej próbie. Podzielili się opieką nad córką po połowie, każdego dnia tylko jedno z nich się nią zajmowało, a drugie mogło robić – poza pracą zawodową – co chce. Dokładnie to rozpisali jak biznesplan. Brzmi jak marzenie niejednej umęczonej matki, prawda?

– *Dzięki temu każde z nas zbudowało głęboką relację z córką. Tylko że nie zbudowaliśmy naszej relacji we troje, a ja i żona zaczęliśmy żyć osobnymi życiami. Mimo to operacyjnie działamy jak świetnie funkcjonująca firma.*

Z czasem małżeństwo zaczęło się coraz gorzej dogadywać, a intymności – przytulania, dotyku, całowania – było coraz mniej, aż zanikła zupełnie. Czasem jednak nocą żona Kamila przytulała się do niego przez sen. To dawało mu nadzieję i rekompensowało brak bliskości w ciągu dnia, której brakuje mu bardziej niż samego seksu.

Anna nie szuka przygód poza związkiem; raz, że szkoda jej nerwów i czasu, a dwa – pożądanie nie wyłącza jej się tylko na partnera, który ją zawiódł, ale także na innych mężczyzn. – *Tak sobie myślę, że gdy już się rozstaniemy, to nie będę nikogo nowego szukać. Mnie się już nie chce po raz kolejny zaczynać, zawodzić się. Mamy taki wybór zabawek erotycznych i pornografii, że to nie ma sensu. Moja własna fantazja mi wystarczy.*

Pornografia to fantazja o seksie, ale wcale nie taka niewinna. Nie chodzi tylko o ryzyko uzależnienia ani o to, że przekonuje nas, jak „powinny" wyglądać ludzkie ciała. W filmach porno nie ma dyskusji o pożądaniu, bo ono jest tam zawsze i nie słabnie mimo odbycia wielu długich stosunków i przeżyciu nieziemskich orgazmów. I nawet jeśli mamy świadomość, że to tylko film, prezentowana wizja niesamowicie oddziałuje na mózg, dostarczając mu coraz większego dopaminowego haju. A ten jest dostępny na wyciągnięcie ręki, wystarczy kilka klików na telefonie, by wejść do Narni dla dorosłych. Tu nikt nie odrzuca, nie ocenia, nie wymaga. Satysfakcja gwarantowana w kilka minut. Tylko jak potem cieszyć się realnym seksem?

Dziś Magda i jej mąż wieczory spędzają wspólnie, oglądając film czy serial lub – co zdarza się o wiele częściej – ona w sypialni scrolluje Instagram, a on gra w gry. Do łóżka kładzie się, gdy żona już śpi, seksu nie uprawiają od trzech lat. Ona w pełni akceptowana i kochana czuje się dziś tylko przez pięcioletnią córkę, jedyną osobę w tym domu, która ją przytula.

– *Dwa czy trzy lata temu, już nie pamiętam, kiedy dokładnie, żona powiedziała, że ona nie chce już ode mnie ani seksu, ani jakiejkolwiek bliskości, dotyku, i wyniosła się na kanapę* – wspomina Kamil. Próbował namówić żonę na terapię, ale ona nie chciała, by „ktoś obcy mówił jej, jak ma żyć". Dlatego – aby poradzić sobie z własnymi uczuciami – poszedł na psychoterapię indywidualną. Rozwodu na razie sobie nie wyobraża ze względu na córkę. Z drugiej strony dziewczynka, choć ma tylko 10 lat, widzi, że między rodzicami dzieje się coś złego.

Gdy porównamy dane GUS dotyczące 1980 i 2024 r., okaże się, że w tym czasie liczba rozwodów wzrosła o 44 proc., a ślubów spadła o 56 proc. Czołówka przyczyn rozwodów jest od lat niezmienna, dane z 2024 r.: „niezgodność charakterów" (57 proc.), „niedochowanie wierności" (15 proc.) i „nadużywanie alkoholu" (12 proc.). „Niedobór seksualny" jest na szarym końcu (0,3 proc.). Czy to znaczy, że problem nie istnieje, czy raczej że nie chcemy o nim mówić przed sądem?

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA

© GETTY IMAGES

REKLAMA

www.podtezniami.pl

KLINIKA UZDROWISKOWA „POD TĘŻNIAMI" – SANATORIUM W CIECHOCINKU

Zadbaj o zdrowie. Odzyskaj energię.

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

LECZENIE I REHABILITACJA
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
07.04–28.06 oraz 28.06 - 27.09.2026
W ramach pobytu:
• 15 lub 20 zabiegów leczniczych
• diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
• basen solankowy
• basen wewnętrzny i zewnętrzny—do 90 minut dziennie

TURNUSY SPECJALISTYCZNE: ZDROWY KRĘGOSŁUP • NEUROLOGICZNY • DLA AKTYWNYCH BIODRA • KOLANA • BARK • ANTYSTRESOWY • KARDIOLOGICZNY Z DIAGNOSTYKĄ
* możliwa dopłata

Turnus Wielkanocny
02 - 07.04.2026
Ostatnie wolne miejsca
ZADZWOŃ i SPRAWDŹ

PAKIET DIETETYCZNY ODCHUDZAJĄCY
7-DNIOWE POBYTY ZDROWOTNE
07.04–28.06 oraz 28.06 - 27.09.2026
W pakiecie:
• opieka dietetyka i analiza składu ciała
• indywidualny plan żywienia oraz jadłospis do domu
• 15 zabiegów wspierających redukcję masy ciała
• ćwiczenia grupowe, FIT Park
• basen, sauny, łaźnie, grota solna
• konsultacje i badania lekarskie

54 416 70 00
rezerwacja@podtezniami.pl
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl f60e042159

Mustang i szkapy

Pijany kierowca stracił luksusowe auto, drogówka będzie nim ścigać piratów drogowych. Ale takie gratki trafiają się dużo rzadziej niż zwykłe graty. Bo głównie nimi jeździ Polska, która pije.

MARCIN PIĄTEK

Ładny jest, amerykański. I ma moc. Konkretnie 450 koni mechanicznych, pięciolitrowy silnik o ośmiu cylindrach. W fabrycznej wersji Ford Mustang GT lśnił sportową czerwienią, ale aktualnie mieni się kolorami policyjnymi, gdyż skonfiskowany pijanemu kierowcy został włączony do floty ścigającej drogowych piratów grupy Speed z Radomia. – *Społeczeństwo się bogaci, co widać na drogach. Coraz mocniejsze i szybsze auta, nie wszystkie są w rękach rozsądnych ludzi. Musimy mieć ich czym gonić* – mówi podkomisarz Karol Głogowski, zaliczony przez przełożonych do wąskiego grona patrolujących w Mustangu (przesądziły wykazane do tej pory umiejętności za kółkiem).

Radomska policja ewidentnie była pod wrażeniem prezentu, do którego Skarb Państwa musiał dołożyć 50 tys. zł (oklejenie, radiostacja i sygnały, nowe opony, przegląd oraz niezbędne naprawy). Z ekscytacją zapowiadano „spotkanie z czystą mocą nowej ikony mazowieckich dróg". Konferencja prasowa odbyła się na torze Automobilklubu Radom, inspektor Głogowski pokonał kilka pokazowych okrążeń; był start z piskiem opon i gaz na krótkiej prostej. Atmosferę zmąciło nieco pytanie dziennikarki radiowej, czy aby nierozsądniej byłoby sprzedać paliwożernego Mustanga i przeznaczyć na policyjne potrzeby jakiegoś bardziej ekonomicznego wozu. Odpowiedź funkcjonariuszy sprowadzała się do tego, że darowanemu Mustangowi do baku się nie zagląda.

Prezentacja była też po to, by zdementować fake newsy, że policjanci zdążyli już Mustanga rozbić, co podkręcano sfabrykowanym zdjęciem uszkodzonego tyłu auta znajdującego się na lawecie. Do dezinformacji dołączył europoseł PiS Waldemar Buda, który na swoim koncie w portalu słynącym z cynicznego szerzenia kłamstw raczył donieść, że luksusowe auto to nowy samochód szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego.

Mocarz na kółkach

Początek końca fabrycznej czerwieni Forda Mustanga w wersji GT, rocznik 2018, miał miejsce w wielkanocną sobotę ubiegłego roku, kiedy to jego właściciel, L.A., 39-letni mieszkaniec Warszawy, tuż przed północą wjechał do rowu w powiecie ciechanowskim. A w zasadzie się wtoczył, gdyż samochód wyglądał na nieuszkodzony. Stwierdzili to policjanci z pobliskiego posterunku, którzy akurat tamtędy przejeżdżali. Naocznie byli również w stanie stwierdzić, że właściciel auta powinien był leżeć, a nie siedzieć, zwłaszcza za kółkiem. Alkomat wyświetlił prawie 2,3 promila, co oznacza, że L.A. był, jak to się mawia, „zalany w trupa". To, że znalazł się w rowie, najprawdopodobniej uratowało życie jemu albo przypadkowym osobom. Mustang jest czuły na pracę pedału gazu, do setki przyspiesza w pięć sekund. Waży prawie dwie tony, Amerykanie mawiają na takie wozy *muscle car*.

L.A. wracał z obiadu u mieszkającej w okolicy rodziny. Rachunek za ten obiad dostał pięć miesięcy później od Sądu Rejonowego w Ciechanowie: 3 tys. zł grzywny, 5 tys. na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym, trzyletni zakaz prowadzenia pojazdów (czyli minimum według obecnych przepisów), no i na deser przepadek auta wartego jakieś 150 tys. zł. Od marca 2024 r. obowiązują bowiem przepisy, które obligują sąd do konfiskaty pojazdu kierowcy, u którego badanie alkomatem

eprasa.pl f60e042159

Policjanci jeździli już rozmaitymi radiowozami, ale takiego Mustanga jak na sąsiedniej stronie jeszcze nie mieli w swojej stajni

dało wynik powyżej 1,5 promila, a gdy mamy do czynienia z pijanym sprawcą wypadku, próg wynosi 1 promil (za auto rozbite należy się równowartość). – *Przepis stanowi, że w wyjątkowym przypadku uzasadnionym szczególnymi okolicznościami sąd może od zajęcia odstąpić. Ale sprawa kierowcy Mustanga była nie do obrony. Nawet nie walczył, przystał na dobrowolne poddanie się karze* – mówi Przemysław Bońkowski, szef Prokuratury Rejonowej w Ciechanowie, w której sporządzono akt oskarżenia.

Gdy sądowa droga zostanie zakończona i przepadek na rzecz Skarbu Państwa orzeczony, przejęty samochód trafia do urzędów skarbowych organizujących licytacje. – *Najpierw cena wywoławcza wynosi 70 proc. wartości, jeśli potrzebna jest druga licytacja, punkt wyjścia to 50 proc., a przy ewentualnej trzeciej samochód jest sprzedawany za minimum jedną dziesiątą jego wartości rynkowej. W praktyce bywa to kilkaset złotych. Mniej niż uzyskujemy z rozwiązania ostatecznego, czyli złomowania, zasilającego Skarb Państwa kwotą około tysiąca złotych* – informuje Michał Deruś, rzecznik prasowy Izby Administracji Skarbowej w Lublinie.

Kokosów nie będzie

Według informacji przekazanych z Ministerstwa Finansów: od marca 2024 r., gdy przepisy o konfiskacie weszły w życie, do końca lutego 2026 r. zlicytowano 6316 samochodów i uzyskano z tego tytułu prawie 27 mln zł. W tej kwocie mieszczą się też wpływy ze złomowania pojazdów, na które nie było chętnych. Danych, ile „przepadniętych" aut ostatecznie poszło na szroty, nie ma. – *U nas w województwie to co najmniej 10 proc. samochodów. Wiele nadaje się tylko na części. Do trzeciej licytacji przystępują głównie mechanicy i złomiarze* – dodaje Michał Deruś.

Wychodzi średnio 4,2 tys. zł za samochód, co dobrze obrazuje stan posiadania Polski, która pije i jeździ. – *Większość aut, które są rekwirowane, to trupy: zdezelowane, czasami bez badań technicznych. Już sam fakt, że znikają z dróg, przyczynia się do poprawy bezpieczeństwa* – mówi policjant z centralnej Polski. Komenda Główna Policji poinformowała, że do tej pory z przejętych od pijanych kierowców samochodów na policyjne potrzeby nadawało się zaledwie 21. Mustang od razu przykuł uwagę, zwłaszcza że spełniał również potrzeby grupy Speed, gdzie radiowóz powinien mieć co najmniej 220 koni mechanicznych.

Służby prędzej doposażą swoją flotę przy okazji innych postępowań, w których zabezpieczany jest majątek. Najsłynniejszy przypadek, jeśli chodzi o samochody, to wart ok. 400 tys. zł Range Rover Velar, skonfiskowany byłemu ministrowi transportu Sławomirowi Nowakowi, oskarżonemu wówczas o przyjmowanie łapówek za załatwianie posad w państwowych spółkach. Luksusowy SUV nie należał formalnie do Nowaka, ale do jego przyjaciela Jacka P., który został w sprawie objęty statusem świadka koronnego i zeznał, że kupił auto za pieniądze z łapówek na polecenie Nowaka i że to Nowak nim jeździł. W sprawie dokonują się sensacyjne zwroty akcji, główny oskarżony zdążył już ogłosić swoją niewinność. A Range Roverem jeżdżą na razie funkcjonariusze Straży Granicznej.

Jeśli chodzi o jazdę z procentami, przepisy umożliwiają sądom również orzeczenie przepadku równowartości pojazdu – np. gdy stanowi współwłasność, jest w leasingu lub został wypożyczony – i dzięki temu państwowa kasa wzbogaciła się jak do tej pory o kolejne 22,5 mln zł. Wydatki poniesione przez organy likwidacyjne w związku z całą procedurą zbycia to z kolei 3 mln zł. Z punktu widzenia Skarbu Państwa bilans się więc zgadza, ale co do zasady nie o zapełnianie publicznej kasy chodziło; policyjne doświadczenie z „flotą" pijanych kierowców podpowiadało, że kokosów z tego nie będzie.

Odstraszanie przez zabieranie

Ważniejsze były względy prewencyjne, czyli wizja utraty pojazdu, która znalazła się w pakiecie przepisów nagłaśnianych jako koniec pobłażania dla piratów drogowych, w tym przede wszystkim dla pijaków za kółkiem. W jego skład wchodziły też podwyższone mandaty (które jednak nie zawsze jest z czego ściągnąć), jak również nawet dożywotnia utrata prawa jazdy oraz kary bezwzględnego pozbawienia wolności. Z egzekucją prawa państwo miewa jednak problem. Sądy są zawalone, więc sprawy trafiają do rozpoznania w postępowaniu nakazowym, które nie przewiduje kar więzienia, nawet w zawieszeniu. Wymiar sprawiedliwości ma również na koncie kompromitacje, orzekając dożywotni zakaz prowadzenia kierowcom mającym już taki uprzednio (rekordziści skumulowali po kilkanaście), ewentualnie dokładając do dożywocia jeszcze kilka lat, w odrębnym postępowaniu. W ten sposób sądy prowadzą wobec piratów drogowych program „dożywocie plus", co byłoby śmieszne, gdyby jednocześnie nie było śmiertelnie niebezpieczne dla innych użytkowników dróg (POLITYKA 50/25).

Zaostrzenie prawa nie przyniosło jednak przełomu, jeśli chodzi o bezpieczeństwo na polskich drogach. Liczba ▶

© PIOTR POLAK/PAP, MACIEJ PIASTA/FORUM, DARIUSZ REDOS/REPORTER, MIECZYSŁAW WŁODARSKI/REPORTER

eprasa.pl f60e042159

▶ zatrzymanych „po spożyciu" wygląda następująco: w 2023 r. było to 95 639 osób, w 2024 r. – 92 324, ale w 2025 r., pierwszym pełnym roku obowiązywania przepisów o przepadku samochodów – 92 532. Czy perspektywa utraty samochodu robi na kierujących, którzy nie potrafią sobie odmówić „kielicha", wrażenie, trudno powiedzieć. W tego rodzaju socjologię policyjna statystyka się nie bawi. W subtelności, zaostrzając prawo drogowe, nie bawili się również posłowie.

Przepisy o obligatoryjnej konfiskacie pojazdów były krytykowane za niezgodność z konstytucją. Prof. Mikołaj Matecki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor portalu dogmatykarnisty.pl, argumentował, że gdy kara jest w określonych sytuacjach z góry ustalona, obywatel traci prawo do rozpoznania jego sprawy przez sąd, który ogranicza się do przyklepania sankcji. Poza tym konkretna kara powinna być przypisana do czynu, tymczasem mamy do czynienia z karą uzależnioną od wartości samochodu. – *Niekonstytucyjność wynika przede wszystkim z nierówności wobec prawa. Dwóch sprawców popełnia dokładnie to samo przestępstwo, są tak samo nietrzeźwi, okoliczności są podobne. Jeden traci auto warte 10 tys., drugi 100 tys. zł. Kara wynika z przypadkowej zmiennej, jaką jest wartość auta, a nie z wagi popełnionego czynu. To sąd powinien mieć swobodę ustalania dolegliwości kary* – podtrzymuje swoje zdanie po dwóch latach obowiązywania przepisów.

Decydować powinien sąd?

Również sądy mają wątpliwości i zdarza się, że nie orzekają obligatoryjnego przepadku pojazdu, nawet gdy spełniona jest podstawowa kodeksowa przesłanka, czyli 1,5 promila alkoholu we krwi. Takie rozstrzygnięcie wydał choćby wrocławski Sąd Rejonowy. Okoliczności były następujące: para się pokłóciła, mężczyzna kupił wódkę, po czym wsiadł do samochodu, pojechał na łono przyrody, tam w środku nocy wysuszył butelkę, zupełnie nieświadom tego, że w tym czasie policji doniesiono, gdzie może się znajdować. Patrol drogówki namierzył go, gdy wyjeżdżał na asfaltówkę prowadzącą z jednej wsi do drugiej. Alkomat pokazał dwa promile. Mimo to sąd nie orzekł przepadku – gdyż w jego ocenie zatrzymany nie stwarzał zagrożenia dla ruchu, droga była pusta; najwyraźniej były to te kodeksowe przesłanki „wyjątkowego wypadku uzasadnionego szczególnymi okolicznościami" – a w uzasadnieniu powołał się też na gwarantowaną przez konstytucję, jak również orzecznictwo, zasadę swobody podczas podejmowania rozstrzygnięcia.

Dwa miesiące temu przepisy zostały znowelizowane, ale sugestia Komisji kodyfikacyjnej prawa karnego, by odejść od zasady obligatoryjnego przepadku pojazdu i w każdej sprawie pozostawić sądowi swobodę orzekania, nie została wzięta pod uwagę. Utrzymano również w mocy automatyczną konfiskatę samochodu, gdy badanie kierowcy pokazało wynik wyższy niż 1,5 promila, choć eksperci, m.in. prof. Matecki, wskazywali, że jest to zupełnie nieracjonalne; badania wskazują, że już od 0,7 promila mamy do czynienia ze stanem „pewnego upośledzenia równowagi, czasu reakcji, zmniejszonej ostrożności i samokontroli".

– *W sytuacjach, gdy istnieją przesłanki do obligatoryjnego przepadku auta, w praktyce niewiele się już da zrobić dla kierowcy* – mówi mec. Jakub Cendrowski, specjalizujący się w sprawach kierowców podejrzanych i oskarżonych o prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości. – *Natomiast w przypadkach, gdy po ten środek karny można sięgnąć fakultatywnie* (powyżej 0,5 promila – przyp. red.), *co do zasady wszystko zależy od sędziego. Niedawno miałem w tym samym sądzie dwie bardzo podobne sprawy, jeśli chodzi o okoliczności. W jednej sędzia orzekł przepadek pojazdu i uzasadniał to polityką „zero tolerancji". W drugiej inny sędzia się na to nie zdecydował, uznając, że byłaby to wobec kierowcy nadmierna represja.*

Bo są przepisy, ale jest i życie, a w nim takie okoliczności, jak wcześniejsza niekaralność, stosowanie się do przepisów drogowych (co w Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców widać jak na dłoni), stan zdrowia, status jedynego żywiciela rodziny, ewentualnie zamieszkanie w miejscu oznaczającym komunikacyjne wykluczenie, gdzie bez samochodu ani rusz, a przecież może być on potrzebny również bliskim skazanego. – *Dostrzegam, że pobłażanie pijanym kierowcom się skończyło. Nawet jeśli sądy odstępują od konfiskaty, orzekają dłuższy zakaz prowadzenia pojazdów i wyższe grzywny* – mówi mec. Cendrowski.

Wyścigi rumaków

Po dwóch latach obowiązywania przepisów o konfiskacie aut rzuca się w oczy jedno: najłatwiej było je wprowadzić. Opowiada Jacek, funkcjonariusz drogówki: – *Problem zaczyna się właściwie z chwilą przejęcia pojazdu. Do czasu orzeczenia sądu, nawet przez kilka miesięcy, przechowanie jest na naszej głowie. Na policyjnych parkingach nie ma miejsc, często nie ma też po prostu policyjnych parkingów. Za prywatne trzeba płacić kilkanaście złotych dziennie, więc jeśli mamy do czynienia z klasycznym rzęchem, który pójdzie na złom, państwo musi do interesu dopłacić już po jakichś trzech miesiącach.*

Z danych KGP wynika, że do połowy marca tego roku zabezpieczono 15 206 samochodów. Pozbyto się (sprzedając lub złomując) 6316. A prawo obowiązuje ledwie dwa lata. – *Jeśli tempo się utrzyma, za dziesięć lat będziemy zawaleni, jak dobrze liczę, przez kolejne 40–50 tys. aut* – kontynuuje Jacek. Zalecono więc rozwiązanie alternatywne: oddanie do przechowania osobie godnej zaufania. – *Mamy z tym sporo zachodu. Najłatwiej oddać do najbliższej rodziny, ale nie każdy może albo nie każdy się nadaje, bo ma na koncie jakiś konflikt z prawem. Czy zdarza się, że jeśli wpadł mąż, oddajemy żonie? Czasami nie ma innego wyjścia. Z duszą na ramieniu, bo co, jeśli sprawca znów wypije, wsiądzie do tego samego auta, które stoi u niego na podwórku, i kogoś zabije? Będzie przypał.*

Michał Deruś z lubelskiej skarbówki opowiada, że przypały już się zdarzają. – *Przychodzi moment, że auto ma trafić do nas, w celu sprzedaży. Jedziemy pod wskazany adres, a samochodu nie ma. Przepadł. Dlaczego? To już sprawa dla prokuratury.*

Tymczasem, jeśli chodzi o policyjnego Mustanga GT, internetowy komentariat już wieszczy inny przypał: rozbicie tego niełatwego w prowadzeniu cacka, bo przecież w sekcji Speed jeździ się po bandzie. Nadkomisarz Karol Głogowski mówi, że podchodzi do rwącego Mustanga z respektem: – *Samochody, którymi dysponujemy w zwalczaniu drogowego piractwa, są nie byle jakie, ale mają dwukrotnie mniejszą moc, do tego tylny napęd tego auta też ma swoją specyfikę. Na pewno dodatkowe szkolenia nie zaszkodzą.* Na konferencji prasowej wyrażano nadzieję, że już sama obecność na mazowieckich drogach radiowozu o takich możliwościach okiełzna zapędy samozwańczych mistrzów kierownicy. Choć znając rzeczywistość polskich dróg, można się założyć, że znajdą się tacy, którzy zechcą się z Mustangiem numer boczny Y170 pościgać.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl f60e042159

Jak poszedłem w kamasze

Na ćwiczeniach wojskowych założyłem buldoga (maskę przeciwgazową), zgasiłem płonącą benzynę, wskrzeszałem manekina i wykrzesałem ogień z kory. Tylko czy aby na pewno wzmocniło to bezpieczeństwo Polski?

ZBIGNIEW BOREK

Program szkoleń obronnych wGotowości jest powszechny i dobrowolny, zapisałem się więc i ja: sobota 7 marca, Inowrocław, 82. Batalion Lekkiej Piechoty. Moduł przetrwanie. Mieliśmy się stawić do 8.00, ale już pół godziny wcześniej wartownię wypełniało ponad 40 ochotników. Solo, w parach i grupach. Wiek przeważnie 40 plus, stan cywilny małżeński i związki nieformalne, rodzeństwa, matka z córką, dwóch ojców z synami, znajomi i nieznajomi. Stylówka militarna, trekkingowa i miks (wliczając półbuty). Obowiązkowe regulaminy i oświadczenia z podpisami (że zdrowi i świadomi ryzyka) zabrali nieliczni, bo z zakładki „dokumenty do pobrania" zniknęły dokumenty do pobrania. Na pytania w tej sprawie nikt nie odpisał, ▶

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS (2), MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

eprasa.pl f60e042159

▶ za to powiadomiono nas, że jednostka nie zapewni napojów, potem także prowiantu (z przyczyn od jednostki niezależnych). A do podpisu na miejscu dostaliśmy tylko zgody na wykorzystanie naszego wizerunku „do promocji Sił Zbrojnych Rzeczpospolitej Polskiej".

Za bramą dowiedzieliśmy się, że w wojsku nie używa się feminatywów (dlatego szeregowy jest brunetką), zabrania się wykonywać czynności innych niż nakazane przez kierownika zajęć (w szczególności zdjęć), a żołnierz nie chodzi, nie biega, nawet nie maszeruje, tylko się przemieszcza. Przemieszczaliśmy się więc z wartowni do sali szkoleniowej, z sali na plac, a następnie Jelczami w rejon lasów Balczewa. Co rusz stawaliśmy w dwuszeregu i kolejno odliczał nas porucznik, bo jak mieliśmy odliczyć się sami, to wyszły o dwie osoby za dużo. – *Żebyśmy chociaż jakoś wyglądali, bo tu dzisiaj mamy przysięgę i ludzie będą patrzeć* – rzucił wojak.

Lewa wychodzi, prawa zostaje

„W wyniku opanowania treści tematów szkolony powinien: określać swoje położenie względem stron świata i przedmiotów terenowych, wykorzystać kompas i mapę do nawigacji w terenie, wykonać obejście terenu nieprzekraczalnego (niebezpiecznego), reagować na sygnały alarmowe i komunikaty ostrzegawcze, umieć prawidłowo udzielać pierwszej pomocy w przypadku nagłego zatrzymania krążenia, umieć zaopatrywać zranienia dostępnymi materiałami opatrunkowymi, umieć wykorzystać opaskę zaciskową do zatamowania krwotoku zewnętrznego" – głosił pierwszy slajd. Było na nim jeszcze coś o plecaku ewakuacyjnym, uzdatnianiu wody i szykowaniu doraźnego schronienia w lesie. Łącznie: nie do nauczenia w jeden dzień p(a dokładniej w osiem godzin). – *Ale postaramy się z tym wszystkim państwa chociaż zapoznać* – oświadczył porucznik.

Najpierw podzielono nas na dwie grupy („lewa strona wychodzi, prawa zostaje"): gdy jedna zapoznawała się z obroną cywilną, druga w sąsiednim pomieszczeniu uczyła się medycyny pola walki. W kwestii schronów dowiedzieliśmy się, że w Polsce jest w nich miejsce dla 5 proc. społeczeństwa (w Finlandii dla 5 proc. miejsca w schronach nie ma), na dodatek mamy „schrony dla elity", czyli w urzędach miast, do których zwykli ludzie zajrzeć nie mogą. O schronach możemy poczytać na s. 25 „Poradnika bezpieczeństwa", który trafił do naszych domów, albo zainstalować na komórce aplikację „Gdzie się ukryć".

– *Gazów puszczał nie będę* – pocieszał, gdy przymierzaliśmy najnowsze maski MP-6. To tzw. buldogi: filtropochłaniacze są nie w osobnej puszce, ale dokręcane do maski. – *Nowe są koszmarnie drogie, z demobilu w internecie chodzą za 600 zł, ale nie wiadomo, czy szczelne, kupują tylko wariaci* – klarował kapral. Nie wszystkim pasowały, na dodatek w każdej masce można umrzeć („przy dużym stężeniu gazów bojowych nawet buldogi wystarczają na dwa wdechy"), dlatego kapral doradzał nowe i o niebo tańsze maski bhp, a przy okazji także kombinezony malarskie i taśmy, którymi moglibyśmy uszczelnić okna i drzwi mieszkania. Uciekać przed gazem mamy nie pod wiatr ani z wiatrem, tylko w poprzek, w dekontaminacji sweter ściągać nie przez głowę, tylko nożyczkami, myć się ciepłą wodą z mydłem, ale nie trzeć, w razie bombardowania schować się w piwnicy albo w kąt mieszkania przy ścianie nośnej.

Dowiedzieliśmy się też o sygnałach alarmowych, podziale władzy, zadań i zasobów w schronach oraz o radiu zasilanym z akumulatora, solaru i korbką. A nawet o luksusowych ziemiankach z saunami, bo do końca został kwadrans, treści zaś brakowało. – *Co by tu jeszcze powiedzieć* – zawieszał się po szekspirowsku kapral z maską w dłoni.

Z kolei specjalista medycyny pola walki operował konkretem. Opaski uciskowe: takie, inne i jeszcze bardziej bajeranckie. – *Ale jak nie masz, do zwykłego bandaża dajesz kamień albo dokręcasz patykiem i gotowe. A jak nie masz bandaża, to pasek od spodni* – pokazywał. Opaski poszły w obieg (każdy założył, zacisnął), za nimi hydrożel, LifeVac (do pomocy w zadławieniu) czy Olaes Modular Bandage (w którym przechowasz nawet wyłupione oko). Wyimaginowaną rozerwaną tętnicę prowadzący zatykał tamponem, leżąc, demonstrował opatrywanie pod ostrzałem. – *Superglue na rany działa jak w kinie akcji, tylko ktoś to później musi wygrzebać* – mówił. Podawał co, gdzie i za ile kupić, co można odpuścić, a co naprawdę warto mieć. Gdy ćwiczyliśmy RKO (resuscytacja krążeniowo-oddechowa), korygował ułożenie barków, dłoni i siłę nacisku na manekina. – *Wszystkiego nie zdążymy poćwiczyć, ale tak powinien wyglądać cały dzień* – mówili mi później inni kursanci.

Nie wyglądał. W lesie wystąpił PowerPoint w wersji print (czytaj: kapral pokazywał wydruki), słuchaliśmy o tym, jak ubrany jest strażak, oglądaliśmy namiot rozbity między drzewami i poznaliśmy z detalami zawartość plecaka ewakuacyjnego. – *Podstawy nawigacji w terenie: mapa, kompas, azymut były OK, ale nic nie było o nawigacji w mieście, a przecież prawdopodobieństwo, że uciekniemy przed zagrożeniem do lasu, jest znikome* – mówiła Karolina. Jest menedżerką, mieszka w Londynie. Odkąd była świadkiem ataku terrorystycznego, nie rozstaje się z opaską uciskową, a przyjazd do rodziny w Polsce zaplanowała tak, żeby wziąć udział w szkoleniu.

– *Fajnie, że pokazali, jak filtrować wodę z użyciem sosnowych igieł, ale wolałbym się dowiedzieć, jak to zrobić w mieście* – wtórował Dariusz. Ktoś żartował, że wyposażenie plecaka ewakuacyjnego rozłożone na stole z drewnianych bali wyglądało jak ostatnia wieczerza. Mariana, Ukrainka mieszkająca od 11 lat w Polsce, dziwiła się, że zamiast o kieszonkowych powerbankach nie usłyszeliśmy o przenośnych stacjach EcoFlow, które zasilą nawet lodówkę. – *Miasto, miasto i jeszcze raz miasto, temu poświęcone powinno być szkolenie. I nie jak przeżyć dzień czy dwa, bo potem rzekomo uratuje nas wojsko, ale jak żyć w kraju ogarniętym wojną tygodniami i miesiącami. Jak się poruszać po osiedlu, gdy na głowę może spaść rakieta, gdzie szukać wody, jak sobie radzić bez elektryki.*

Ewa i Gerard, urzędniczka i pracownik techniczny z Inowrocławia, są parą od dwóch lat. Wcześniej byli na szkoleniu strzeleckim, wGotowości trochę ich zawiodło. – *Opowieści o sygnałach alarmowych czy plecaku mogli sobie darować. Jak ktoś bierze udział w takim szkoleniu, to teorię raczej opanował w domu.*

Obrona totalna

Na pierwszy rzut oka program wGotowości wygląda jak coś zupełnie nowego: cywile zapisują się przez internet, jadą do jednostki wojskowej i kilka godzin uczą się podstaw przetrwania. Wojsko mówi o budowaniu odporności społeczeństwa. Ale w gruncie rzeczy to powrót do pomysłu z PRL, gdy szkolenie obronne było (wtedy przymusowym) elementem codzienności. Sam pamiętam lekcje przysposobienia obronnego: uczyliśmy się strzelać, orientować w terenie, udzielać pierwszej pomocy, zakładać maski. – *A pamiętasz, jak chowaliśmy się pod ławki na wypadek wybuchu jądrowego?*

eprasa.pl f60e042159

© MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

Odporność i rezerwa

Z wyliczeń resortu obrony wynika, że do końca 2025 r. we wszystkich skierowanych do cywilów programach proobronnych przeszkolonych zostało około pół miliona osób, a płynące z nich doświadczenia wykorzystano w projekcie wGotowości. W jego zeszłorocznym pilotażu wzięło udział 16 tys. osób. W tym roku program ma objąć 30 tys. uczestników indywidualnych i 40 tys. grupowych w 130 jednostkach wojskowych.

– śmiały się na szkoleniu Ola i Asia, siostry i urzędniczki z Bydgoszczy. Byliśmy też katowani musztrą. W realiach komuny szkolenie przechodziły całe roczniki, ale szkoła była tylko jednym z elementów.

W zakładach pracy działały struktury obrony cywilnej. Organizowano ćwiczenia ewakuacji, szkolenia z użycia masek i reagowania na alarm przeciwlotniczy. System był zapisany w ustawie o powszechnym obowiązku obrony (1967 r.) i w praktyce obejmował większość pracowników państwowej gospodarki i administracji. Po transformacji ustrojowej nastąpił gwałtowny zwrot i odejście od militarnego szkolenia społeczeństwa. Gdy w 1999 r. Polska weszła do NATO, wizja wojny na własnym terytorium przestała być traktowana jak realny scenariusz i system szkolenia cywilów praktycznie się rozpadł. Zniknęły ćwiczenia obrony cywilnej w firmach, przysposobienie obronne w szkołach zastąpiła w 2009 r. edukacja dla bezpieczeństwa. Uczniowie nadal uczą się pierwszej pomocy czy reagowania w sytuacjach kryzysowych, ale z programu zniknęła większość elementów militarnych. Państwo przestało traktować obywateli jako potencjalnych uczestników systemu obrony.

Zmiana zaczęła się po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. W szkołach pojawiło się jeszcze więcej klas mundurowych, zaczęła się budowa Wojsk Obrony Terytorialnej. Ale na dobre wojna wróciła do społecznej wyobraźni dopiero po pełnoskalowej inwazji rosyjskiej na Ukrainę (2022 r.). MON i Sztab Generalny Wojska Polskiego uruchomiły szkolenia dla cywilów, w tym najbardziej znane Trenuj z wojskiem z udziałem żołnierzy innych państw NATO (32 tys. przeszkolonych).

Pod względem skali program wGotowości w najnowszej historii Polski ma być bezprecedensowy: w tym roku obejmie 70 tys. osób, a docelowo 100 tys. obywateli rocznie. To wciąż znacznie mniej niż w PRL, ale po niemal czterech dekadach przerwy państwo wraca do idei, którą eksperci nazywają obroną totalną. Szkolenie, które dostają Polki i Polacy, idzie na razie w kierunku totalnej powierzchowności. Dobrze, że w ogóle coś się próbuje robić, ale Polska mogłaby uczyć się od skandynawskich przodowników. Rekrutów uczy się obsługiwać czołgi Leopard, pływać pod lodem i strzelać z karabinu snajperskiego. Opowieść o krzesaniu ognia z kory mogliby uznać za pomysł dobry dla przedszkolaków.

Wojna jak schabowy

W Inowrocławiu prowadzący unikali słowa „wojna", ale kursanci się nie krygowali. – *Boję się wojny, nie spodziewam się jej, ale musimy być gotowi* – mówi Dariusz Bożeński z Trójmiasta. Przyjechał z żoną Katarzyną. Wcześniej zaliczyli już szkolenie ogólne, medyczne i z cyberhigieny.

Rafał Kaczyński, programista spod Torunia, zapisał się już z synami na kolejne kursy (tym razem bezpieczeństwa i medyczny). Zamierza przygotować plecak – nie ewakuacyjny, ale awaryjny, żeby nie straszyć najmłodszego syna, ośmioletniego Kacpra. – *A Michał po szkoleniu stwierdził, że może zostanie żołnierzem* – dodaje. Ola i Asia, urzędniczki z Bydgoszczy, też chcą się dalej szkolić, Grzegorz i Łukasz, którzy prowadzą małe firmy w centralnej Polsce, zamierzają skierować do programu swoich pracowników. – *Na spotkaniu rodziców w przedszkolu mojego dziecka okazało się, że nikt nie wie, gdzie jest najbliższy schron. Żyjemy tak, jakby za miedzą nie toczyła się największa wojna współczesnej Europy. Spowszedniała nam niczym schabowy* – mówi Łukasz.

– *Trump nas nie napadnie, bo nie mamy ropy, ale z Putinem nigdy nic nie wiadomo* – słychać było na pace Jelcza w środku lasu. Mariana Grebeniuk, która się temu przysłuchiwała, mówi, że właśnie wiadomo: – *Oglądam rosyjską telewizję i tam oczywiste jest, że Rosja sięga do Berlina. I nie chodzi o strefę wpływów, tylko o to, że to wszystko jest ich. Dla nich nie ma żadnej niezależnej Polski, a jak chwilowo jej nie biorą, to dlatego, że są zajęci w Ukrainie.*

Tylko czy aby na pewno to szkolenie wzmocniło bezpieczeństwo Polski – zastanawiałem się, wypełniając internetową ankietę ewaluacyjną. Armia chwali się, że 98 proc. uczestników cyklu Trenuj z wojskiem wyraziło zadowolenie ze szkolenia, ale przynajmniej w części może to wynikać z konstrukcji ankiet. „Jak ocenia Pan sposób prowadzenia zajęć?", „Jak ocenia Pan przystępność przekazywanej na szkoleniu wiedzy?". Odpowiedzi wybierałem środkowe, czyli pozytywne. Gdybym mógł odpowiedzieć własnymi słowami, napisałbym: to zależy.

Jedni prowadzący radzili sobie lepiej, inni gorzej, podobnie było z przystępnością. Jeden dzień to za mało, potrzeba więcej praktyki, mniej teorii – zaznaczałem. Konkluzja, że szkolenie było przydatne, wynika więc chyba nie tyle (albo nie tylko) z jego oceny, ale i z tego, że wzrosła społeczna świadomość zagrożeń. Zaledwie 4 proc. Polek i Polaków uważa, że nasz kraj jest dobrze przygotowany do obrony przed agresją Rosji, 72 proc. popiera obowiązkowe szkolenia ludności, 69 proc. chce powrotu obrony cywilnej do szkół (sondaż IBRiS dla InfoSecurity24.pl z 2025 r.). Jak to ujął szkolony w Inowrocławiu: – *My tych szkoleń nie robimy jeszcze dobrze, ale dobrze, że już robimy.*

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl f60e042159

Nie bujaj za długo

Na terapię integracji sensorycznej Polacy wydają rocznie kilkaset milionów złotych z prywatnych kieszeni i z publicznych środków. Sprawdzamy, czy warto, i zaglądamy za kulisy branży.

JOANNA CIEŚLA

Syn Moniki, Leon, trafił na diagnozę integracji sensorycznej ze skierowaniem z poradni psychologiczno-pedagogicznej. – *Wcześniej zaczął nerwowo reagować w dziwnych sytuacjach, np. w nocy, gdy chciałam poprawić mu kołdrę. Przestał jeść rzeczy, które kiedyś mu smakowały. Histerycznie odmawiał mycia zębów* – relacjonuje Monika. Diagnostka – po wywiadzie z matką i kilkugodzinnych badaniach na podwieszanych hamakach, równoważni i drabinkach – potwierdziła, że przedszkolak ma nadwrażliwość dotykową (także w jamie ustnej, stąd niechęć m.in. do twardego jedzenia), niedowrażliwość w innych obszarach i że potrzebuje terapii.

Leon na nią nie poszedł, bo Monika nie mogła sobie pozwolić na odpłatne sesje. – *Jednak w pracy poznałam osobę po szkoleniach z integracji, która nauczyła mnie różnych dociśnięć i masaży*. Chłopcu ćwiczenia z mamą sprawiały wyraźną przyjemność. – *Po części tych zabaw był bardziej wyciszony, ale ekstremalne zachowania nie znikły* – relacjonuje Monika. Gdy chłopiec poszedł do szkoły, izolował się od innych dzieci, był wyśmiewany jako odludek i dziwak. W czwartej klasie okazało się, że ma spektrum autyzmu, nasilony zespół Aspergera.

Iwona zapisała córkę na terapię integracji sensorycznej, która w ich rejonowej

eprasa.pl f60e042159

© SHUTTERSTOCK

poradni psychologiczno-pedagogicznej w Warszawie była dostępna bezpłatnie. – *Helenka płakała, gdy próbowałam jej dopinać kurtkę, wiązać buty.* Terapeutka spotykała się z dziewczynką na godzinę tygodniowo przez kilka miesięcy, potem zaleciła, by rodzice kontynuowali m.in. głaskanie dziewczynki specjalnie zakupionymi szczotkami. Było lepiej. – *Ale po kolejnych kilku miesiącach problem wrócił we wzmożonej postaci. Na przykład Helenka znosi szczotkowanie po skórze już tylko jednym rodzajem szczotki* – opowiada Iwona, czekając na kolejną konsultację.

Terapie integracji sensorycznej stały się jednym z najpopularniejszych oddziaływań wobec dzieci szkolnych i przedszkolnych. Całościowe statystyki trudno zgromadzić, ale na podstawie danych lokalnych, np. z woj. pomorskiego z 2023 r., można szacować, że tylko w publicznych poradniach psychologiczno-pedagogicznych rocznie odbywa się ok. 60 tys. godzin takich zajęć. Prawdopodobnie nawet dwa razy tyle realizowanych jest w ramach programu „Za życiem". Przyjmując, że najczęstsza stawka to ok. 100 zł za godzinę, z budżetowych środków na terapię integracji sensorycznej idzie ok. 18 mln zł rocznie. A to tylko kropla wobec rzeczywistej wartości rynku, bo większość rodziców opłaca zajęcia prywatne. Faktyczna suma może krążyć wokół 200–400 mln zł rocznie. Pytanie, na ile ma to sens, jest więc ze wszech miar zasadne. Odpowiedź jednak okazuje się wielopiętrowo złożona. Bo integracja danych o terapii integracji sensorycznej, zwłaszcza w polskich warunkach, to spore wyzwanie.

Kiedy interweniować?

Samo pojęcie integracji sensorycznej nie budzi w świecie nauki kontrowersji. W uproszczeniu: opisuje ono sposób, w jaki mózg zbiera dane ze zmysłów, jak organizm rejestruje bodźce i przetwarza. Nie ma też wątpliwości, że ludzie różnią się wrażliwością sensoryczną – ktoś może być nadwrażliwy na dźwięki, a na inne bodźce reagować słabiej. Można być niedowrażliwym, np. w obszarze zmysłu przedsionkowego, czyli równowagi. Wtedy do mózgu dociera za mało informacji o ruchu i położeniu ciała. Taka osoba może się często potykać, jako dziecko ciągle się kręcić, bujać i skakać. Pojęcie integracji sensorycznej obok pięciu powszechnie wymienianych zmysłów uwzględnia także dwa, o których pamięta się rzadziej: wspomniany przedsionkowy oraz proprioceptywny, zwany też czuciem głębokim. Odbiera informacje o położeniu części ciała, napięciu mięśni, sile wykonywanego ruchu.

Z obserwacji praktyków wynika, że zaburzeń integracji sensorycznej SI (ang. *sensory integration*) przybywa, choć trudno o twarde dane, bo w przeszłości nie badano dzieci pod tym kątem. Według światowych analiz obecnie od kilku do kilkunastu procent dzieci zmaga się z dysharmonią o różnym stopniu nasilenia. Można przypuszczać, że wczesny dostęp do ekranów, mało ruchu i nieliczne okazje do spontanicznej zabawy zakłócają integrację sensoryczną tak samo jak wiele innych obszarów rozwoju. Przy czym zaburzenia SI dużo częściej (na poziomie kilkudziesięciu procent) dotykają osoby ze spektrum autyzmu czy z ADHD, a tych diagnoz też jest więcej niż kiedykolwiek.

Pierwszy poziom stromych schodów zaczyna się jednak przy pytaniu, czym konkretnie są zaburzenia SI, bo w oficjalnych klasyfikacjach chorób i zaburzeń, ani w europejskim ICD-10, ani w amerykańskim DSM-5, takiej pozycji nie ma. No i przecież nikt nie rozwija się idealnie harmonijnie. Jakich interwencji i kiedy sytuacja wymaga? Na te pytania usiłowała odpowiedzieć Jean A. Ayres, psycholożka i terapeutka zajęciowa z Uniwersytetu Południowej Kalifornii w Los Angeles. Na podstawie wieloletniej pracy z dziećmi oraz ówczesnych ustaleń medycyny w latach 70. stworzyła metodę nazwaną terapią integracji sensorycznej. Zakłada, że za sprawą ćwiczeń oraz m.in. ucisków wykonywanych przez specjalistę integrację można ulepszyć, co prowadzi też do poprawy koncentracji, koordynacji, regulacji emocji i pobudzenia.

Na zajęciach terapeutycznych dzieci huśtają się na hamakach, kręcą na deskach rotacyjnych, chodzą po „ścieżkach" o różnym podłożu, przeciskają przez materiałowe tunele albo są masowane w „maglownicach sensorycznych" (kilka umocowanych w stelażu ze sklejki tapicerowanych wałków, między którymi przesuwa się dziecko). Ayres stworzyła także zestaw kwestionariuszy do diagnozy stanu dziecka – właśnie po to, by ustalać, czy potrzebuje ono specjalistycznego wsparcia, i by sprawdzać ewentualne postępy terapii. Kłopot w tym, że naukowe próby weryfikacji tego podejścia przez kilka dekad nie potwierdzały jego sensu.

Wyzwania badania

Wspomniana metoda dziś nazywa się Ayres Sensory Integration. Z inicjatywy uczelni autorki skrótowiec ASI został opatrzony znakiem towarowym, aby odróżnić dorobek badaczki, sprawdzony i udoskonalany na podstawie badań, od nieostrego pojęcia „integracja sensoryczna" czy „terapie sensoryczne", i chronić standardy szkolenia i praktyki.

Dr Agnieszka Sternak, psycholożka rozwojowa z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, w książce „Terapia integracji sensorycznej w Polsce" rozrysowuje obszerną tabelę z chronologią światowych badań nad SI i ich wyników. 2002 r.: „Teoria integracji sensorycznej bliska charakterystykom opisującym pseudonaukę", 2014 i 2015 r.: „Terapie ▶

eprasa.pl f60e042159

Należy zwrócić uwagę na dyplomy i certyfikaty terapeuty SI. Same tylko kolorowe gadżety nie gwarantują dobrej jakości pracy.

▶ sensoryczne zaliczone do terapii nieustanowionych" (oczko mniej niewiarygodne niż pseudonauka), 2019 r.: „Interwencja ASI® spełnia kryteria praktyki opartej na dowodach w terapii autyzmu".

– *Badanie skuteczności terapii integracji sensorycznej to długi i wymagający proces. Zadanie jest trudne m.in. dlatego, że zaburzenia z tego obszaru występują w różnych formach u różnych osób. Często współistnieją z objawami innych zaburzeń* – przyznaje dr Sternak. – *W takiej sytuacji równolegle mogą być prowadzone różne formy terapii, więc precyzyjne określenie skuteczności jednej z nich stanowi spore wyzwanie. Skomplikowane jest też weryfikowanie skuteczności terapii, która w założeniach polega na podążaniu za dzieckiem, jest terapią niedyrektywną, dającą (w granicach bezpieczeństwa) dużo możliwości wyboru i swobody.*

Terapia SI zazwyczaj trwa minimum rok. Badaczka dodaje, że sama Ayres była świadoma niedoskonałości swojej metody i pozostawała otwarta na jej naukowo uzasadnione modyfikacje. A jej następcy starali się poprawiać wykazywane w kolejnych badaniach niedociągnięcia praktyki. – *Aktualnie dla dzieci w spektrum autyzmu terapię ASI® można rekomendować jako „praktykę opartą na dowodach", terapię wspomagającą, ale nie wiodącą* – relacjonuje dr Sternak. – *W badaniach z 2025 r. wykazano też, że ASI® pomaga m.in. w poprawie koordynacji ruchowej u dzieci z diagnozą rozwojowego zaburzenia koordynacji. Rok wcześniej w przeglądach i metaanalizach badań stwierdzono skuteczność ASI® w terapii pacjentów z mózgowym porażeniem dziecięcym, ASD, ADHD oraz z trudnościami w uczeniu się.*

Podsumowując: nie ma badań uzasadniających masowe wysyłanie dzieci na terapie SI. Klasyczna metoda Ayres może działać w odniesieniu do pewnych grup, ale trzeba spełnić kilka warunków koniecznych. I tu zaczyna się drugi poziom schodów.

Warto się rozglądać

Główne z tych warunków dotyczą wykształcenia terapeuty. – *Powinien posiadać kwalifikacje nie tylko terapeutyczne, lecz również diagnostyczne, by móc zaplanować proces terapeutyczny pod konkretne zakłócenia sensoryczne* – podkreśla Beata Mendygrał-Lewicka, prezeska Polskiego Stowarzyszenia Terapeutów Integracji Sensorycznej, jednej z najstarszych w kraju organizacji działających w tym obszarze. Oprócz PSTIS jeszcze kilka miejsc, np. Fundacja „Okno" czy Polskie Towarzystwo Integracji Sensorycznej prowadzą certyfikowane kursy i nadają uprawnienia do diagnozy za pomocą testowych narzędzi. PSTIS na podstawie założeń Ayres stworzyło polskie testy, dopasowane do współczesnych warunków. Pozostałe ośrodki oferują diagnozę testami kalifornijskimi z lat 70. Ale bywa też tak, że terapeuci opisują stan dziecka jedynie na podstawie własnej obserwacji.

Zgodna z modelem Ayres ścieżka szkolenia terapeuty SI jest dwustopniowa – najpierw teoria, potem praktyka. Oba stopnie kursu w PSTIS, dostępnego dla psychologów, pedagogów i fizjoterapeutów, trwają niecałe 200 godzin rozpisanych na kilkudniowe zjazdy. Koszt to niecałe 8 tys. zł. Ale szkolenia PSTIS nie mają certyfikatu MEN. To znaczy, że nauczyciele nie nabywają na nich uprawnień, aby np. w poradniach psychologiczno-pedagogicznych prowadzić terapie SI.

Certyfikaty MEN dają natomiast studia podyplomowe, zazwyczaj trzysemestralne, oferowane przez uczelnie. To ok. 400 godzin wykładów online i praktyk realizowanych na bardzo różnych zasadach. Absolwenci zazwyczaj jednak muszą osobno doszkalać się z przeprowadzania wspomnianych testów. Kwalifikacje do pracy jako terapeuta SI w oświacie można również zdobyć np. w Wyższej Szkole Kształcenia Zawodowego na trzysemestralnych studiach całkowicie online, w cenie 430 zł za miesiąc, bez trudnych egzaminów i prac dyplomowych.

Krótko mówiąc, rodzic, który przychodzi z dzieckiem do terapeuty SI, powinien zwracać uwagę na dyplomy i certyfikaty. Warto też rozglądać się po sali ćwiczeń. Jeśli to 15-metrowa klitka ze stolikiem i jednym „torem przeszkód", dziecko raczej nie otrzyma realnej pomocy. Ale sterty kolorowych gadżetów też nie gwarantują dobrej jakości pracy. – *Zajęcia powinny odbywać się w 25–30-metrowej sali pozbawionej niepotrzebnych dystraktorów* – podkreśla Beata Mendygrał-Lewicka. – *Aby zająć się trudnościami sensorycznymi, wystarczą huśtawka, hamak terapeutyczny, hamak elastyczny, piłka czy deskorolka. Poprzez prace na podstawowych systemach sensorycznych, takich jak przedsionek, propriocepcja i dotyk, jesteśmy w stanie regulować poziom pobudzenia i hamowania u dziecka.*

Do praktyk opartych na dowodach dotychczas nie zaliczono powszechnie wykonywanych w gabinetach czynności, takich jak „protokoły szczotkowania", okrywanie kamizelkami i kocami obciążeniowymi ani masowanie w maglownicach, czyli „urządzeniach stymulacji proprioceptywnej".

Alicja Jakubowicz, fizjoterapeutka (nie prowadzi terapii integracji sensorycznej, ale pracuje z pacjentami, którzy z niej korzystają), zwraca uwagę na jeszcze jedno: – *Terapeuci SI mają bardzo różne wykształcenie bazowe. Psycholog nie przeprowadzi zajęć ruchowych tak dobrze jak fizjoterapeuta, chociaż certyfikaty mają takie same.* Jej zdaniem dobrze prowadzona terapia integracji sensorycznej jest przydatna, choćby jako przygotowanie właśnie

eprasa.pl f60e042159

do fizjoterapii. – *Ale bywa, że dziecko przez większość czasu tych sesji buja się na huśtawce. I to już nie ma sensu.*

Jedna terapia po drugiej

Przebieg sesji to kolejne piętro schodów. – *Terapia jest nastawiona na podążanie za dzieckiem. Specjalista z wachlarza ćwiczeń i pomocy powinien wybierać te, które budzą zainteresowanie pacjenta i dostarczają mu wyzwań „w sam raz": intrygujących, ale wykonalnych. W ten sposób rozwija się zakres umiejętności i podtrzymuje motywację do osiągania kolejnych. Specjalista zobowiązany jest jednak cały czas pamiętać o programie i celach terapii* – podkreśla Agnieszka Sternak. Dlatego dziecko nie powinno się bujać przez całą sesję. Nawet jeśli ma nastrój na bujanie.

Terapeuta nie powinien też okraszać terapii elementami z innych metod. A taka metoda „patchworkowa" ma rzeszę wyznawców wśród specjalistów SI. Na zawodowych forach wiele komentatorek przyznaje, że korzystają z metod dr Swietłany Masgutowej. Tyle że techniki propagowane przez rosyjską psycholożkę pracującą w Polsce są jeszcze słabiej potwierdzone w obiektywnych badaniach niż terapia integracji sensorycznej. Co znamienne, do niedawna Instytut Masgutowej był jednym z głównych ośrodków popularyzacji kinezjologii edukacyjnej, metody stymulacji mózgu zdyskredytowanej przez neurologów.

– *W badaniach porównujących postępy terapeutyczne dzieci ze spektrum autyzmu, poddawanych potwierdzonej naukowo behawioralnej metodzie nazwanej stosowaną analizą zachowania i terapii integracji sensorycznej, okazało się, że dzieci korzystające z obu metod rozwijały się gorzej niż te, które korzystały z samej stosowanej analizy zachowania* – podkreśla Tomasz Garstka, psycholog, autor dwutomowej publikacji „Psychopedagogiczne mity". Nasuwa się wniosek, że włączenie terapii SI może osłabiać skuteczność innej, sprawdzonej naukowo metody.

Z perspektywy dr Sternak brak nadzoru nad jakością terapii SI może szkodzić nie tylko dzieciom, lecz także reputacji samej metody. – *Interwencje prowadzone w sposób odpowiadający standardom są efektywne i mogą znacząco ułatwić codzienność całych rodzin. Zdarza się przecież, że rodzice nie są w stanie korzystać z autobusów, ponieważ jest tam zbyt wiele bodźców, z którymi dziecko nie jest w stanie sobie poradzić. Zdarza się też, że dziecko unika kontaktów z rówieśnikami tylko dlatego, że jest nadwrażliwe na dotyk.* Takie reakcje mogą być także symptomami spektrum autyzmu. Toteż psycholożka ocenia, że kluczowa jest rzetelnie przeprowadzona szersza diagnoza pod kątem możliwych zaburzeń.

Fizjoterapeutka Alicja Jakubowicz proponuje rodzicom jeszcze jeden możliwy wariant działania. – *U dzieci zmagających się zwłaszcza ze słabą koordynacją, równowagą czy propriocepcją w pierwszej kolejności zalecam aktywność sportową. Najlepiej trzy różne dyscypliny – raz w tygodniu każda, np. dżudo, trening siłowy i ścianka wspinaczkowa.* Jeśli brak oczekiwanych zmian, specjalistka radzi szukać diagnoz.

W ramach profilaktyki zaburzeń można też nie kupować małym dzieciom smartfonów. Wszystkich problemów to nie rozwiązuje, ale znacznie ogranicza prawdopodobieństwo, że korzystanie z terapii będzie konieczne – i z tych lepiej, i słabiej sprawdzonych.

JOANNA CIEŚLA

© RODICA VASILIEV/SHUTTERSTOCK

REKLAMA

POLITYKA **Zaprenumeruj nasz tygodnik przez** InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę** do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka** przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz** niż w punktach sprzedaży

679 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~16~~ 13 zł za numer

359 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~16~~ 13,80 zł za numer

blik PayU

InPost

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl f60e042159

ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Złoto na złote

Narodowy Bank Polski zgromadził ogromne rezerwy, ich wartość przekracza dziś bilion złotych, z tego jedną trzecią stanowi złoto. Po co bankowi centralnemu takie rezerwy? Do czego służą? Co można z nimi zrobić, a czego nie? Polską politykę ogarnęła gorączka złota.

CEZARY KOWANDA

Wiemy, bo prezes Adam Glapiński się tym chwalił, że NBP ma już 570 ton złota. Sporo, ale w skali światowej wciąż daleko nam do liderów. Stany Zjednoczone posiadają ponad 8 tys. ton, Niemcy 3,3 tys., a Włochy, Francja i Rosja po niespełna 2,5 tys. ton. Pod względem wielkości złotych zasobów wśród banków centralnych NBP jest obecnie na 12. miejscu. Wrażenie robi z pewnością tempo przyrostu kruszcu, bo dekadę temu mieliśmy go ok. 100 ton. Adam Glapiński, który został prezesem NBP w 2016 r., po przejęciu pełni władzy przez PiS zdecydował, że złoto ma stanowić większą niż dotąd część rezerw naszego banku centralnego. W 2018 i 2019 r. NBP nabył łącznie ok. 125 ton, czyli więcej, niż dotąd posiadał. Potem nastąpiła przerwa w zakupach, a złota ofensywa została wznowiona w 2023 r. Wówczas przybyło 130 ton, w następnym roku 90 ton, a w 2025 r. kolejne ponad 100 ton. Już wiadomo, że w tym roku zasoby wzrosły o dalsze 20 ton, a to z pewnością nie koniec. Adam Glapiński wyznaczył bowiem kolejny cel: 700 ton.

Tylko ok. 100 ton naszego złota znajduje się obecnie w Polsce. Reszta leży w Nowym Jorku i Londynie. NBP zamierza sprowadzić więcej kruszcu do kraju – przede wszystkim z Wielkiej Brytanii – ale z pewnością nie całość. Problem z przechowywaniem sztabek pokazuje, że duże zapasy złota mają też swoje wady. Trzymane w Polsce jest co prawda pod naszą kontrolą,

eprasa.pl f60e042159

ale nie można nim swobodnie handlować, a w razie poważnego zagrożenia trzeba organizować jego ewakuację. Tak jak było to w 1939 r. Złoto za granicą jest z jednej strony bezpieczniejsze, ale nie mamy nad nim pełnej kontroli. Teoretycznie zarówno Wielka Brytania, jak i Stany Zjednoczone to wiarygodni partnerzy, którzy naszej własności nigdy nie ukradną. W praktyce dzisiejszy świat jest tak niestabilny i niepewny, że nikomu już bezgranicznie ufać nie można.

To zresztą niejedyny problem ze złotem. Nie nadaje się ono, żeby za jego pomocą interweniować na rynku walutowym, np. broniąc kursu złotego. Najpierw trzeba złoto sprzedać i uzyskać za nie dolary. Ale najważniejsze, że – inaczej niż obligacje, akcje czy lokaty – złoto nie przynosi żadnych odsetek. Samo przechowywanie kosztuje, a zarabiać można tylko na zmianach kursu. Te rzeczywiście były korzystne w ostatnich latach dla posiadaczy żółtego metalu. Od 2020 do końca 2023 r. jedna uncja złota (ok. 31 g) kosztowała pomiędzy 1,5 a 2 tys. dol. W 2024 r. jej notowania przekroczyły 2,5 tys. Jednak prawdziwy rajd cenowy nastąpił w 2025 r., głównie za sprawą nieprzewidywalnej polityki handlowej Donalda Trumpa, bawiącego się cłami.

Złoto – traktowane zawsze jako bezpieczna przystań w niebezpiecznych czasach – stało się alternatywą dla coraz słabszego i mniej wiarygodnego dolara. W efekcie kurs na początku tego roku doszedł do 5,5 tys. dol. za jedną uncję, a ostatnio znajduje się w okolicach 5 tys. dol. Jednak nie oznacza to, że złoto będzie w takim tempie dalej drożeć. Jego kurs jest dziś zupełnie nieprzewidywalny.

Kto ma najwięcej złota?

Wielkość rezerw złota w tonach (w nawiasie podano odsetek rezerw walutowych w złocie)

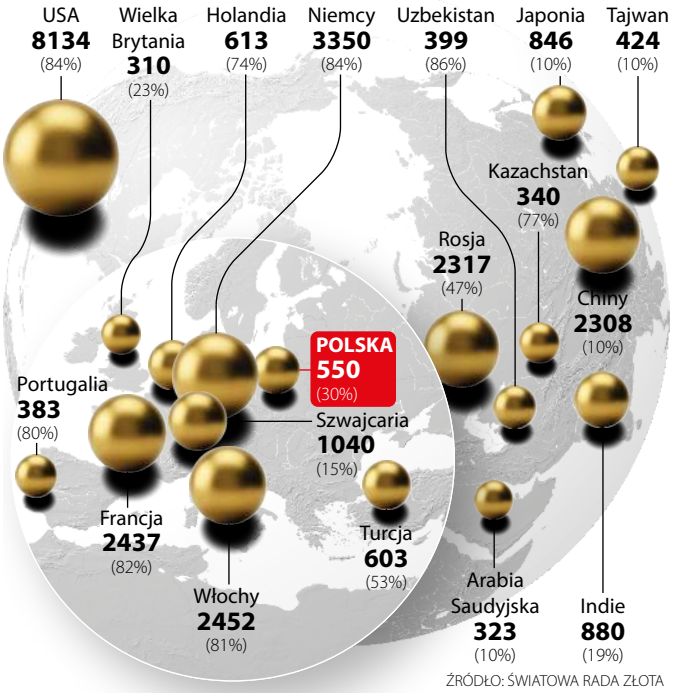

ŹRÓDŁO: ŚWIATOWA RADA ZŁOTA

NBP zawsze podkreślał, że złoto kupuje nie po to, by na nim zarabiać, ale żeby nasze rezerwy były bardziej zróżnicowane. I pewniejsze na wypadek poważnego konfliktu zbrojnego, gdyby tradycyjne waluty dramatycznie straciły na znaczeniu. Łączna wartość rezerw NBP przekroczyła niedawno bilion złotych, z tego 340 mld, czyli około jednej trzeciej, to złoto. W ciągu sześciu lat wielkość rezerw NBP podwoiła się. To jednak nie tylko efekt drożejącego złota, ale także ogromnych transferów unijnych. Euro płynące z Brukseli rząd wymienia na złote w banku centralnym, a ten zatrzymuje sobie dewizy, w taki sposób zwiększając swoje rezerwy. Poza złotem bank centralny inwestuje między innymi w obligacje różnych państw i przedsiębiorstw, a także w fundusze inwestycyjne.

Rezerwy puchną

Oficjalne aktywa rezerwowe NBP (w mld zł)

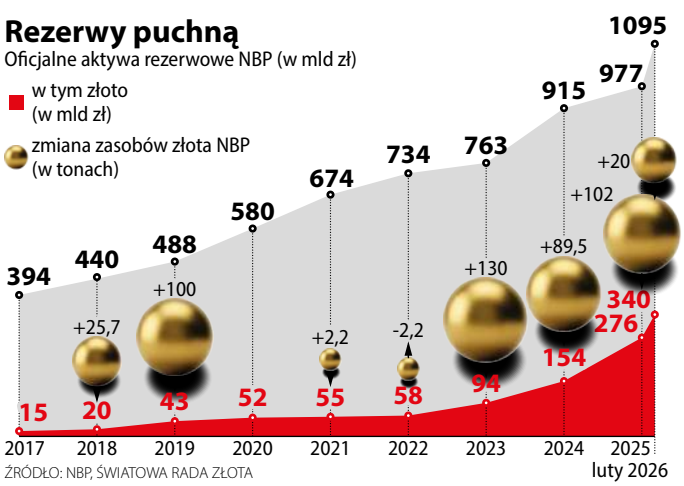

ŹRÓDŁO: NBP, ŚWIATOWA RADA ZŁOTA

Część rezerw jest utrzymywana w krótkoterminowych lokatach. Dominują dolar amerykański i euro, jednak w zasobach polskiego banku centralnego są też np. jen, funt brytyjski, dolar kanadyjski i australijski.

Ale właściwie do czego służą rezerwy? – *Mamy własną walutę i musi ona mieć zabezpieczenie w takich rezerwach. To dzięki nim złoty jest bezpieczny. W ostatnim czasie wahania jego kursu wobec innych walut są niewielkie. Zawdzięczamy to między innymi właśnie dużym rezerwom. Działają odstraszająco na tych wszystkich, którzy chcieliby spekulować złotym, doprowadzając do jego osłabienia. A stabilny złoty równocześnie chroni nas przed importowaniem inflacji* – podkreśla prof. Marian Noga, wykładowca Uniwersytetu WSB Merito we Wrocławiu, były członek Rady Polityki Pieniężnej. Skoro nie jesteśmy w strefie euro i nie chcemy w niej być (w tym akurat rząd i opozycja są dzisiaj zgodni), nie mamy za sobą Europejskiego Banku Centralnego i wszystkich banków centralnych państw ze wspólną walutą. Możemy liczyć tylko na siebie. Zatem potrzebujemy potężnych rezerw.

Czy jednak aż tak dużych? Na ten temat trwa w Polsce dyskusja. Grzegorz Kołodko, były minister finansów w rządach lewicowych, uważa, że część rezerw, np. jedną czwartą, bank centralny mógłby bez szkody dla stabilności złotego przekazać rządowi na sfinansowanie wydatków związanych z obronnością. Jednak oficjalnie NBP zapewnia, że nie ma takich pomysłów i rezerwy nie zostaną uszczuplone. Mógłby to być zresztą fatalny sygnał w trudnych czasach, gdy złoty musi ciągle udowadniać, że jest stabilną walutą – ostatnio po atakach Stanów Zjednoczonych i Izraela na Iran. Pomysł Adama Glapińskiego, który miał ▶

© LECH MAZURCZYK (2)

eprasa.pl f60e042159

▶ pomóc prezydentowi Nawrockiemu uzasadnić weto wobec europejskiego programu pożyczkowego SAFE, polega na innym manewrze. Rezerwy mają pozostać na obecnym poziomie, za to bank centralny zacząłby wykazywać w swoim corocznym bilansie, o ile zdrożało posiadane przez niego złoto od momentu zakupu.

Narodowy Bank Polski nie może legalnie finansować deficytu budżetowego, czyli np. kupować obligacji emitowanych przez rząd. Nie wolno mu też przekazywać do budżetu swoich rezerw. Może natomiast, a nawet musi, wpłacać do budżetu w połowie roku 95 proc. swojego zysku za rok poprzedni. Pod warunkiem że taki zysk został osiągnięty. A z tym NBP pod kierownictwem Adama Glapińskiego miał spore problemy. Ostatni raz NBP wykazał zysk w 2021 r. (11 mld zł). Potem było znacznie gorzej – strata w 2022 r. wyniosła 17 mld zł, w 2023 r. – prawie 21 mld zł, a w 2024 r. – ponad 13 mld zł. Rekordowy minus został zanotowany w ubiegłym roku. Nie znamy jeszcze jego dokładnej wysokości, ale członek Rady Polityki Pieniężnej Ludwik Kotecki mówi o 30 mld zł. Oznacza to, że w latach 2022–25 skumulowana strata NBP sięgnęła zapewne ponad 80 mld zł. Bezpośrednia konsekwencja negatywnego wyniku to brak wpłat do budżetu. Sama strata, nawet bardzo wysoka, nie oznacza, że bank centralny może zbankrutować. Wynika ona przede wszystkim z umacniania się złotego (rezerwy trzymane w dolarach czy euro stają się coraz mniej warte) oraz z wysokich stóp procentowych. Banki komercyjne utrzymują część swoich zasobów w banku centralnym i dostają za to odsetki. Tak jak klienci na lokatach. Im stopy są wyższe, tym NBP musi wypłacać bankom wyższe kwoty. Rada Polityki Pieniężnej w ostatnim czasie systematycznie obniżała stopy, ale nie wiadomo, czy to wystarczy, aby w tym roku NBP wykazał zysk zamiast straty.

Marketingowy pomysł o nazwie SAFE 0 proc. to plan dokonania księgowej sztuczki. Aby poprawić swój wynik finansowy, NBP zacząłby przeliczać wartość posiadanego złota. Obecnie bowiem, zgodnie z przepisami, nie może co roku aktualizować wartości złota. Aby to zrobić, musiałby część złota sprzedać na rynku. Wówczas mógłby zaksięgować zysk – np. cena jednej uncji w 2018 r., gdy NBP kupił ponad 25 ton kruszcu, wynosiła 1,2–1,3 tys. dol., a teraz sięga 5 tys. dol. Im więcej takich operacji, tym wynik finansowy NBP byłby lepszy. – *Kłopot jednak w tym, że trzeba jeszcze pamiętać o ogromnych stratach z minionych lat* – tłumaczy prof. Marian Noga. – *Uważam, że NBP musi przestrzegać ustawy o rachunkowości. Zyski ze sprzedaży złota musiałyby najpierw pójść na pokrycie tych 80 mld zł strat, a dopiero potem mogłyby trafiać do budżetu. Żeby uzyskać obiecywane 185 mld zł dla budżetu w ramach tego SAFE 0 proc., trzeba by zatem zrealizować zyski sięgające aż 265 mld zł. W tym celu należałoby sprzedać całe posiadane przez nas złoto.*

Jak jednak pogodzić sprzedawanie złota (dla wykazania ogromnych zysków, które miałyby zasilić program zbrojeniowy) z deklaracją prezesa Glapińskiego, że złota w zasobach NBP ma być coraz więcej? Zapewne bank centralny sprzedawałby partie kruszcu tylko na chwilę, aby zaraz potem kupować je ponownie. Tyle że już po obecnym kursie, sięgającym 5 tys. dol. za uncję. Taki manewr wyciśnięcia zysku ze złota można by zatem wykonać jednorazowo. Chyba że kruszec za kilka lat będzie kosztować kolejne kilka tysięcy dolarów więcej za każdą uncję. Sam Glapiński niedawno przekonywał, że dla operacji „aktualizacji" wartości złota nie jest potrzebna żadna specjalna ustawa. Dlaczego zatem dotąd tego nie robił, skoro złoto drożało już w ostatnich latach, a potrzeby finansowe armii od dawna są ogromne? Czy prezes NBP przeprowadzi ten manewr, jeśli rząd nie zgodzi się na utworzenie nowego funduszu wymyślonego przez prezydenta i kierowania właśnie tam – zamiast jak dotąd do budżetu – rocznego zysku NBP?

Odpowiedź na te pytania pokaże najprawdopodobniej, że manewr ze złotem to operacja propagandowa, a nie rzeczywista alternatywa dla normalnych pożyczek z Unii Europejskiej. Warto też pamiętać, że tzw. SAFE 0 proc. tandemu Glapiński-Nawrocki kosztowałby, i to niemało. 185 mld zł wpływające na rynek to potężny impuls inflacyjny, bo to pusty pieniądz, którego nikt nie wypracował. Gdyby Narodowy Bank Polski chciał tej dodatkowej inflacji zapobiec, musiałby poprzez emisję bonów pieniężnych zebrać z rynku finansowego łącznie właśnie 185 mld zł. Ale przecież nie odbyłoby się to za darmo. NBP musiałby płacić za to bankom komercyjnym odsetki w wysokości stopy referencyjnej. W tej chwili to 3,75 proc. SAFE 0 proc. zamieniłby się zatem w SAFE 3,75 proc., a taka operacja znacząco pogorszyłaby wynik NBP. Czyli zmniejszyłaby zysk przekazywany na obronność. Alternatywa to brak reakcji banku centralnego i wyższa inflacja z powodu dodatkowego, pustego pieniądza. Ten scenariusz przerabialiśmy już w pandemii.

Złote manewry prezesa NBP i prezydenta miałyby jeszcze inne możliwe konsekwencje. Oczywiście negatywne. Skoro kurczowo trzymamy się własnej waluty, choć słono za to płacimy (np. mając dużo droższe kredyty mieszkaniowe niż w strefie euro i pozwalając zarabiać bankom niemałe pieniądze na przewalutowaniach naszych transakcji wykonywanych podczas pobytów w strefie euro), musimy dbać o reputację. Scenariusz, w którym bank centralny sprzedaje wielokrotnie drobne ilości złota tylko po to, żeby je zaraz kupić, jest na tyle kuriozalny, że z pewnością wzbudziłby wątpliwości na rynkach finansowych. Tak samo jak pomysł, by sztucznie napompowane zyski NBP ratowały budżet państwa. Albo chcemy grać w lidze G20 z największymi, albo jesteśmy bananową republiką, w której sprawujący najważniejsze stanowiska nie przejmują się standardami.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl f60e042159

Cień wielkiej chmury

W zamożnej podwarszawskiej wsi spokój mieszkańców zburzył plan amerykańskiego biznesu cyfrowego. Sąsiedzkie stowarzyszenie broni się przed nim od czterech lat.

Podwarszawskie Reguły. W żółtych kropkach – działka, gdzie mają stanąć budynki centrum danych.

© MAPY.CZ

MARCIN PIĄTEK

Reguły to sypialnia Warszawy. Sąsiadują z jej zachodnimi obrzeżami, do centrum stolicy jedzie się 20 minut, podobnie jak do lotniska Chopina. Działka, na której planowane jest centrum danych, ma 23 ha. Od północy jej granicę wyznacza dwukierunkowa ulica, od południa tory Warszawskiej Kolei Dojazdowej, przez środek biegnie linia wysokiego napięcia. Po sąsiedzku dużo jednorodzinnej zabudowy. Właścicielem terenu jest Hillwood, amerykański gigant inwestycji wielkopowierzchniowych. – *Jakieś cztery lata temu zorganizował zebranie z udziałem mieszkańców. Usłyszeliśmy, że zamierza tu realizować duże centrum danych i że na podatku od nieruchomości gminny budżet wzbogaci się o 2 mln zł. Nie zrobiło to na nas większego wrażenia. Ponad połowa rocznego budżetu gminy Michałowice pochodzi z PIT-ów* (w 2025 r. było to 132 mln zł – red.) – mówi Marta Tymoszuk ze Stowarzyszenia Aktywnych Sąsiadów, które walczy o to, by centrum danych w tej skali nie powstało obok domów.

Serwerownia wyglądała na bardziej znośne sąsiedztwo niż planowany wcześniej logistyczny magazyn, oznaczający kolejki tirów, spaliny, korki i rozjeżdżone drogi. Ale gdy mieszkańcy zagłębili się w temat, odkryli, że wszędzie na świecie tego typu inwestycje, kojąco zwane przez big techy cyfrowym kampusem lub infrastrukturą chmurową, drenują lokalne zasoby wody, powodują przeciążenia sieci energetycznej, a alternatywne zasilanie z agregatów wiąże się z hałasem i emisją spalin. I są już niemile widziane w krajach Europy Zachodniej.

W Irlandii centra danych zużywają jedną piątą krajowej produkcji energii elektrycznej. Więcej niż gospodarstwa domowe. W Dublinie wprowadzono moratorium na realizację tego typu inwestycji, podobnie jak w Amsterdamie, gdzie zakazano dużych, energochłonnych centrów danych. Tamtejsi eksperci twierdzą, że biorąc pod uwagę przeciążenie sieci, należałoby wprowadzić dalej idące restrykcje, trzeba jednak sfinalizować projekty, na które pozwolenia wydano już kilka lat temu.

Z podobnymi problemami mierzą się Francja i Niemcy. Norwegia, mająca pod dostatkiem zielonej energii, rozważa wprowadzenie zakazu działalności dla kryptowalutowych kopalni zużywających astronomiczne ilości prądu i pozostawiających olbrzymi ślad węglowy. Ale popyt na infrastrukturę do przechowywania danych rośnie, głównie z powodu potrzeb narzędzi sztucznej inteligencji, a skoro na rynku FLAPD (Frankfurt, Londyn, Amsterdam, Paryż, Dublin) dobrnięto już do ściany, jeśli chodzi o moc i przepustowość sieci energetycznych, jak również skutki uboczne dla mieszkańców, cyfrowi giganci szukają nowych lokalizacji.

Ich wybór padł na Polskę, głównie z powodu dostępnych rezerw energii ▶

eprasa.pl f60e042159

▶ elektrycznej (wciąż pochodzącej przede wszystkim ze spalania węgla). W Warszawie i okolicach ulokowanych jest dwie trzecie tego rodzaju krajowych inwestycji. Wielkie hale wyrastają jak grzyby po deszczu. Długość jednej z tych planowanych w Regułach Hillwood określił na 232 m. Tymczasem miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego dopuszcza co najwyżej sto. – *Dane z Karty Informacyjnej Przedsięwzięcia nijak się mają do tego, co zawarto w raporcie oddziaływania inwestycji na środowisko. Roi się on od błędów i absurdów, np. w rozdziale konflikty społeczne inwestor wpisał: brak. A jeśli chodzi o zaopatrzenie w wodę, była mowa o wpięciu się do wodociągów michałowickich. Takie istnieją, ale pod Krakowem* – dodaje Tomasz Ciechomski, prezes SAS.

Zorientowawszy się, że jedna gigainwestycja nie przejdzie, Hillwood rozbił ją na cztery, a dla najmniejszego z budynków przedstawił raport środowiskowy. Stowarzyszenie zgłosiło do raportu kilkadziesiąt uwag i twardo stoi na stanowisku, że rzeczywista skala oddziaływania inwestycji jest ukrywana. Urzędnicy gminy Michałowice również dopatrzyli się nieścisłości w raporcie z uprzednio złożoną Kartą Informacyjną Przedsięwzięcia i wezwali inwestora do tego, by zrobił porządek w dokumentach. – *Cała inwestycja ma być warta 1,5 mld dol., a Hillwood publikuje plany, w których stoi czarno na białym, że docelowo powstaną tu cztery budynki* – mówi Marta Tymoszuk. Jej zdaniem to oczywiste, że mają to samo przeznaczenie, będą technologicznie połączone. – *Dlatego ocenie powinno podlegać skumulowane oddziaływanie na środowisko.*

Członkowie SAS obawiają się o faktyczne zużycie wody oraz wydolność linii energetycznej, gdyż – jak mówią – sieć już jest przeciążona i dochodzi do przerw w dostawach prądu. – *Znane są przypadki z Hiszpanii czy USA, gdzie konieczność chłodzenia serwerów spowodowała niedobory wody i spotęgowała lokalną suszę. Praktyka jest taka: najpierw inwestor dostarcza prognozy zużycia wody, dostaje zgodę, a następnie występuje o zwiększenie zapotrzebowania* (np. w Aragonii, którą big techy upatrzyły sobie na nową serwerową mekkę, Amazon wnioskował o podniesienie limitu dla swoich centrów danych o 48 proc. – przyp. red.). *Nieopodal Warszawy, w Sękocinie Starym, Microsoft ma dwie serwerownie i na ich potrzeby woda czerpana jest tam z ujęcia czwartorzędowego, bardzo wysokiej jakości. Jak to się ma do apeli o ograniczenie zużycia wody, które dostajemy latem?* – dziwi się Tomasz Ciechomski.

Członków SAS niepokoi też ukrywanie, na czyje zamówienie serwerownia powstaje. Ujawnienie tej informacji na etapie załatwiania formalności ułatwiłoby ocenę faktycznej skali działalności oraz kosztów środowiskowych. W Sękocinie Starym halę budował Panattoni, występował o wydanie decyzji środowiskowej, ale projekty zastępcze i aktualizację potrzeb, związanych m.in. z wierceniem studni, składał już Microsoft, który rozważał też Reguły jako lokalizację innej swojej inwestycji.

> Mieszkańcy gminy obawiają się o faktyczne zużycie wody oraz wydolność linii energetycznej, już dziś przeciążonej.

Tomasz Ciechomski zaznacza, że to, jakie dane mają być w planowanym centrum przechowywane, jest dla oceny przyszłego bezpieczeństwa tej inwestycji bardzo istotne. – *Tuż obok tej działki biegnie gazociąg i linia kolejowa, niedaleko jest lotnisko Okęcie. W dzisiejszych niespokojnych czasach nietrudno sobie wyobrazić akty sabotażu, a przecież to centrum ma być jednym z większych w Polsce. Ale gdy złożyliśmy do Wydziału Bezpieczeństwa i Zarządzania Kryzysowego w Mazowieckim Urzędzie Wojewódzkim pismo z prośbą o ocenę tej inwestycji właśnie pod kątem ewentualnych zagrożeń, dostaliśmy odpowiedź, że trudno o ocenę, dopóki budowla nie powstanie* – mówi Tomasz Ciechomski. I dodaje, że korespondując z organami państwowymi i lokalnymi, ma wrażenie życia w rzeczywistości rodem z Monty Pythona.

Zaangażowani w działalność SAS postawili się wielkiemu biznesowi, obnażyli niedbalstwo i wady w dokumentacji. Jak na razie opóźniają budowę, opór kosztuje jednak czas i pieniądze na ekspertów oraz prawników. Ale determinacja nie słabnie. Również z tego powodu, że czują się traktowani jak ciemny lud, który wszystko kupi. – *Na prezentacjach Hillwooda mogliśmy zobaczyć centrum danych jako zieloną oazę z placami zabaw, ściankami wspinaczkowymi, ulami i fruwającymi motylkami* – mówi Marta Tymoszuk. – *Tymczasem w rzeczywistości tego typu miejsca otoczone są płotem, niekiedy zwieńczonym drutem kolczastym, pilnuje ich ochrona, a zieleni się tam nie umieszcza, bo przyciąga owady, które mogą zakłócić pracę urządzeń.*

SAS oburzyły też materiały z gazetki „Nasze Reguły". Na przełomie 2023 i 2024 r. była kolportowana po domach i wyłożona w urzędzie gminy. – *Obok tekstów chwalących działalność pani wójt i wywiadów z nią widniały tu publikacje przedstawiające zalety amerykańskiej obecności w Regułach i jednocześnie krytykujące przeciwników inwestycji. Oskarżano nas o rozsiewanie fake newsów, blokowanie rozwoju gminy, odzieranie jej z dochodów i narażanie na odszkodowanie, wyliczone na 23 mln zł na wypadek zmiany planu miejscowego, który wykluczałby tu usługi tej skali* – wylicza Tomasz Ciechomski.

Ukazały się cztery numery, każdy w liczbie ponad 7 tys. egzemplarzy. Bez stopki redakcyjnej i danych wydawcy, co jest nielegalne. SAS złożył więc zawiadomienie do prokuratury. Okazało się, że „Nasze Reguły" to dzieło Roberta Wyrostkiewicza, publicysty prawicowych mediów, m.in. „Do Rzeczy", gdzie również ukazywały się artykuły o korzyściach płynących z amerykańskiego desantu w Regułach i niepochlebne dla mieszkańców domagających się, by Hillwood grał w otwarte karty.

– *Za nielegalne wydawanie „Naszych Reguł" Wyrostkiewicz został parę tygodni temu skazany na 400 zł grzywny, tymczasem jest recydywistą. Stał też za gazetką „Nasze jutro", wydawaną w podwrocławskim Malinie. To wypisz wymaluj nasza historia: planowana budowa wielkiej hali i nielegalne pisemko z laurkami dla lokalnego wójta i paszkwilami na mieszkańców walczących, by pod oknami nie wybudowano im ogromnego blaszaka. Zresztą na działce, która z mieszkaniowej została nagle przekształcona na usługową* – mówi Ciechomski.

Podczas śledztwa dotyczącego „Naszego jutra" jeden ze świadków zeznał, że rozwoził po gminie gazetkę na zlecenie pracowników dewelopera Develia, która zamierza realizować inwestycję w Malinie do spółki z Hillwoodem. Biuro prasowe polskiego

eprasa.pl f60e042159

oddziału Hillwooda nie odpowiedziało na zadane przez POLITYKĘ pytanie, czy inspirowało wydanie „Naszych Reguł".

Wójt Małgorzata Pachecka, na której spoczywa obowiązek wydania decyzji środowiskowej dla inwestycji, rządzi w gminie Michałowice drugą kadencję. – *Wygrała wybory w 2018 r., obiecując gminę kameralną i zieloną. Na jej ulotkach wyborczych było napisane: „nie" dla wielkich hal w sąsiedztwie domów! Teren, na którym ma powstać centrum danych, jest w obecnym planie zagospodarowania zakwalifikowany jako usługowy* – opowiada Marta Tymoszuk. – *Cztery lata temu do urzędu gminy wpłynął wniosek kilkorga radnych o przekształcenie go w mieszkaniowo-usługowy, inicjatywę tę poparło ponad 800 mieszkańców, pani wójt zleciła kontynuację prac, wykonano ekspertyzy i prognozy skutków finansowych. Już trzy lata temu obiecywała przekazanie go radzie gminy pod głosowanie. Ale plan leży w szufladzie...*

Wójt Małgorzata Pachecka uważa lansowaną przez SAS narrację, że nie dochowuje swoich zobowiązań co do kameralności gminy Michałowice, za krzywdzącą i niezgodną z faktami. – *Zablokowałam duże inwestycje usługowe w Regułach i Komorowie, co wiązało się dla gminy z ryzykiem wypłacenia odszkodowania. W jednym z tych przypadków chodziło o 55 mln zł, uniknęliśmy tego tylko z przyczyn formalnych. W Sokołowie Hillwood chciał zbudować halę o powierzchni 5 ha, udało mi się ograniczyć tę inwestycję do 3,5* – wylicza.

Jeśli chodzi o działkę budzącą obecnie w Regułach największe emocje, pani wójt tłumaczy, że sytuacja jest skomplikowana: – *Figuruje w planie miejscowym jako usługowa. Zdaję sobie sprawę, że mieszkańcy, w tym przede wszystkim SAS, najchętniej widzieliby tam zabudowę jednorodzinną. Ale chcąc zachować kameralność gminy, nie powinniśmy oddawać nowych terenów pod zabudowę. Wielu mieszkańców mówi mi wprost: mieszkaniówka równa się roszczeniówka. I sobie jej nie życzą. Priorytet mają u nas tereny zielone* – dodaje.

Potencjalna obecność na tym terenie wielkiej inwestycji Hillwooda również się z obiecywaną przez panią wójt kameralnością kłóci, ale inwestor wie, jak grać, aby ugrać swoje. – *Na planach widnieją cztery budynki, ale na razie procedowane jest pozwolenie na jeden. Prosiłam inwestora, by ujawnił, kto będzie tu gospodarzem, odmówił, a to nie jest dla mnie przesłanka do wydania negatywnej decyzji środowiskowej. Ma już od MPWiK w Warszawie zgodę na przyłącze do magistrali wodnej, więc najwyraźniej oznacza to, że wody dla mieszkańców nie zabraknie. Jeśli chodzi o prąd, analogiczna sytuacja – też ma zgodę.*

Wlekące się czwarty rok formalności to zasługa ciosów zadawanych przez SAS, ale i wątpliwości urzędników gminy Michałowice, czy podział inwestycji nie jest sztuczny, a faktyczny koszt środowiskowy ukrywany. – *W grudniu ponownie dopytywaliśmy o to inwestora. Odpowiedział, że każdy z budynków będzie niezależnym i samodzielnym przedsięwzięciem funkcjonalnym, przeznaczonym do obsługi różnych klientów, opartym na innej infrastrukturze. W lipcu 2025 r. stowarzyszenie Zielone Mazowsze złożyło do Samorządowego Kolegium Odwoławczego zażalenie na moje postanowienie, by przeprowadzić cztery odrębne postępowania środowiskowe. Ale zostało oddalone w dwóch instancjach* – dodaje wójt.

Jeśli chodzi o jej obecność w nielegalnej gazetce reklamującej inwestycję, wójt Małgorzata Pachecka tłumaczy: – *Zdjęcia i publikacje zostały pobrane z mediów społecznościowych, pana wydawcy nigdy nie spotkałam. A że pisemko wyłożone było w budynku urzędu? Cóż, wiele osób tak robi, nie pytając nigdy o zgodę.*

Przedstawiciele Hillwood Polska w mailowej odpowiedzi potwierdzili zamiar wzniesienia czterech budynków, w tym trzech o maksymalnych wymiarach (100 na 100 m, wysokość 18 m), na jakie pozwala lokalny plan zagospodarowania. Koncepcja została zmieniona na „bardziej zwartą", a planowane obiekty odsunięte w głąb działki. Ocena oddziaływania na środowisko będzie przeprowadzana oddzielnie dla każdego z budynków, przy czym w kolejnych realizacjach dojdzie do „analizy oddziaływań skumulowanych", z uwzględnieniem tych już wcześniej sfinalizowanych.

Hillwood nie potrafił wskazać planowanego zużycia energii (podano tylko łączną moc przyłącza, czyli 127 MW; dom jednorodzinny ma jakieś 10 tys. razy mniej) ani wody (podano przepustowość przyłącza odpowiadającą łącznie niemal 200 domom), system chłodzenia będzie zaprojektowany tak, aby wykorzystać obieg zamknięty wody, jednak z zastrzeżeniem, iż będzie się to dziać w „możliwie największym stopniu", zaś dodatkowe chłodzenie serwerów poprzez rozpylanie wodnej mgiełki przewidziane jest dla temperatury „powyżej około 25 stopni". Agregaty mają być uruchamiane tylko w sytuacjach awaryjnych, a ich prace testowe niekłopotliwe. Jednocześnie w odpowiedzi podkreślono, iż w przestrzeni publicznej pojawiają się mylące informacje dotyczące zapotrzebowania inwestycji na wodę. – *Dostaliśmy od Hillwooda pismo, w którym pojawiły się wobec nas takie zarzuty. Gdy odpisaliśmy im, że dokonujemy szacunków, odwołując się do podanych przez nich niekompletnych i trudnych do zweryfikowania danych, i w związku z tym zadaliśmy im więcej konkretnych pytań, kontakt się urwał* – dodaje Marta Tymoszuk.

Wójt Małgorzata Pachecka nie była w stanie podać przewidywanego terminu wydania decyzji środowiskowej, gdyż sprawa jest skomplikowana. Członkowie SAS zapowiadają, że jeśli decyzja ta będzie przychylna dla inwestora, podejmą kroki, by podważyć ją sądownie.

MARCIN PIĄTEK

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach

ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl f60e042159

© MAJID-ASGARIPOUR/REUTERS/FORUM

Bombami w

ŁUKASZ WÓJCIK

Irańczycy są uwięzieni między poranionym, ale wściekłym reżimem i amerykańsko-izraelską agresją. Nie do końca wiedzą, komu kibicować.

Hiacynt to kwiat Nouruz, tradycyjnego irańskiego (i nie tylko) święta – dosłownie „nowego dnia" – przypadającego na wiosenną równonoc, w tym roku 20 marca. Milad, lat 42, ma niegroźną obsesję na punkcie tych kwiatów. Hiacynt i Nouruz oznaczają dla niego i milionów Irańczyków nie tylko początek perskiego nowego roku, ale także punkt odnowy, reaktywacji, nadziei na lepsze jutro. – *Ale jak tu się odnawiać, skoro nawet hiacynty w ulicznych kwiaciarniach są oprószone*

eprasa.pl f60e042159

Bazar w Teheranie przed tradycyjnym świętem Nouruz, 19 marca

hiacynty

pyłem opadającym na Teheran z kolejnych wybuchów i pożarów? – pyta.

Wielu jego znajomych nie ma ani siły, ani środków, żeby przygotować *haft sin*, tradycyjny obiad składający się z siedmiu elementów, których nazwy zaczynają się od perskiej litery „s", czyli kiełki soczewicy, słodki budyń z kiełków pszenicy, oliwnik, ocet, jabłko, czosnek i sumak. Wojna nałożyła się na pogłębiający się kryzys ekonomiczny, który w ostatnich latach zdruzgotał klasę średnią. Dziś, mówi znajomy, może sobie pozwolić najwyżej na *kuku sebzi*, czyli rodzaj omletu z bardzo dużą ilością zieleniny. – *Mnie akurat stać na haft sin, ale jak mam świętować Nouruz, skoro nawet nie mogę spotkać się z rodziną.*

Irańczycy są uwięzieni między zranionym, ale wściekłym i wciąż głęboko zakorzenionym reżimem a nieustannymi atakami USA i Izraela, które pochłonęły już tysiące ofiar. Wielu z nich w obliczu ataku obcych rakiet i terroru władzy wybiera *takiję* – to szyicka doktryna przyzwalająca na ukrywanie swoich przekonań w sytuacjach zagrożenia. Ci, którzy mają dość tak jak Milad, zamykają się więc w domach i zgodnie z ową doktryną wycofują zupełnie z polityki w oczekiwaniu na sprawiedliwego przywódcę.

1 Na razie dostali Modżtabę Chameneiego, syna najwyższego przywódcy Iranu, który zginął w pierwszym dniu wojny. Ale wielu naszych irańskich rozmówców nie wie, co o tym sądzić. Czy Republika Islamska właśnie stała się dziedziczną monarchią, którą obaliła w 1979 r.? To dynastyczność jest jednak wpisana w szyicką kulturę polityczną, która opiera się na ciągłości genealogicznej i charyzmacie wynikającym z pochodzenia. Stąd na szczytach władzy nadreprezentacja brodaczy w czarnych turbanach, które świadczą o ich pochodzeniu od Mahometa. Taki turban nosili wódz rewolucji Ruhollah Chomeini i Ali Chamenei.

Nosi go również Modżtaba, ale ewidentnie na kredyt. Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, nowy najwyższy nie pokazał się jeszcze publicznie, szerzyły się natomiast spekulacje dotyczące jego stanu zdrowia. W ataku, w którym zginęli jego ojciec, żona i dzieci, miał odnieść poważne, ale niezagrażające życiu obrażenia. Według jednego, umiarkowanie wiarygodnego źródła Modżtaba miał nawet polecieć na leczenie do Moskwy. Ale to, że go publicznie nie ma, wcale nie musi szkodzić reżimowi.

Nie był pierwszym wyborem na następcę swojego ojca. Ale „pierwsze wybory" albo już zginęły, albo mogły wywołać karkołomne spory w sytuacji, gdy Republika Islamska broni się przed najpoważniejszym atakiem w swojej historii. W takiej sytuacji Modżtaba był bezpiecznym wyborem. A to, że go nie ma, jest nawet wygodne dla reżimu – trudniej go zabić. Tym bardziej że podstawową rolę już odegrał: dzięki niemu została zachowana ciągłość instytucjonalna rewolucji – nawet jeśli dziś leży pod respiratorem w jakiejś kremlowskiej klinice.

To kto w takim razie rządzi dziś Iranem? Do zeszłego tygodnia wiele wskazywało na Alego Laridżaniego, prawą rękę ds. bezpieczeństwa u Chameneiego seniora, wcześniej szefa parlamentu, ale generalnie człowieka Strażników Rewolucji, paramilitarnej organizacji na wzór niemieckiej SS, która stanowi w zasadzie państwo w państwie.

Świetnie wykształcony Laridżani (doktorat z Kanta) był doskonałym łącznikiem między duchownymi, aparatem bezpieczeństwa i resztą świata. – *Jako doświadczony negocjator był uważany za człowieka, z którym można się dogadać* – mówi irański socjolog Asef Bajat. – *Może dlatego zginął od izraelskiej bomby. Izrael, co już kilkakrotnie udowodnił, wcale nie chce z Irańczykami rozmawiać.*

Zdaniem Bajata na placu boju został Mohammad Bager Kalibaf, jeden z najbliższych współpracowników Laridżaniego, obecny przewodniczący parlamentu, wcześniej wieloletni burmistrz Teheranu. Znany ze swojej brutalności, ale też pragmatyk, ▶

eprasa.pl f60e042159

▶ który w 2003 r. z ramienia Strażników oferował pomoc Amerykanom w Iraku. Wtedy kontakt się uciął, ale dziś warunki są zgoła inne.

2 Pozycja Kalibafa nie jest przypadkowa i wynika ze skrupulatnie zaplanowanej strategii przetrwania reżimu. Po agresji Izraela z USA z czerwca ub.r. Chamenei stworzył czteropoziomowy system sukcesji dla najważniejszych ministerstw w rządzie i wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Polecił też ważniejszym urzędnikom – od odpowiednika wojewody w górę – aby sami przygotowali listę czterech kolejnych następców. Przede wszystkim jednak przeniósł strategię mozaikową z wojska do administracji publicznej.

Owa strategia polega na tym, że struktura podejmowania decyzji jest maksymalnie spłaszczona na wypadek utraty łączności. W wojsku, jeśli wróg zniszczy dowództwo większego oddziału, oficerowie kierujący pododdziałami mogą sami podejmować decyzje, np. o wystrzeleniu pocisków na Katar. Taką armię trudno sparaliżować. Adaptując strategię mozaikową w administracji, Irańczycy osiągnęli podobne rezultaty – Izrael zabija kolejnych ministrów czy szefów służb, a państwo nadal działa. Choć w trybie awaryjnym.

– *Różnie z tym działaniem bywa. Na twarzach ludzi reżimu widać niepokój, który próbują przykryć agresją* – mówi anonimowo młody irański politolog. Reżimowe media bez przerwy ostrzegają, że jakiekolwiek poparcie dla amerykańsko-izraelskich ataków będzie uznane za zdradę, co oznacza wyrok śmierci. – *I to działa, ludzie nie chcą ryzykować, dlatego pozamykali się w domach.*

Zaskakuje stosunek do Izraela – u zwolenników reżimu oczywiście negatywny, ale w ostatnich dniach coraz bardziej podszyty trwogą. – *Ich ostrzał jest tak systematyczny, bezwzględny i precyzyjny, że rodzi podziw, co może brzmieć absurdalnie ze strony atakowanych* – opowiada wspomniany politolog. I przywołuje zasłyszaną opowieść o bombardowaniu jednej z teherańskich ulic (Amerykanie nie latają nad Teheranem). Pociski spadły na trzy budynki po obu stronach ulicy, oddalone od siebie o 200–300 m. Pierwszy był siedzibą policji obyczajowej, drugi lokalną komendą Strażników, w trzecim znajdowała się siedziba fundacji związanej z tymi ostatnimi. Wszystkie trzy zostały zniszczone do parteru, żaden inny budynek na tej ulicy nie ucierpiał.

3 Podobne sytuacje wytrącają z równowagi Irańczyków związanych z reżimem. W internecie krążą filmiki z funkcjonariuszami różnych służb śpiących codziennie nie w domu, tylko w autach zaparkowanych kilka przecznic dalej. Dużą popularnością cieszą się również dzikie parkingi pod wiaduktami. Świat oburzyła historia z izraelskim atakiem na teherański szpital im. Mahatmy Gandhiego. Ale według naszych źródeł dwa dni wcześniej do szpitala wpadli basidżowie, irański odpowiednik ZOMO, i wyrzucili większość chorych, żeby zrobić miejsce dla rannych towarzyszy. Nasz anonimowy rozmówca: – *Izrael musiał się o tym jakoś dowiedzieć, prawie wszystkie ofiary to byli basidżowie. Wie pan, takie ataki doprowadzają ludzi do paranoi.*

„Wall Street Journal" opisuje inną taką historię. Izraelski wywiad potrafi zadzwonić do prominentnych przedstawicieli reżimu, grożąc im i ich rodzinom. Agenci zarzucają reżimowców szczegółami z ich życia. Amerykański dziennik przedrukował jedną z takich rozmów z wysoko postawionym oficerem irańskiej policji. „Słyszysz mnie? – mówi agent Mosadu. – Wiemy o tobie wszystko, jesteś na naszej czarnej liście. Dzwonię, aby cię ostrzec. Jeśli wybuchnie powstanie, powinieneś stanąć po stronie ludu". I dalej: „Jeśli tego nie zrobisz, skończysz jak Chamenei, słyszysz mnie?". Potem cisza. „Bracie, przysięgam na Koran, nie jestem twoim wrogiem – mówi Irańczyk. – Ja już jestem trupem. Pomóżcie nam".

Policja irańska ma być tak sparaliżowana strachem, że w zasadzie ustały wszystkie śledztwa. W jednej z centralnych dzielnic Teheranu lokalna komenda wydała oświadczenie, w którym apeluje o zamykanie sklepów przed zmierzchem, bo nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa ich właścicielom. Niektóre komisariaty pozostają zamknięte od pierwszych dni wojny.

Asef Bajat twierdzi, że ten strach to jednak złudzenie, bo w przypadku wybuchu protestów aparat państwa jest gotowy na wszystko. I wciąż pozostaje relatywnie sprawny, głównie dzięki wspomnianej strukturze mozaikowej. Lokalne oddziały basidżów wiedzą, co mają robić w przypadku oporu społecznego. „Głównie strzelać" – twierdzi wywiad izraelski. A sama struktura tych oddziałów – to zajęcie „po godzinach", członkowie trzymają broń w domach – jest wyjątkowo elastyczna.

4 Tak jak elastyczny jest cały system polityczny Iranu, a przy tym zaskakująco skomplikowany i w pewnym sensie konkurencyjny. Są duchowni, biurokraci, wybrani politycy i Strażnicy. W każdej z tych grup działają osobne frakcje. Kiedyś znajomy, próbując wyjaśnić mi proces podejmowania decyzji w Republice Islamskiej, poradził, abym wyobraził sobie „grupę brodatych starców pijących herbatę w nie swoim domu". Ale to dziś znacznie bardziej skomplikowane i trudne do zrozumienia z zachodniej perspektywy, bo ten system nie został zaprojektowany z myślą o wydajności, ale o przetrwaniu.

Dziś to przetrwanie nie jest już takie oczywiste. Rewolucyjny Iran ma zaskakująco wiele wspólnego ze Związkiem Radzieckim. Można wręcz powiedzieć, że przeszedł podobną drogę ideologiczną, tylko że w przyspieszonym tempie. Karim Sadjadpour, ekspert ds. Iranu z fundacji Carnegie, zwraca uwagę, że zabity najwyższy Ali Chamenei zaczytywał się w historii upadku ZSRR, „jakby doszukiwał się tam własnego losu".

Dla klarowności tego radzieckiego porównania podzielmy historię Iranu po 1979 r. na trzy fazy, z których ostatnia właśnie się zaczyna. Pierwszą fazę – do śmierci Chomeiniego w 1989 r. – zdominował rewolucyjny uniwersalizm. Iran nie był wtedy zwykłym państwem, ale epicentrum ponadnarodowego, islamskiego przebudzenia. Chodziło o eksport rewolucji i mobilizację szyickich ruchów religijnych na całym Bliskim Wschodzie. Nieco na wzór Związku Radzieckiego za czasów Włodzimierza Lenina – ekspansywny, agresywny i odrzucający dotychczasowe struktury państw narodowych.

Po śmierci Chomeiniego i przejęciu władzy przez Alego Chameneiego rozpoczęła się druga faza – irański odpowiednik radzieckiej „rewolucji w jednym kraju". Gdy okazało się, że islamski ferment nie jest aż tak zaraźliwy, Iran skupił się na sobie, nastąpiła konsolidacja chaotycznej wcześniej struktury władzy, pojawił się nawet geopolityczny pragmatyzm – tak jak w stalinowskim ZSRR – nazywany w Teheranie „strategiczną cierpliwością". W praktyce opierał się na asymetrycznym odstraszaniu i budowie sieci zależnych organizacji, jak Hamas i Hezbollah. Wewnętrznie reżim nabrał charakteru hybrydowego, w którym

© MAJID SAEEDI/GETTY IMAGES

eprasa.pl f60e042159

Mężczyzna ze zdjęciem zabitego ajatollaha Alego Chameneiego, Plac Enghelab w Teheranie. Pierwszy szok ciągle nie minął.

duchowi przywódcy rewolucji ustąpili nieco miejsca aparatowi bezpieczeństwa, czyli głównie Strażnikom Rewolucji.

Zdaniem Sadjadpoura teraz rozpoczyna się trzecia faza – narodowo-islamistyczna. Strażnicy Rewolucji przejmą państwo, które jednak utrzyma religijną otoczkę, a przede wszystkim religijno-rewolucyjny słownik. Ale logika operacyjna państwa będzie coraz bardziej charakterystyczna dla scentralizowanego państwa narodowego. Kluczowe miejsce zajmą pojęcia, takie jak suwerenność, samowystarczalność i odstraszanie. Rewolucyjny szyizm pozostanie wyłącznie na poziomie ideologicznym, a w końcu może być zupełnie odrzucony. Iran stanie się wówczas podobny do putinowskiej Rosji, która zamieniła komunizm na religijno-nacjonalistyczną mieszankę.

Wiele rewolucyjnych reżimów przeszło podobną drogę, gdy początkowa faza mobilizacji ideologicznej ustąpiła miejsca instytucjonalnej konsolidacji. To zresztą nie tylko Związek Radziecki, ale też Chińska Republika Ludowa, która przeszła od permanentnej mobilizacji rewolucyjnej Mao Zedonga do bardziej pragmatycznego, nacjonalistycznego rozwoju, kojarzonego z Deng Xiaopingiem.

5 Ilustracją tego procesu może być stopniowa degradacja pozycji prezydenta Iranu. Dwa tygodnie temu Masud Pezeszkian zasugerował, że Teheran powinien unikać ataków na swoich sąsiadów w Zatoce Perskiej. A za dotychczasowe publicznie przeprosił. Wewnątrz Iranu wywołało to ostrą reakcję ludzi związanych ze Strażnikami Rewolucji, a na zewnątrz spekulacje o pęknięciach w reżimie. Ale to było fałszywe odczucie, wynikające z niezrozumienia pozycji prezydenta. Pezeszkian przez niektórych irańskich „siłowników" został wręcz nazwany „kandydatem na zdrajcę", a dosłownie dzień po jego przeprosinach irańskie pociski znów spadły na Zjednoczone Emiraty Arabskie i Katar.

Co się stało z prezydentem? W ciągu ostatnich czterech dekad ten urząd, który z początku miał ucieleśniać władzę wykonawczą, nieprzerwanie tracił na znaczeniu, co ilustruje szerszy trend. Republika Islamska długo funkcjonowała w oparciu o model hierarchiczny: wybieralne instytucje działały na niższych szczeblach, a najwyższy przywódca stał nad nimi jako ostateczny arbiter władzy. Z czasem jednak aparat bezpieczeństwa (głównie Strażnicy) zdobywał coraz większe wpływy polityczne i gospodarcze. I prezydentura była pierwszą instytucją, która odczuła konsekwencje tej zmiany – decyzje zaczęły zapadać gdzie indziej.

Po nominacji Modżtaby na najwyższego również ten urząd może czekać upadek. Młody Chamenei nie wziął sobie tego stanowiska siłą, nawet jego ojciec nie umieścił go na krótkiej liście następców – został wybrany z powodu swojej słabości – jako osoba, którą będzie można łatwo kierować. W tym sensie jego urząd – kiedyś najważniejszy – szybko może się stać tylko niemą twarzą reżimu.

6 W poprzedni piątek Iran znalazł się w okowach dwóch świąt i dwóch światów. Na 20 marca – pierwszy raz od niepamiętnych czasów – przypadł w tym roku nie tylko Nouruz, ale też (o paradoksie!) Id al-Fitr, czyli uroczysty dzień zakończenia postu i ramadanu. Tym razem Id al-Fitr był obchodzony wyjątkowo hucznie. Mimo groźby bomb były państwowe modły w największych meczetach, demonstracja siły i niezłomności na ulicach oraz wielkie słowa o zbliżającym się zwycięstwie.

Zdecydowana większość Irańczyków została jednak w domach ze swoimi oprószonymi hiacyntami i siedmiodaniowym obiadem. Nie mogli obchodzić obu świąt naraz – nie tylko wypadły w ten sam dzień, ale po prostu gryzą się ze sobą. Jak większość Irańczyków z reżimem. Powód jest prosty – rewolucyjne władze przez lata prześladowały Nouruz, uznając to święto za pogańskie, nieznośnie świadczące o tym, że przed islamem istniała Persja. I że może istnieć bez islamu. Tak jak Iran może istnieć bez islamskiego reżimu.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl f60e042159

Średniacy kontra podpalacz

Podporządkować się lub zostać zbombardowanym – czy to jedyne możliwości dla słabszych państw w nowym świecie Trumpa? Może odpowiedzią jest sojusz średnich mocarstw.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

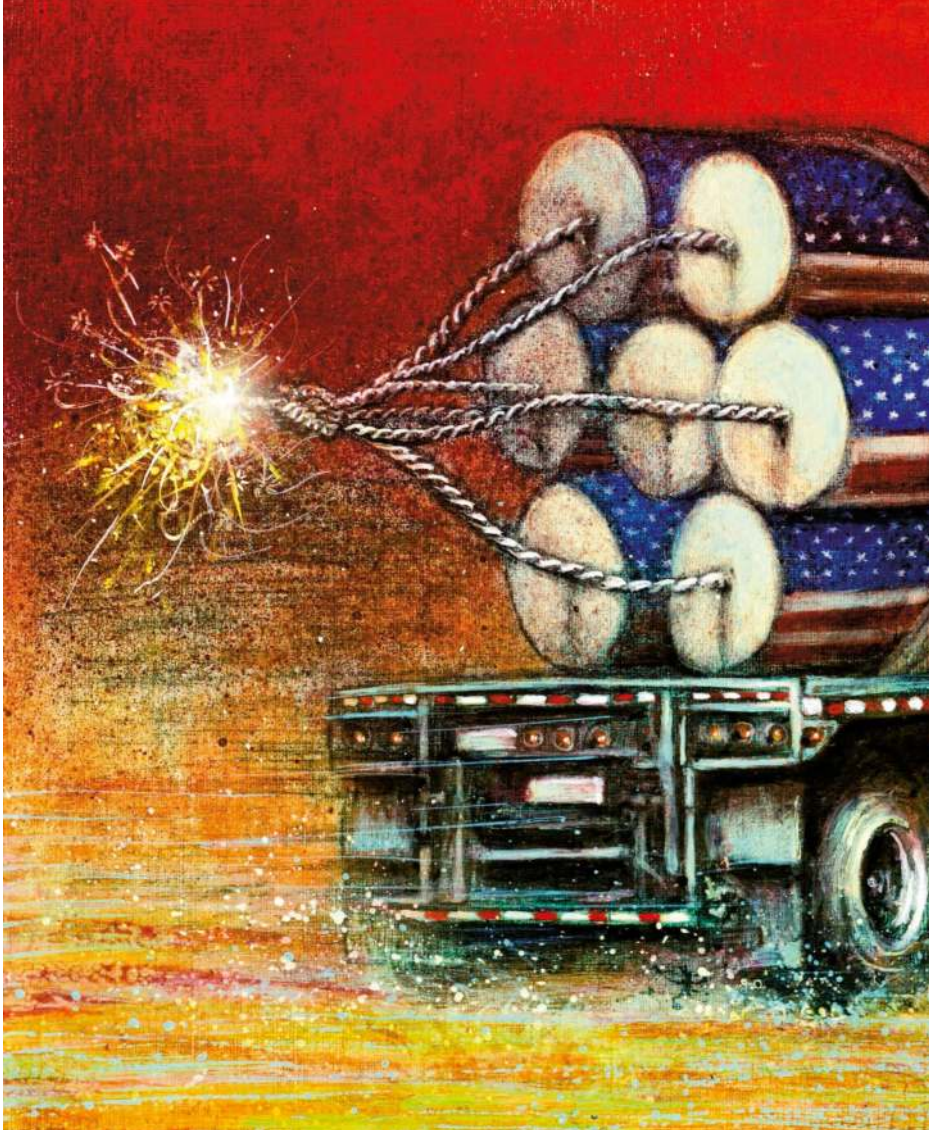

ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

„Następne pięć do dziesięciu lat prawdopodobnie zadecyduje o tym, jaki będzie porządek świata na kolejne dekady" – przepowiadał na początku 2026 r. prezydent Finlandii Alexander Stubb. „Inne kraje, a zwłaszcza średnie mocarstwa, jak Kanada, nie są bezsilne, mają potencjał, by zbudować nowy porządek, który obejmie również nasze wartości" – wtórował mu oklaskiwany w Davos premier Kanady Mark Carney.

Europejczycy ogłosili w ten sposób światu, że przeszli w końcu żałobę po swojej złotej epoce i przełamali defetyzm. Bogate zachodnie „średnie mocarstwa" zaczęły rysować własne plany urządzenia globalnego porządku przeciwko dyktatowi Donalda Trumpa. A może raczej podejmując z tym dyktatem negocjacje.

Bo jakie reguły chce dyktować światu przywódca USA? – *Wielu nazywało go izolacjonistą, ale przecież przeprowadził bezprecedensowe naloty bombowe na Iran* – mówi brytyjski analityk i dziennikarz Peter Pomerantsev. Jego zdaniem polityką Trumpa kierują po prostu emocje i zastanawianie się nad jego strategią nie ma sensu. Teraz domaga się od europejskich sojuszników z NATO, aby pomogli mu odblokować cieśninę Ormuz.

Przy okazji ataku na Iran prezydent USA jak prawdziwy imperialista ogłosił, że światem nie rządzą już żadne prawa ani konwencje i on zamierza używać siły, kiedy tylko zapragnie. Chce nas przekonać, że świat jest skazany na rządy rywalizujących ze sobą mocarstw, a pozostali muszą się z tym pogodzić. Iran, Wenezuela, groźby aneksji Grenlandii, negocjowanie zawieszenia broni z Moskwą nad głowami Ukraińców – nikt i nic go nie powstrzyma. Innymi słowy Trump niszczy stary porządek, paradoksalnie oparty na amerykańskiej dominacji. A w zamian oferuje nowy koncert mocarstw.

Przez cały 2025 r. Europejczycy obłaskawiali prezydenta USA komplementami i pieniędzmi, licząc, że uda się utrzymać status quo i powstrzymać wojny handlowe. „Gdy dochodzi do konfrontacji z logiką siły, kraje mają tendencję do ulegania, by dalej trwać i unikać kłopotów. Liczą, że posłuszeństwo zapewni im bezpieczeństwo. Nie zapewni" – przestrzegał Carney.

Również dlatego, że macho-przywódcy słabymi najczęściej pogardzają, a zatrzymują się dopiero w obliczu siły. „Mocarstwa średnie muszą więc działać razem, bo jeśli nie będziemy przy stole, to będziemy w menu. Gdy negocjujemy z hegemonem sami, dwustronnie, negocjujemy z pozycji słabości" – dodawał premier.

To dotyczy również Polski, która mogłaby się odnaleźć w grupie średnich mocarstw. Wielu polskich polityków uważa jednak, że liczą się tylko nasze dwustronne relacje z Waszyngtonem, wierząc w pryncypialne podejście Amerykanów. Nie chcą dopuścić do siebie, że Stany Zjednoczone wykorzystują swoją przewagę w bilateralnych relacjach i systematycznie prowokują konflikty w Unii Europejskiej, widząc w jej integracji zagrożenie dla swoich interesów.

Drogi Europy i Ameryki rozjeżdżają się też z powodów ideologicznych. Polityka zagraniczna administracji Trumpa zakłada promocję rewolucyjno-chrześcijańsko-nacjonalistycznych wartości. „Wojna kulturowa toczona przez ruch MAGA nie jest naszą wojną" – mówił, otwierając monachijską konferencję, kanclerz Friedrich Merz.

eprasa.pl f60e042159

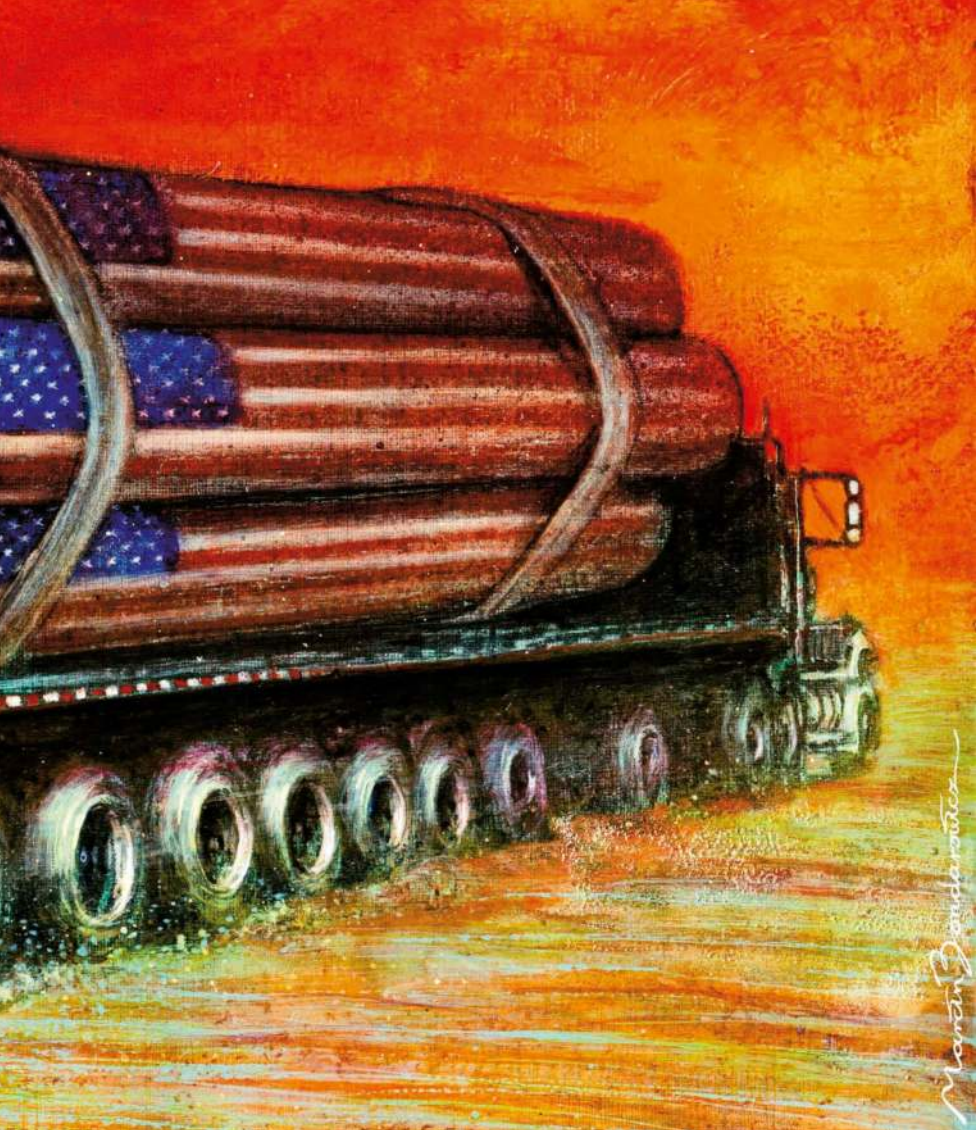

Między Europejczykami są jednak różnice. Jastrzębie, jak prezydent Francji, od lat wzywają do większej autonomii i suwerenności Europy. Gołębie, jak przywódcy Niemiec czy sekretarz NATO, są przekonani, że w obliczu zagrożenia ze strony Moskwy Europa nie może sobie pozwolić na zerwanie z USA.

Podczas ostatniej wizyty w Białym Domu kanclerz Merz milczał, gdy siedzący obok Trump obrażał jego europejskich sojuszników, przywódców Hiszpanii i Wielkiej Brytanii. Z drugiej strony zarówno Niemcy, jak i Kanada nie zamierzają rezygnować z biznesów z Chinami. „Będziemy angażować się w dialog z Pekinem z pryncypialnym realizmem, pamiętając o tym, że Chiny pozostaną jedną z wielkich potęg kształtujących nową erę" – zapowiadał Merz.

Co proponują Europejczycy? „Realizm oparty na wartościach" – odpowiada Alexander Stubb. Reprezentowana m.in. przez popularnego Johna Mearsheimera szkoła realistyczna zakłada, że relacjami międzynarodowymi rządzi logika transakcji, nie istnieje globalna policja do egzekwowania reguł, więc każdy tylko czyha, by zaatakować każdego. Propozycja Stubba to kompromis, „trzecia droga" między cyniczną propozycją Trumpa i naiwnością koncepcji o porządku opartym na zasadach i wartościach.

Liberałowie przechodzą przy tym z pozycji ofensywnych, czyli narzucania innym swoich wartości, do defensywy. Muszą się ograniczyć i skupić na obronie siebie, bo liberalne społeczeństwa okazały się niebezpiecznie kruche. Prof. Stephan Haggard proponuje, by w analizie stosunków międzynarodowych rozróżniać dwa liberalizmy.

Dotychczasowy triumfalistyczny „liberalny optymizm" zakładał – podobnie jak teoria o „końcu historii" – że demokracja, handel i instytucje międzynarodowe doprowadzą do końca wojen, bo współzależność gospodarcza podnosi koszty konfliktu i sprzyja pokojowi, że eksportowanie liberalnych reguł „czyni świat lepszym".

Natomiast liberalny pesymista przyjmuje do wiadomości, że reżimy autorytarne mogą być trwałe, a współzależność ma ambiwalentne skutki – może też służyć do wywierania nacisku. Tak jak to było w przypadku zależności Europy od rosyjskiego gazu, amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego czy chińskiej produkcji.

Z kolei liberalny sceptyk – w teorii – nie ma złudzeń, jak działa świat, rozumie też własne grzechy wobec uboższych krajów, jest gotów sięgnąć po siłę, by się bronić. Ale stara się trzymać przy tym swoich fundamentalnych wartości.

Europejczycy muszą w końcu przyjąć do wiadomości, że nie każdy kraj chce lub może być liberalną demokracją – pisze Stubb. Ale to nie znaczy, że nie należy z nim współpracować. „Rządy globalnego Zachodu mogą podtrzymywać wiarę w demokrację i rynki, nie twierdząc, że są one dla wszystkich; w innych miejscach świata mogą przeważać inne modele" – dodaje prezydent Finlandii.

Stubb przekonuje, że Europejczycy muszą się mierzyć z rzeczywistością taką, jaka jest, a nie taką, jaką byśmy chcieli, żeby była. Średnie i mniejsze państwa będą musiały manewrować między mocarstwami, by uniknąć dominacji jednego z nich. Czasem będą musiały rezygnować z jednych wartości, by chronić drugie. Pragmatyzm tego podejścia zakłada więc szukanie równowagi między interesami i wartościami, bo te w długim okresie służą bezpieczeństwu.

Czy kupować broń od kraju, który łamie prawo międzynarodowe? Czy finansować dyktaturę, która walczy z terroryzmem? Tu jeszcze raz Stubb: „Nawet transakcyjna polityka zagraniczna powinna się opierać na fundamentalnych wartościach. Należą do nich suwerenność i integralność terytorialna państw, zakaz stosowania siły oraz poszanowanie praw człowieka i podstawowych wolności". Do bazowego katalogu liberalnych wartości, które według prezydenta Finlandii nie podlegają negocjacjom, wchodzą też ochrona mniejszości, zachowanie demokracji i poszanowanie praworządności.

W koncepcjach Carneya i Stubba jest kilka znaczących różnic. „Ja jestem w Unii Europejskiej, a Mark nie. Z tej perspektywy ja nadal mocno wierzę w instytucje międzynarodowe, takie jak UE. (...) Natomiast Mark odkłada tę kwestię na bok ▶

eprasa.pl f60e042159

▶ i skupia się na współpracy między średnimi mocarstwami" – tłumaczy Stubb.

Innymi słowy Carney koncentruje się na budowaniu silnej koalicji średnich mocarstw, która będzie asertywnie bronić swoich wartości i interesów. Nie dba przy tym nadmiernie o prawo czy instytucje międzynarodowe. Natomiast Stubb chce, by średnie mocarstwa rozwijały te wielostronne instytucje i prawo. „Siła, zarówno ta twarda, jak i miękka, jest luksusem większych graczy. Małe kraje mogą ją znaleźć we współpracy z innymi" – przekonuje Stubb, prezydent pięciomilionowego kraju, który ma 1400-kilometrową granicę z Rosją.

W książce „The Triangle of Power" (Trójkąt mocy) Stubb dzieli glob na trzy regiony: globalny Zachód, globalny Wschód i właśnie globalne Południe. Na czele globalnego Wschodu stoją Chiny, które w przymierzu z Iranem, Koreą Północną i Rosją dążą do ograniczenia potęgi Zachodu. „Zachód i Wschód podążają w różnych kierunkach. I to Południe ma decydujący głos". Według Stubba o tym, jaki porządek międzynarodowy nastanie, zdecydują kraje Afryki, Ameryki Łacińskiej oraz Azji Południowej.

To tłumaczy, dlaczego Bruksela sfinalizowała m.in. negocjowane od dwóch dekad umowy o wolnym handlu z Indiami i państwami grupy Mercosur. A premier Kanady przewodzi rozmowom między dwoma największymi blokami handlowymi świata: Unią Europejską i Partnerstwem Transpacyficznym zawartym przez 12 państw (m.in. Australię, Kanadę, Japonię i Meksyk). Ale to dopiero początek.

Premier Finlandii przekonuje, że państwa europejskie muszą w końcu zbudować partnerskie relacje z biedniejszymi krajami. Wiele z nich ucierpiało od europejskiego kolonializmu, a potem, w epoce zimnej wojny, było teatrem wojen zastępczych. Jednak w ostatnich latach rosną w siłę i ambicje. Brazylia, Indie, RPA i Meksyk w ostatnich miesiącach stawiały opór Trumpowi (i big techom) dużo asertywniej niż Europejczycy.

Do pokonania jest głęboka rzeka nieufności. Świadczy o tym odpowiedź na argumenty Stubba singapurskiego dyplomaty Kishmore Mahbubaniego. Pisze on w „Foreign Affairs": „Chiny i Rosja mogą budzić w zachodniej wyobraźni złowieszcze wrażenie, ale mieszkańcy globalnego Południa nie postrzegają ich w ten sposób – i nie powinno się tego od nich oczekiwać. Reszta świata w niedawnej historii miała tyle samo, a może nawet więcej powodów do obaw przed Zachodem, co przed jego autokratycznymi konkurentami". Mahbubani to azjatycki realista, dla którego priorytetem są porządek, wzrost i efektywne państwo, a dopiero potem liberalne prawa jednostki.

Dla czytelników z Europy Wschodniej to frustrujący esej. Autor wyraża w nim dużo empatii dla rosyjskich żalów, że Moskwa została sprowokowana do agresji na Ukrainę. Mahbubani dodaje, że hipokryzja Zachodu znów stała się oczywista, gdy Europejczycy relatywizowali izraelskie zbrodnie w Gazie. „Nikt nie szanuje cudzołożnego księdza, który głosi w kościele wierność małżeńską. Ale tak właśnie postrzegani są europejscy przywódcy na globalnym Południu".

Europejskie stanowisko wobec izraelskich zbrodni w Gazie to koronny dowód na hipokryzję Europy. Ale tych dowodów jest więcej. Po amerykańskim ataku na Wenezuelę Carney nie wytknął Trumpowi złamania prawa międzynarodowego. Jeszcze bardziej uderzające było jego poparcie dla amerykańsko-izraelskiego ataku na Iran. Premier Kanady dodał bowiem, że zajmuje takie stanowisko „z ubolewaniem".

Europejczycy zareagowali bardziej wstrzemięźliwie, ale tylko premier Hiszpanii, nie uginając się pod groźbami handlowymi Waszyngtonu, nazwał rzeczy po imieniu: że ta agresja to złamanie prawa międzynarodowego. Skrytykował rozwiązywanie problemów za pomocą wojen. Potem dołączył do niego prezydent Francji. Stubb bardziej dyplomatycznie ocenił, że Trump porusza się „poza prawem międzynarodowym". Czy to jeszcze konieczny kompromis i „mierzenie zamiarów podług sił", czy już śmieszność?

Zbliżeniu Zachodu z Południem nie pomagają też cięcia w finansowaniu polityki rozwojowej i humanitarnej, rosnąca niechęć do imigrantów z Azji i Afryki, a wcześniej egoistyczna polityka szczepionkowa podczas pandemii covid. Obserwatorzy z globalnego Południa zwracają też uwagę, że trudno stworzyć koalicję średnich mocarstw bez rozliczenia się tych uprzywilejowanych spośród nich z podbojów, wyzysku i kolonializmu.

Inni sceptycy dodają, że „realizm oparty na wartościach" to desperacka próba ratowania skompromitowanej agendy. Koncepcja jest na tyle elastyczna, że może zmieścić wszystko, to „wygodny slogan bez treści lub przykrywka dla podwójnych standardów", „idealna polityka zagraniczna, bo nie ma żadnego spójnego znaczenia", „nowy język dla starych standardów". Krytycy dodają, że choć brzmi to jak dojrzałe podejście, w praktyce będzie służyć do racjonalizacji bierności i selektywnego stosowania norm.

Na półkuli południowej przemówienie Carneya brzmiało więc banalnie. Przywódcy krajów określanych kiedyś jako Trzeci Świat od dekad próbują łączyć siły, aby chronić własne interesy i w warunkach ograniczonej suwerenności protestować przeciwko nierównościom i niesprawiedliwościom.

Paląca potrzeba zbliżenia z globalnym Południem widoczna jest już co najmniej od rosyjskiej agresji w 2022 r. Okazało się bowiem, że Zachód niemalże sam wspiera Ukrainę, reszta państw nie ufa tej walce. Polscy analitycy często jednak to wyzwanie bagatelizują, bo nie widzą świata poza Rosją, USA oraz Chinami.

Testem woli globalnego Zachodu jest reforma instytucji międzynarodowych. Kraje z Afryki i Azji od lat domagają się zmian w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, w której nie mają stałych przedstawicieli i prawa weta. Prace trwają, finału wciąż jednak nie widać. Domagają się też większej reprezentacji w Światowej Organizacji Handlu (WTO), Międzynarodowym Funduszu Walutowym (MFW) i Banku Światowym.

Stubb ma nadzieję, że nowa symetria sił między Zachodem, Wschodem i Południem przywróci równowagę w porządku światowym. I wszystkie te kraje razem zmierzą się z kryzysem klimatycznym, potencjalnymi pandemiami, rewolucją technologiczną czy tlącymi się wojnami. Czy wystarczy jednak konsekwencji i wiarygodności?

Alternatywą jest dyktat mocarstw, mniej suwerenności, więcej wojen i porażka w walce z globalnymi zagrożeniami. W XX w. udało się przekonać większość świata, w tym mocarstwa, o opłacalności reguł i współpracy. Jednak nastąpiło to po dwóch wojnach światowych.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

eprasa.pl f60e042159

JANEK KOZA DLA tokfm

Na każdy temat z każdej strony
tokfm

eprasa.pl f60e042159

Wiec przedwyborczy AfD w Erfurcie

Nazi jak swoi

Liderzy Alternatywy dla Niemiec oburzają się, gdy ich partia jest porównywana z hitlerowską NSDAP. Sami jednak dostarczają kolejnych argumentów swym krytykom.

FILIP GAŃCZAK

Bundestag, 28 stycznia. W niemieckim parlamencie, jak zawsze od 30 lat, odbywa się tzw. godzina pamięci – w hołdzie dla ofiar nazizmu. Dzień po rocznicy wyzwolenia Auschwitz na mównicy staje cudem ocalała 87-letnia Tova Friedman. Opowiada o dramatycznych przeżyciach z dzieciństwa i ostrzega przed rosnącym znów antysemityzmem. Gdy kończy, posłowie i posłanki nagradzają ją sążnistymi brawami. Do owacji na stojąco przyłącza się nawet Alternatywa dla Niemiec (AfD) – nie tylko przez przeciwników politycznych porównywana z hitlerowską NSDAP. Lista zarzutów jest długa: od języka nienawiści, poprzez historyczny rewizjonizm, aż po kontakty ze środowiskami skrajnej prawicy.

– *Kto dziś głosuje na AfD, partię faszystowską, wie, co robi* – rzuca dr Ilko-Sascha Kowalczuk, znany berliński historyk i publicysta. – *Oni chcą zniszczyć podstawowy porządek i wolność. – AfD nie jest demokratyczną partią konserwatywną, lecz sprzeciwia się podstawowym wartościom zapisanym w konstytucji* – wtóruje mu prof. Markus Linden, politolog z uniwersytetu w Trewirze, autor naukowych opracowań o prawicowym ekstremizmie.

Mówimy o partii, która jest dziś drugą siłą polityczną w Bundestagu, ustępując tylko chadekom kanclerza Friedricha Merza. Najnowsze sondaże dają AfD ponad 20 proc. poparcia. Na terenie byłej NRD jest ono dużo wyższe. W Saksonii-Anhalcie i Meklemburgii-Pomorzu Przednim, gdzie we wrześniu odbędą się regionalne wybory, zbliża się do 40 proc. Gdyby w którymś z tych landów partia zdołała jesienią utworzyć rząd, zyskałaby tam wpływ m.in. na edukację, bo w Niemczech oświata jest sprawą landów.

Gdy dwa lata temu AfD nieźle wypadła w wyborach do Parlamentu Europejskiego, szef Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) Lars Klingbeil niepokoił się w telewizyjnej debacie, że umocnili się naziści. „Określił pan właśnie mnie i partię jako nazistów?" – dopytywała siedząca obok Alice Weidel, współprzewodnicząca AfD. „Tak" – bez zająknięcia odparł Klingbeil, dziś wicekanclerz i minister finansów Niemiec. Weidel nie chce słyszeć o takich analogiach. W ubiegłorocznej rozmowie z Elonem Muskiem portretowała swoje ugrupowanie jako konserwatywne i libertariańskie. Adolfa Hitlera nazwała socjalistą i... komunistą. Ten szpagat retoryczny miał służyć pokazaniu AfD jako normalnej „mieszczańskiej" partii i oddaleniu oskarżeń o brunatne ciągoty.

Mniej Hitlera, więcej Goethego

AfD z początku była uważana za partię konserwatywnych profesorów, którym nie podobała się wspólna europejska waluta. Ugrupowanie szybko się jednak zradykalizowało. Dziś ma wyraźne oblicze antyimigranckie, proputinowskie i antysystemowe. Jej działacze pomstują na „kartel partyjny" czy „łże-media" – i regularnie testują granice tego, co dopuszczalne w niemieckiej debacie publicznej.

Ważnymi elementami politycznego konsensu za Odrą było dotąd uznanie niemieckiej winy za zbrodnie drugiej wojny światowej i zbudowana na tym kultura pamięci, w której szczególne miejsce zajmuje Holokaust. Jednak dziś znaczna część AfD bagatelizuje zbrodnie Trzeciej Rzeszy i uprawia historyczny rewizjonizm.

SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl f60e042159

W czerwcu 2018 r. Alexander Gauland, ówczesny szef AfD – a dziś jej honorowy przewodniczący – wywołał oburzenie, mówiąc, że Hitler i naziści byli tylko „ptasim kleksem" w tysiącletniej historii Niemiec. Björn Höcke, wpływowy lider AfD w Turyngii, w styczniu 2017 r. nazwał Niemców „jedynym narodem na świecie, który postawił sobie pomnik hańby w sercu swojej stolicy". Mówił tak o monumencie Pomordowanych Żydów Europy w centrum Berlina. Później się bronił, że słowo „hańba" odnosiło się do Holokaustu, a nie jego upamiętnienia. Ale w tym samym przemówieniu domagał się też zmiany o 180 stopni niemieckiej kultury pamięci.

W programie AfD pojawia się w gruncie rzeczy ten sam postulat, choć ubrany w ostrożniejsze słowa. „Oficjalna kultura pamięci nie może koncentrować się wyłącznie na słabych punktach naszej historii; musi uwzględniać również jej szczytowe osiągnięcia" – czytamy w dokumencie. Upraszczając: mniej Hitlera, więcej Goethego i niemieckich noblistów. W niemieckiej polityce jest to złamanie tabu, ale w społeczeństwie ta wizja zdaje się trafiać na podatny grunt. Ponad połowa (55 proc.) Niemców podpisuje się pod tezą, że osiem dekad po zakończeniu drugiej wojny światowej czas już oddzielić nazistowską przeszłość grubą kreską. Takiego zdania są niemal wszyscy zwolennicy AfD (90 proc.) – wynika z sondażu dla tygodnika „Die Zeit".

...für Deutschland

To samo badanie opinii publicznej pokazuje jeszcze jedno niepokojące zjawisko. Więcej niż co czwarty Niemiec (28 proc.) jest przekonany, że narodowy socjalizm miał też dobre strony. Jeśli spojrzymy na sympatyków AfD, sądzi tak większość (58 proc.). To do nich zdawał się puszczać oko Höcke, gdy w marcu 2017 r. oznajmił w wywiadzie dla „Wall Street Journal", że problematyczne jest przedstawianie Hitlera jako absolutnego zła. Argumentował, że „w historii nie ma czarnego i nie ma białego". Gdy spadła na niego krytyka, bronił się, że jego wypowiedź została wyrwana z kontekstu.

Nie był to jednorazowy lapsus. Wystąpienie na wiecu wyborczym w Merseburgu w maju 2021 r. Höcke zakończył słowami „Wszystko dla Niemiec" (Alles für Deutschland). Tym samym frazesem posłużył się dwa i pół roku później w Gerze, z tą drobną różnicą, że urwał po „Wszystko dla...", a resztę dopowiedział tłum. Dokładnie takim hasłem posługiwały się nazistowskie bojówki SA. Czy Höcke, były nauczyciel historii, mógł tego nie wiedzieć? Sąd uznał, że było to świadome nawiązanie do nazistowskiego sloganu – i w obu przypadkach skazał polityka na grzywnę. Partia najwyraźniej się tym nie przejęła. Do ubiegłorocznych wyborów do Bundestagu Weidel szła z hasłem „Alice dla Niemiec" (Alice für Deutschland). – *To też było świadome przypomnienie zakazanego sloganu nazistowskiego* – jest przekonany prof. Linden.

Najbliższy zjazd AfD ma się odbyć 3 i 4 lipca w Erfurcie – dokładnie sto lat po tym, jak NSDAP przeprowadziła swój zjazd w nieodległym Weimarze. Polityk SPD Rolf Mützenich nie wierzy w przypadek. Mówi o celowej prowokacji obliczonej na przyciągnięcie uwagi. Prof. Jörg Ganzenmüller, dyrektor Instytutu Badań nad Totalitaryzmem w Dreźnie, także widzi w wyborze terminu i miejsca świadomy sygnał – coś w rodzaju mrugnięcia okiem do prawicowych radykałów. Ponieważ oficjalnie AfD bagatelizuje zbieżność dat, nie zraża przy tym bardziej umiarkowanych wyborców.

AfD potrafi grać na różnych instrumentach. Inną muzykę ma w repertuarze Weidel, inną Höcke czy Maximilian Krah. Ten ostatni, zapytany, czy Niemcy powinni być dumni ze swoich przodków, nawet wtedy gdy ci byli oficerami SS, odpowiedział: „To zależy, co robili". „Nigdy nie powiem, że każdy, kto nosił mundur SS, automatycznie był zbrodniarzem" – stwierdził w maju 2024 r. w wywiadzie dla włoskiej gazety „La Repubblica".

Słowa te padły w kulminacyjnym momencie kampanii do Parlamentu Europejskiego, której Krah był w AfD twarzą. Od niemieckiej partii odcięło się wtedy nawet francuskie Zjednoczenie Narodowe, także oskarżane o radykalizm. Krah ustąpił z zarządu AfD i zrezygnował z aktywnej kampanii wyborczej. Ale wkrótce został wybrany do europarlamentu, a rok później do Bundestagu. – *Takie rzeczy dzieją się tylko w partii ekstremistycznej* – przekonuje Linden.

W powojennych Niemczech od początku próbowali zaistnieć pogrobowcy Hitlera. W 1952 r. Federalny Trybunał Konstytucyjny zdelegalizował Socjalistyczną Partię Rzeszy (SRP), która rok wcześniej w wyborach w Dolnej Saksonii uzyskała dwucyfrowy wynik. W drugiej połowie lat 60. sukcesy w RFN notowała na poziomie regionalnym Narodowosocjalistyczna Partia Niemiec (NPD). Ponownie udało jej się urosnąć po 2000 r., tym razem w byłej NRD. Na przełomie XX i XXI w. w dwóch wschodnich landach – Brandenburgii i Saksonii-Anhalcie – swoich deputowanych wprowadziła też do regionalnych parlamentów Niemiecka Unia Ludowa (DVU).

Efekt przyzwyczajenia

„Czy bać się neonazistów?" – pytała zaniepokojona polska prasa. – *NPD i DVU postępowały prymitywniej niż AfD, bo po części agresywnie zaprzeczały zbrodniom Trzeciej Rzeszy* – tłumaczy Linden. Zauważa jednak, że już tamte partie sięgały po retorykę z repertuaru dzisiejszej AfD. Domagały się historycznej grubej kreski i zerwania z „kultem winy". Chętnie za to przypominały o niemieckich ofiarach drugiej wojny światowej. Działacze NPD powtarzali wręcz frazę o „bombowym Holokauście", zrównując tym samym alianckie naloty z przemysłową zagładą Żydów.

Politycy AfD na ogół ostrożniej dobierają słowa, ale według Lindena zmierzają w tym samym kierunku. Jörg Prophet, deputowany AfD do parlamentu Turyngii, także chciałby skończyć z „kultem winy" i twierdzi, że alianci byli tak samo wyzbyci moralności jak naziści. Jego partyjny kolega Hans-Thomas Tillschneider z Saksonii-Anhaltu pomstuje na „sakralizację Holokaustu". Z kolei Stefan Scheil, historyk i zarazem działacz AfD, usiłuje zrzucić z Hitlera pokaźną część odpowiedzialności za napaść na Polskę i wybuch wojny. – *Celem AfD jest efekt przyzwyczajenia* – uważa prof. Linden. – *Długofalowo niemiecka kultura pamięci ma zostać ośmieszona i zdelegitymizowana, a przeszłość częściowo wybielona.*

„Mam wrażenie, że poglądy mojego ojca wracają dziś w formie AfD, i to mnie przeraża" – mówi w telewizyjnym wywiadzie Niklas Frank, syn generalnego gubernatora okupowanych ziem polskich Hansa Franka, w 1946 r. skazanego na karę śmierci w procesie norymberskim. Frank junior jest jednym z nielicznych dzieci prominentnych nazistów zdecydowanie potępiających zbrodnie rodziców. Gdy słucha polityków AfD i porównuje ich słowa z radykalnym językiem swego ojca, ma déjà vu. „Wszystkiego się po nich spodziewam" – stwierdza pesymistycznie. ■

eprasa.pl f60e042159

Czyja wojna?

Niejasne powody ataku na Iran ściągnęły na Donalda Trumpa oskarżenia o uległość wobec żydowskiego lobby w USA. A jaki jest naprawdę stosunek diaspory do tej wojny?

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Sekretarz stanu Marco Rubio chciał przekonać Amerykanów, że inwazja na Iran to wojna nie z wyboru, lecz z konieczności. I popełnił niewymuszony błąd. To Izrael – tłumaczył mediom – przygotowywał się do bombardowania, a ponieważ było oczywiste, że ajatollahowie w odwecie zaatakują amerykańskie bazy w Zatoce Perskiej, musieliśmy uderzyć prewencyjnie. Gdybyśmy tego nie zrobili – przekonywał – ponieślibyśmy ogromne straty.

Wersja Rubio zdawała się ilustrować bezwarunkowe poparcie Donalda Trumpa dla ultraprawicowej i wojowniczej polityki Beniamina Netanjahu. Ale była łatwa do odparcia. Czyżby izraelski premier postanowił zaatakować Iran bez konsultacji z Waszyngtonem? Uzyskał stamtąd zielone światło – dawali do zrozumienia oficjele rządu w Jerozolimie. Przypominali, że Trump nie zawsze popierał posunięcia Bibiego, zmuszając go m.in. do zgody na amerykański plan pokojowy w Gazie. Sam Netanjahu powiedział w Fox News, że jego przyjaciel Donald działa, jak mu własny rozum dyktuje.

Netanjahu nie uchodzi jednak w Stanach Zjednoczonych za wzór prawdomówności. I kiedy zginęło siedmiu amerykańskich żołnierzy, a ceny benzyny podskoczyły o pół dolara za galon, rozpętała się burza. Administracja Trumpa oddała ster swej polityki Izraelowi – interpretowały wypowiedź Rubio media sympatyzujące z opozycją. Komentował tak inwazję Thomas Friedman w „New York Timesie", ale także czołowe postacie ruchu MAGA.

Atak na Iran to „głupia, bezsensowna wojna w interesie Izraela", oświadczyła była republikańska kongresmenka Marjorie Taylor Greene. Wtórował jej konserwatywny komentator Tucker Carlson: „Jest to wojna Izraela, nie Stanów Zjednoczonych". A kropkę nad i postawił popularny w sieci popierający Trumpa biały suprematysta Nick Fuentes: „To agresywna wojna Izraela".

Trumpiści odżegnują się od antysemityzmu, ale zdaniem wielu komentatorów ich krytyka Izraela jest nim podszyta. „Demonizacja Izraela czerpie z zasobów klasycznego antysemickiego stereotypu o chytrym Żydzie manipulującym łatwowiernym gojem" – napisał amerykańsko-izraelski dyplomata Michael Oren. I stąd ma wynikać opowieść o przebiegłym Netanjahu sterującym Trumpem.

Krytyka Izraela nie musi być oczywiście wyrazem antysemityzmu – ultranacjonalistyczną politykę rządów w Jerozolimie potępiają od lat liberalno-lewicowi Żydzi amerykańscy. Sojusz Trumpa z Netanjahu wywołuje jednak oskarżenia pod adresem żydowskiej diaspory o to, że jej ogromne wpływy wypaczają politykę USA na Bliskim Wschodzie, szkodząc interesom Ameryki.

Z największą mocą pojawiły się te zarzuty podczas wojny z Irakiem w 2003 r., która wskutek błędów amerykańskich władz okupacyjnych przekształciła się w walkę z radykalnymi islamistami, kosztującą życie 4,4 tys. amerykańskich

© CHRIS MCGRATH/GETTY IMAGES

eprasa.pl f60e042159

żołnierzy. Dwaj politolodzy, Stephen Walt i John Mearsheimer, uznali, że nadreprezentacja żydowsko-amerykańskich oficjeli wokół prezydenta George'a W. Busha i w kręgu neokonserwatystów, którzy najgłośniej wzywali do inwazji, uzasadnia tezę, iż winę za fiasko wojny – jednego z największych strategicznych błędów Ameryki – ponosi „proizraelskie lobby".

Jednostronne wytłumaczenie przyczyn wojny Busha i tezę o Izraelu wiodącym USA na manowce łatwo podważyć. Solidarność Ameryki z Izraelem wynika z roli żydowskiego państwa jako jedynej, choć niedoskonałej demokracji na Bliskim Wschodzie. A politykę Waszyngtonu w regionie determinuje wiele czynników, jak potrzeba stabilizacji w regionie, niedopuszczenie do jego penetracji przez Rosję i Chiny oraz zapewnienie bezpieczeństwa przewozu ropy naftowej z okolic Zatoki Perskiej. Obecny konflikt i irańska blokada cieśniny Ormuz stawiają Trumpa przed dramatycznym dylematem: kontynuować wojnę, by ostatecznie zniszczyć irańskie arsenały, czego pragnie Izrael, czy powiedzieć generałom „stop", by nie dopuścić do wywindowania cen ropy do astronomicznej wysokości.

– *Jestem przeciwny tej wojnie. Modlę się, by szybko się skończyła* – mówi rabin Daniel Zemel z reformowanej synagogi Temple Micah w Waszyngtonie. Wyraża odczucia większości Amerykanów – ponad 60 proc. uznało bombardowania Iranu za błąd. Jednak w żydowsko-amerykańskiej społeczności Zemel jest w mniejszości. Większość diaspory – według sondażu Jewish People Policy Institute: ponad 60 proc. popiera inwazję. Poparcie dla wojny ogłosiły najważniejsze organizacje żydowskie: American Jewish Committee, World Jewish Congress, ADL (Liga przeciw Zniesławieniom) i najbardziej proizraelska Zionist Organization of America. W opozycji znalazły się tylko promująca prawa Palestyńczyków J Street i inne pomniejsze lewicowo-pacyfistyczne ugrupowania. W diasporze przeważa aprobata dla decyzji Trumpa. – *Wojna przebiega lepiej, niż ktokolwiek przewidywał. Perspektywa upadku irańskiego reżimu jest ekscytująca* – przyznaje rabin Eric Fusfield z B'nai B'rith International.

Inwazję poparło również wielu amerykańskich Żydów, którym polityka Trumpa generalnie się nie podoba. Także demokratyczni legislatorzy żydowskiego pochodzenia, jak senator John Fetterman, oraz kongresmeni Jared Moskowitz i Greg Landsman. Prezydenta USA popiera tylko ok. 30 proc. diaspory, przede wszystkim wyznawcy ortodoksyjnego judaizmu. Pozostałe ok. 70 proc. amerykańskich Żydów to liberałowie głosujący w wyborach na Demokratów i mający jak najgorszą opinię o ultraprawicowej polityce Netanjahu.

Część z nich wstrzymuje się jednak z kategoryczną oceną polityki Jerozolimy w kwestii palestyńskiej, uznając, że z bezpiecznej Ameryki nie wypada pouczać rządu małego kraju prowadzącego od dekad wojny, których stawką jest przetrwanie narodu. To oni przede wszystkim, oprócz ortodoksów, poparli bombardowanie Iranu. – *Jako Żyd wierzę Iranowi, kiedy obiecuje zmieść Izrael z powierzchni ziemi, i jestem zadowolony, że jego zdolność do osiągnięcia tego celu została poważnie zredukowana* – deklaruje Jonathan Sarna, historyk z Brandeis University.

Potęga żydowsko-amerykańskiej społeczności jako etnicznego lobby to fenomen znany od lat. Główny instrument wpływania na politykę Waszyngtonu, American Israel Public Affairs Committee (AIPAC), jest nie tylko zwykłą instytucją lobbingową, lecz także masową organizacją edukującą Amerykanów na temat Izraela i Bliskiego Wschodu. Wszystkie organizacje żydowskie w USA wydają na proizraelski lobbing prawie 4 mln dol. rocznie.

Siła diaspory nie wynika tylko z doraźnych działań jej przedstawicieli. Jej źródłem są tysiące lat kultury akcentującej edukację i wolę zbiorowego przetrwania. Efektem jest świadome uczestnictwo w politycznym życiu Ameryki. Nie trzeba było specjalnie mobilizować diaspory do poparcia inwazji Iranu, wystarczył naturalny odruch solidarności. Dodatkową rolę mógł też odegrać atak Hamasu w Izraelu 7 października 2023 r.

Wpływy diaspory nie tłumaczą jednak decyzji o ataku na Iran. Naciski Netanjahu też co najwyżej częściowo wyjaśniają, dlaczego Trump podjął taką decyzję. Miał wiele powodów – reżim w Teheranie destabilizował region, stał się klientem Chin i Rosji, zagrażał bazom USA, po zeszłorocznym ataku w lipcu rozbudowywał swój arsenał i saudyjski książę Mohammed bin Salman prywatnie nalegał, by uderzyć, zanim będzie za późno.

Były też względy polityki wewnętrznej – wojna z brutalną dyktaturą, która zamordowała tysiące uczestników antyrządowych protestów, zdawała się moralnie uzasadniona. A przy tym odwracała uwagę od piętrzących się problemów w kraju. Zaczynając rok desantem w Caracas, Trump tracił fanów z izolacjonistycznego odłamu MAGA, ale zyskiwał punkty u Republikanów ze szkoły Ronalda Reagana, zwolenników „muskularnej" polityki międzynarodowej, oraz umacniał poparcie wśród Republikanów ewangelikalnych, ważnej części jego bazy wyborczej.

Jeśli jednak wojna będzie się przedłużać bez oznak rozkładu irańskiego reżimu, a jej koszty – ludzkie i ekonomiczne – będą rosły, Izrael i Żydzi amerykańscy mogą stać się kandydatami na winnych. Antysemityzm w USA rośnie od kilku lat i tempo wzrostu przypadków werbalnej i fizycznej agresji przeciw Żydom jeszcze przyspieszy. Prominentni przedstawiciele diaspory mają tego świadomość. – *Ludzie, którzy oskarżają Żydów, wierzą, że są oni odpowiedzialni za wszelkie zło tego świata* – mówi Jonathan Sarna.

Antyżydowskie aluzje demonstrowane przez działaczy MAGA z nurtu America First, jak Fuentes, Carlson czy Taylor Greene, to odradzający się i znormalizowany niejako za rządów Trumpa antysemityzm „tradycyjny", dominujący na prawicy. Dziś w USA rośnie jednak przede wszystkim antysemityzm „lewicowy", którym podszyty bywa antysyjonizm, potępienie Izraela za jego politykę wobec Palestyńczyków albo za samo istnienie.

Antysyjonizm amerykańskiej lewicy nakłada się na inne trendy, takie jak słabnące zainteresowanie młodego pokolenia diaspory Izraelem i rozmywanie się żydowskiej tożsamości wskutek sekularyzacji i mieszanych małżeństw. Lojalne poparcie ultranacjonalistycznej polityki Izraela przez żydowski establishment nie podoba się tym członkom diaspory, którzy są przywiązani do liberalno-lewicowych wartości, i głoszącej je Partii Demokratycznej.

Wojna w Gazie i 70 tys. jej cywilnych ofiar zmieniły myślenie Amerykanów o konflikcie izraelsko-palestyńskim, wywołały ogromną falę sympatii dla Palestyńczyków i niespotykaną dotąd krytykę Izraela. A coraz wyrazistszy lider Partii Demokratycznej, gubernator Kalifornii Gavin Newsom, nazwał Izrael „państwem apartheidu" i zasugerował rewizję udzielanej mu amerykańskiej pomocy wojskowej. Nie są to dobre wiadomości dla żydowskiego lobby w USA. ■

eprasa.pl f60e042159

Co łączy Saharę z Amazonią, oceanami i globalnym systemem klimatycznym? To pustynny pył – jeden z najbardziej niedocenianych czynników regulujących życie na Ziemi.

Z pustyni do puszczy

ANDRZEJ HOŁDYS

Kiedy na półkuli północnej nastaje wiosna, z Sahary wyruszają w świat pyły porwane przez wiatr. Niektóre docierają do Polski i lądują w naszych płucach, ale większość zmierza na zachód, w stronę obu Ameryk, docierając również do innych płuc – planetarnych, znajdujących się w Nizinie Amazonki. Wywiewany z Sahary pył jest wielkim darem dla porastającego ją lasu. Zawiera bowiem olbrzymie ilości fosforu – ważnego składnika odżywczego, którego puszcza wcale nie ma w nadmiarze. Jej gleby są bowiem dość ubogie w ten kluczowy dla życia pierwiastek. Naukowcy szacują, że przeciętna dostawa saharyjskiego fosforu wynosi od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy ton rocznie. Wahania pomiędzy poszczególnymi latami są znaczne, ale generalnie wystarczają, aby puszczańskiej roślinności zapewnić bujny wzrost.

Sahara jest okradana przez wiatr z piasku od kilku tysięcy lat, czyli od czasu, gdy północna Afryka utraciła swoją zieloną, sawannową szatę, odsłaniając nagie skalne podłoże. Stało się tak na skutek ucieczki deszczu, który wcześniej przybywał tu z monsunami od strony dwóch oceanów, Atlantyckiego i Indyjskiego, ale potem wycofał się na południe. Wraz z nim zniknął sawannowy świat roślin i zwierząt oraz krajobraz z licznymi strumieniami, rzekami i jeziorami. Największe z nich wypełniało rozległe obniżenie tektoniczne zwane Basenem Czadu, znajdujące się na terenie trzech państw: Czadu, Nigru i częściowo Nigerii. Ów akwen, choć miał powierzchnię większą od terytorium Polski i maksymalną głębokość blisko 200 m, wysechł niemal w całości przed ok. 5 tys. lat. Pozostawił po sobie współczesne jezioro Czad, a także grube warstwy osadów jeziornych wzbogaconych pancerzykami jednokomórkowych okrzemek, które niegdyś

© ELVIRA URQUIJO/EPA/PAP

eprasa.pl f60e042159

w nim żyły. Dziś te osady są masowo porywane przez wiatry i unoszone za ocean.

To właśnie okrzemki z nieistniejących już saharyjskich jezior – tego największego, ale też wielu mniejszych – użyźniają dziś tropikalne lasy Ameryki Południowej i Środkowej, w tym Puszczę Amazońską. Niezwykłe, jak silna więź łączy w tym przypadku oba kontynenty. Badania na nizinach Amazonki i Orinoko wskazują, że mniej więcej wtedy, gdy północna Afryka zaczęła się wysuszać, po drugiej stronie Atlantyku nastąpiła ekspansja wiecznie zielonych lasów deszczowych, które zajęły nowe tereny, wypierając z nich sawannę lub też lasy zrzucające liście w porze suchej. Główną przyczyną była zmiana amazońskiego klimatu na bardziej wilgotny, ale traf chce, że mniej więcej w tym samym czasie po raz pierwszy za oceanem pojawiły się w większych ilościach pyły z Sahary, wzbogacone często charakterystyczną okrzemkową frakcją.

Ocean piasku

Tę ostatnią korelację odkryto dopiero niedawno, gdy świat nauki zaakceptował i przetrawił fakt, że w ziemskiej atmosferze może w ogóle dochodzić do takich międzykontynentalnych transferów pyłów na masową skalę. Jeszcze kilka dekad temu prawie nikogo nie obchodziły miliony ton mikroskopijnych cząstek naturalnego pochodzenia przemieszczających się na dużej wysokości. Owszem, Charles Darwin już w 1833 r. podczas rejsu na „Beagle" zdziwił się mocno, gdy w okolicach Wysp Zielonego Przylądka statek wpadł w pustynną burzę. Po powrocie do Anglii zebrał kilkanaście innych relacji na ten temat i wraz z własną opublikował w artykule „Doniesienie o drobnym pyle często opadającym na statki na Oceanie Atlantyckim", który opublikował w kwartalniku Londyńskiego Towarzystwa Geologicznego.

Jednakże na prawdziwe odkrycie saharyjskiego pyłu szybującego wysoko w przestworzach trzeba było czekać do drugiej połowy lat 60. XX w., kiedy czworo badaczy wylądowało na wyspie Barbados z zamiarem przeprowadzenia łowów na unoszące się w atmosferze drobiny, co do których byli przekonani, że mają one pochodzenie kosmiczne. Sądzili, że wyspa – wysunięta najdalej na wschód ze wszystkich karaibskich skrawków lądu – najlepiej nadaje się do chwytania pozaziemskich cząstek przynoszonych przez wiatry znad Atlantyku.

Mieli rację pod jednym względem. Barbados okazał się idealnym miejscem na takie łowy – rolę wędki odegrały kwadratowe panele o boku jednego metra z rozpiętą siatką o drobnych oczkach. Jednak to, co wpadało do siatek, nie wyglądało na produkt pozaziemskiego pochodzenia. Drobiny miały zwykle czerwonobeżową barwę i wyglądały jak typowe mineralne okruchy, tyle że bardzo małe – średnica nie przekraczała 20 mikrometrów. Musiały przyfrunąć nie z kosmosu, lecz z jakiegoś odległego lądu. Ponieważ podobny osad znajdowano wcześniej w rdzeniach nawiercanych na dnie Atlantyku, naukowcy zwrócili wzrok ku Afryce. Potrzebny był jednak bezpośredni dowód.

Dostarczył go amerykański satelita ESSA-5, fotografując 7 lipca 1967 r. wielką chmurę pyłów opuszczających Afrykę na wysokości Mauretanii i Senegalu. Pięć dni później zawisła nad Barbadosem, zmieniając kolor nieba z błękitnego na szarobrązowy, a po kolejnej dobie dotarła do Florydy. Drugiego dowodu dostarczyli jesienią 1968 r. uczestnicy transatlantyckiego lotu badawczego. Dzięki obserwacjom i pomiarom Joseph Prospero, ▶

Calima wieje w Las Palmas. Wiatry z piaskiem z północnej Afryki docierają m.in. nad Wyspy Kanaryjskie i Półwysep Iberyjski.

eprasa.pl f60e042159

▶ obecnie emerytowany profesor University of Miami, oraz drugi badacz ustalili, w jaki sposób pyły docierają do Ameryki. Wędrowały z masą suchego i gorącego powietrza nazwaną SAL (ang. *Saharan air layer*), która uformowała się we wnętrzu północnej Afryki, a po dotarciu do Atlantyku unosiła się na wysokość ok. 1 km i zmierzała dalej na zachód powyżej chłodniejszych od niej pasatów dmących bezpośrednio nad oceanem.

Prospero ze współpracownikami, korzystając z obrazów satelitarnych, pomiarów wykonywanych podczas kolejnych lotów badawczych oraz danych naziemnych, stopniowo dowiadywał się, jak działa ten mechanizm transportu pyłów pustynnych, a także – jak pokazały późniejsze obserwacje – innych cząstek, np. sadzy z pożarów sawann, a nawet najmniejszych mikroorganizmów. Odkryto, że obładowany tą drobną materią SAL wykazuje wyraźną sezonową zmienność – zimą pojawia się rzadko, nasila wiosną, maksimum osiąga na przełomie wiosny i lata, aby jesienią znów osłabnąć. Letni szczyt wiąże się z silnym nagrzewaniem saharyjskiego gruntu – zapylone powietrze unosi się wysoko, a następnie zostaje porwane przez wiatry, zazwyczaj zmierzające na zachód. Rdzenie z dna Atlantyku wskazywały, że ten rytm pojawił się 5–6 tys. lat temu i trwa do dziś. W tym roku już dał znać o sobie.

Pod koniec lutego i na początku marca afrykańskie pyły zjawiły się na krótko nad zachodnimi wybrzeżami północnej Afryki, dotarły do Wysp Kanaryjskich i Półwyspu Iberyjskiego, skąd część z nich powędrowała na północ w stronę Francji i Wielkiej Brytanii. O ile pierwsze w sezonie adwekcje pyłów są zwykle łagodne i mało dotkliwe, o tyle te późniejsze – z maja, czerwca i lipca – bywają potężne, a czasami wręcz groźne. Gorące powietrze może wzniecać pożary, a pyły ograniczają widzialność, utrudniając życie kierowcom i pilotom. Poza tym tak drobne cząstki znacznie pogarszają jakość powietrza, zaostrzając – jak pokazało wiele badań z ostatnich dekad – dolegliwości układu krążenia i oddechowego. Z niektórych opracowań wynika wręcz, że intensywna calima, jak zjawisko nazywają Hiszpanie, zwiększa śmiertelność wśród osób cierpiących na ciężkie astmy.

Wiatr od Czadu

Coraz liczniejsi badacze, którzy szli w ślady Prospero, chcieli oszacować, ile tego pyłu może umykać z Sahary i skąd dokładnie on pochodzi. I tak po nitce do kłębka dotarli do kotliny Bodélé – rozległego obniżenia wielkości Szwecji znajdującego się w południowej części Sahary, na pograniczu Czadu i Nigru. To zapomniany i niegościnny zakątek świata. Wiatry z niedalekich gór Tibesti oraz z wyżynnego płaskowyżu Ennedi po dotarciu do tej płaskiej niecki nabierają prędkości i z łatwością unoszą tumany pyłu. Kotlina jest jednym z kilku obniżeń pozostałych po wyschnięciu wielkiego jeziora kilka tysięcy lat temu. To jego dawne dno. Dziś w niecce pozostała tylko niewielka ilość wody. Resztę pokrywa piasek z wkładkami okrzemkowego drobiazgu. Poza tym nie ma tu nic.

Bodélé uchodzi za najbardziej zapylone miejsce na Ziemi. Według szacunków badaczy silne wiatry wywiewają stąd co roku od 100 do 300 mln ton pustynnych cząstek. Cięższe okruchy szybko wracają na ziemię, lżejsze ruszają w świat, choć po drodze opadną jeszcze wiele razy, aby po przerwie poszybować dalej. Naukowcy oceniają, że ta jedna afrykańska kotlina dostarcza od 8 do 15 proc. całego pustynnego pyłu roznoszonego przez wiatry po globie. Łączną masę tej rokrocznie porywanej materii oceniono na 1–3 mld ton. Mniej więcej połowę dostarcza Sahara wraz z sąsiednim Sahelem – pyły pochodzą także z regionu Taudeni na pograniczu północnego Mali, wschodniej Mauretanii i południowej Algierii. Sporo materiału przybywa z południowego Maroka, zachodniej Algierii oraz pustyń Libii i Egiptu.

Jednak najważniejsza jest Bodélé. Zanim pył opuści kotlinę, przebywa przez dłuższy czas w geologicznej przechowalni. Gdy jedna warstwa skał zostanie zdarta przez wiatr, ukazuje się kolejna. Graniczna prędkość wiatru niezbędna do oderwania i uniesienia cząstek pustynnej gleby zależy od typu klimatu oraz właściwości gruntu. Można przyjąć, że próg to 4–12 m/s. W powietrzu losy drobin, które jeszcze przed chwilą tworzyły jeden kawałek skały, stopniowo się rozchodzą. W górze spotyka się pył z całej kotliny, który potem łączy się z pyłem z innych rejonów Sahary, aż w końcu wszystkie razem formują SAL – olbrzymi front, który zaczyna sunąć ponad Atlantykiem.

Wróci zieleń na Saharę?

Nie wszystkie pyły przemierzają cały liczący ponad 6 tys. km dystans dzielący Afrykę i obie Ameryki. Mniej więcej jedna trzecia opada do oceanu, użyźniając go. Tym, co ocaleje, dzielą się Amazonia i regiony leżące na północ i zachód od niej, Karaiby oraz południowa i wschodnia część USA. Latem na Florydzie afrykańskie pyły stanowią większość maleńkich cząstek materii unoszących się w powietrzu. Mieszkańcy Miami po deszczu zmiatają z samochodów czerwonawą warstwę drobin mineralnych przybyłych z Sahary. Spacerując po Bahamach albo archipelagu Florida Keys, stąpa się głównie po glebach powstałych z afrykańskiego surowca.

Zdarzało się, że z pyłami przylatywało coś jeszcze – w październiku 1988 r. na wyspach wschodniej części Karaibów wylądowała chmara afrykańskich szarańczy pustynnych, a jesienią 2013 r. do Gujany Francuskiej dotarły z Afryki Zachodniej rusałki osetniki – kosmopolityczne motyle występujące także w Polsce.

Sama Puszcza Amazońska otrzymuje co roku 30–50 mln ton saharyjskich pyłów. Ocenia się, że połowa z nich wystartowała z kotliny Bodélé. To, czy drobin będzie więcej czy mniej, zależy przede wszystkim od opadów deszczu w północnej Afryce, a także od układu wyżów i niżów w konkretnym sezonie. Czasami wiatry zanoszą więcej pyłów na południe – wówczas lądują one na dnie Zatoki Gwinejskiej.

Czy w przyszłości największy na Ziemi las deszczowy mógłby zostać odcięty od dostaw fosforu – jeśli nie w całości, to przynajmniej częściowo – co groziłoby wyjałowieniem jego gleb? To możliwe. Niektóre modele klimatyczne pokazują, że jeśli klimat ziemski się ociepli, to południowa część Sahary może znaleźć się w zasięgu letnich deszczy i zazielenić, jak przed tysiącami lat. Dla Puszczy Amazońskiej byłaby to zła wieść, jednakże sprawa nie jest jeszcze rozstrzygnięta. Są i takie scenariusze dla Afryki Północnej, według których pustynia będzie się powiększała w najbliższych stuleciach.

I dziś nie wszystkie afrykańskie pyły trafiają na transatlantyckie trasy. Część zmierza na wschód, w stronę Półwyspu Arabskiego, a część zjawia się w Europie, przynoszona przez silne południowe wiatry scirocco. Może się wtedy zdarzyć, że trochę saharyjskich drobin pojawi się również w Polsce. Zwykle dzieje się tak latem, ale bywają wyjątki. Pod koniec stycznia 2013 r. wielka chmura miliardów drobnych cząstek uniosła się

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f60e042159

Najbardziej zapylone miejsce na Ziemi: kotlina Bodélé na południu Sahary

znad Pustyni Libijskiej na wysokość kilku kilometrów, a następnie została porwana przez południowe wiatry. Kilkanaście godzin później pustynna drobnica była już na Bałkanach, gdzie zmieszała się z masami powietrza znad Atlantyku i wraz z nimi powędrowała dalej na północ – ku Austrii, Czechom i Polsce.

Pyły pustynne krążą po niemal całym świecie. Te z bliskowschodnich pustyń zasypują Zatokę Perską, lądują w Morzu Arabskim, a te porywane z wnętrza Chin, Mongolii i Azji Środkowej (łącznie 600–800 mln ton rocznie) docierają do Oceanu Spokojnego i suną wielkimi falami wysoko ponad nim. I tak jak SAL dokarmia saharyjskim fosforem Puszczę Amazońską, tak wiatry pacyficzne świadczą tę samą usługę Hawajom – wraz z pyłem „dowożą pod dom" fosfor, którego potrzebują lasy tropikalne archipelagu. Te zaś cząstki, które nie wylądują w Pacyfiku czy na Hawajach, lecą jeszcze dalej – rekordzistki odnaleziono na Grenlandii. Z kolei Patagonia jest źródłem pyłu regularnie spadającego na lądolód Antarktydy.

Dzięki wielu badaniom z ostatniego ćwierćwiecza okazało się, że ten bezrobotny przez tysiąclecia pył, kiedy już znajdzie się w atmosferze, zaczyna również wpływać na pogodę i klimat. Na przykład SAL przeszkadza atlantyckim cyklonom tropikalnym w przeobrażaniu się w huragany. Wielka masa suchego i gorącego powietrza hamuje bowiem rozwój chmur, które mogłyby utworzyć huraganowy wir: pozbawia je wilgoci, zdmuchuje ich górne partie, a nawet anihiluje je całe, gdy jest dostatecznie mocno rozgrzana. Najwięcej takich pyłowych iniekcji przypada na początek sezonu huraganowego na Atlantyku startującego w czerwcu. Nic dziwnego, że od pewnego czasu meteorolodzy zza oceanu pilnie śledzą zjawiska atmosferyczne rozgrywające się późną wiosną i latem nad północną Afryką.

Jeszcze szerszą, bo globalną perspektywę przyjmują ci badacze, którzy próbują rozłożyć na czynniki pierwsze skomplikowane zależności między pyłami, chmurami i klimatem. Wiadomo, że rozmaite chmury w różny sposób wpływają na klimat, a pyły mogą im w tym pomagać lub przeszkadzać. Pod jednym względem rola pustynnych cząstek jako regulatorów ziemskiego klimatu jest nieoceniona. Dostarczają substancji pokarmowych nie tylko Puszczy Amazońskiej i innym lasom strefy tropikalnej, ale także fitoplanktonowi oceanicznemu, który zostaje przez nie obdarowany żelazem, dzięki czemu może bujnie zakwitnąć i pobrać z atmosfery mnóstwo dwutlenku węgla.

ANDRZEJ HOŁDYS

eprasa.pl f60e042159

Rzym w stanie surowym

Witruwiusz nie był tylko teoretykiem piękna. Nowe odkrycia ukazują go jako inżyniera, który spisywał doświadczenia z placu budowy.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W Fano w środkowych Włoszech odsłonięto pozostałości rzymskiej bazyliki (hali targowo-sądowej). Tej samej, którą w I w. p.n.e. opisał Witruwiusz (poniżej: **na rycinie z XIX w.) w traktacie o architekturze.**

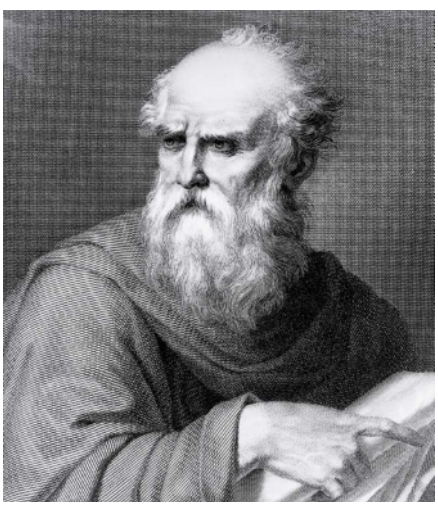

Przez ponad 2 tys. lat istniała tylko na kartach traktatu. Teraz zaczęła wyłaniać się z ziemi. Podczas remontu Piazza Andrea Costa w Fano, czyli rzymskim Fanum Fortunae, badacze natrafili na relikty bazyliki, którą Witruwiusz opisał w swoim dziele „De architectura" (w polskim przekładzie Kazimierza Kumanieckiego – „O architekturze ksiąg dziesięć") jako przykład architektury publicznej.

Od dawna przypuszczano, że ta budowla, służąca za miejsce sądów, handlu i spotkań, znajduje się gdzieś w obrębie rzymskiego forum, dlatego jeszcze przed zdjęciem bruku wykonano badania geofizyczne. Wyniki okazały się zaskakująco zgodne z tekstem z I w. p.n.e. – anomalie w gruncie układały się w prostokątny plan wewnętrznych podpór dachu z ośmioma kolumnami po wewnętrznej stronie dłuższych boków budowli i czterema po wewnętrznej stronie krótszych boków, tak że zgodnie z traktatem można je było wpisać w układ osi, ścian i narożników bazyliki. Sondaże w kluczowych punktach odsłoniły bazy kolumn o średnicy ok. 1,5 m (pięć stóp rzymskich), dźwigających konstrukcję, która w najwyższym punkcie sięgała nawet 15 m wysokości.

Bazylika w Fano okazuje się jedynym znanym budynkiem, który można odnieść do opisu Witruwiusza. To zaproszenie do ponownej lektury jego dzieła.

Marek Witruwiusz Pollion był rzymskim inżynierem i praktykiem. Nie znamy daty ani miejsca jego urodzenia. Z aluzji rozsianych w traktacie wynika, że służył w wojsku za Juliusza Cezara w różnych prowincjach (gdzie zajmował się machinami oblężniczymi, hydrauliką, budową i utrzymaniem infrastruktury), co ukształtowało jego myślenie o architekturze. Jego triada – *firmitas, utilitas, venustas* – zakładała, że każda budowla ma być trwała, użyteczna i dopiero na końcu piękna.

Traktat pisał, gdy cesarz August po dekadach wojen domowych odbudowywał państwo, któremu chciał nadać spójność polityczną, kulturową i przestrzenną. Witruwiusz doskonale się tu sprawdził, pisząc o wzorcach i systematyzując przekazywaną ustnie wiedzę techniczną dotyczącą budownictwa. Dzieło składa się z dziesięciu ksiąg (patrz ramka), z których każda prowadzi czytelnika od fundamentów wiedzy, przez materię i formę, aż po infrastrukturę i technikę. To uniwersalny język budowania, zrozumiały zarówno w Rzymie, jak i w prowincjach. Z jednej strony traktat jest głęboko zakorzeniony w praktyce – opisy materiałów odpowiadają temu, co archeolodzy znajdują w murach; rozdziały o wodzie i hydraulice zdradzają, że autor znał działające akwedukty i ich awarie; fragmenty o maszynach wojennych czy dźwigach są technicznie precyzyjne i wykonalne. Z drugiej strony Witruwiusz porządkuje chaotyczną rzeczywistość budowlaną w system reguł, proporcji i zasad. Bazylika w Fano pokazuje, że między tymi dwoma porządkami – realnym i idealnym – istniało wiele punktów styku. Ale tam, gdzie się one rozchodzą, zaczyna się nie mniej ciekawa opowieść o rzymskiej architekturze.

Zazwyczaj wzorce Witruwiusza tylko częściowo pokrywały się z praktyką. Weźmy rzymskie drogi. Znamy odcinki *viae publicae*, składające się z przepisowej warstwy nośnej z kamieni układanych na sucho (*statumen*); konstrukcyjnej – z tłucznia zalewanego zaprawą wapienną (*rudus*); wyrównującej – z drobnego kruszcu i piasku (*nucleus*) – oraz kamiennej nawierzchni. Badania z prowincji pokazują jednak codzienną praktykę odbiegającą od ideału. Archeolodzy często natrafiają na drogi budowane z jednej lub dwóch warstw bez kamiennego bruku, czasem wręcz to utwardzone pasy żwiru lub lokalnego gruzu. Drogi w okolicach Muru Hadriana w Brytanii, w Galii Narbońskiej czy w Hiszpanii to konstrukcje prowizoryczne, łatane i przebudowywane.

Miasta nie były idealnie orientowane, a instalacje „higieniczne", które tak chętnie

eprasa.pl f60e042159

idealizujemy, patrząc na monumentalne latryny w Ostii czy Pompejach, pozostawiały wiele do życzenia. Analizy osadów z kanałów odpływowych wykazują, że publiczne toalety bywały zatłoczone, wilgotne i cuchnące. Przepływ wody był nieregularny, a nieczystości często zalegały. Nielepiej wyglądało to w domach prywatnych, w których toalety zazwyczaj lokowano na piętrach, nad kuchniami. Odpływy prowadziły pionowymi, często nieszczelnymi rurami do kanałów lub dołów kloacznych.

Te rozbieżności nie świadczą jednak o porażce rzymskiej architektury, lecz o jej realnym funkcjonowaniu. Standardy okazywały się lokalne, kompromisowe, zależne od dostępnych materiałów, budżetu, umiejętności wykonawców i presji czasu. Trudno o jednolity ideał na różnych krańcach ogromnego imperium – i Witruwiusz doskonale to wiedział.

Paradoks traktatu polega na tym, że z niezwykłą skrupulatnością opisuje materiały, zaprawy i techniki budowlane, ale nie zdradza całej „kuchni" rzymskiej technologii, ponieważ większość wiedzy praktycznej przekazywano ustnie. Najlepszym przykładem jest rzymski beton, który twardniał pod wodą i przetrwał 2 tys. lat. Witruwiusz wymienia jego składniki, czyli wapno, piasek i popiół wulkaniczny (pucolanę); opisuje, skąd brać najlepsze materiały, ale nie zapisuje dokładnej sekwencji czynności, temperatur ani czasu mieszania. Dopiero w 2023 r. udało się zrekonstruować ten proces.

Analiza mikroskopowa rzymskich zapraw wykazała obecność wapiennych „klastów", czyli jasnych grudek wapna, wcześniej uchodzących za skutek niedbałości lub złej jakości wykonania. Dziś wiemy, że to one odpowiadają za wyjątkową trwałość materiału. Wszystko dlatego, że wykorzystywano proces mieszania na gorąco (*hot mixing*), używając wapna palonego. Wysoka temperatura, sięgająca ponad 200 st. C, powodowała powstawanie klastów, które pękając i reagując z wodą, stawały się rezerwuarem wapnia zdolnego do samoczynnego uszczelniania mikropęknięć.

Badania opublikowane w grudniu 2025 r. w „Nature Communications" idą jeszcze dalej. Archeolodzy i inżynierowie przeanalizowali plac budowy w Pompejach zakonserwowany przez erupcję Wezuwiusza w 79 r. Odkryto nie tylko mury w trakcie wznoszenia, lecz także suche, wstępnie wymieszane hałdy materiału, narzędzia, amfory z wapnem i ślady organizacji pracy. Analizy chemiczne i izotopowe potwierdziły, że niebezpieczny dla zdrowia robotników budowlanych *hot mixing* był świadomą, powtarzalną praktyką stosowaną w rzymskim budownictwie. Odkryto coś, czego u Witruwiusza w ogóle nie ma – logistykę budowy. Materiały przygotowywano wcześniej, przechowywano w postaci suchych mieszanek, a wodę dodawano na miejscu, co umożliwiało kontrolę reakcji, temperatury i czasu wiązania. Ten łańcuch praktyk, a nie sama receptura, decydował o sukcesie technologii.

Dzieło Witruwiusza po upadku imperium rzymskiego krążyło w rękopisach, było kopiowane i czytane, ale jego wpływ na średniowieczną praktykę budowlaną pozostawał niewielki. Gotycka architektura rozwijała własny język geometryczny, oparty na doświadczeniu warsztatu, nie na antycznym traktacie. Witruwiusza studiowali uczeni w klasztorach i szkołach, nie inżynierowie na placach budowy.

Drugie życie traktatowi dało odkrycie antyku w renesansie. Skalę oddziaływania radykalnie zmieniło wynalezienie druku i rozpowszechnienie w Europie pierwszych wydań z końca XV w. Dla renesansowych architektów, takich jak Leon Battista Alberti (1404–72), Donato Bramante (1444–1514) czy Andrea Palladio (1508–80), dzieło Witruwiusza stało się biblią proporcji, harmonii i racjonalnego porządku budowli.

Najbardziej znanym symbolem tego renesansowego zwrotu jest jednak „Człowiek witruwiański" Leonarda da Vinci z ok. 1490 r. Z tym że Witruwiusz traktował proporcje ciała ludzkiego jako narzędzie projektowe, które miało pomóc architektowi porządkować formę świątyni. A Leonardo przesuwa akcent – dla niego ciało jest miarą świata. Wpisując nagą postać w koło i kwadrat, figury doskonałe, artysta nie ilustruje traktatu, lecz interpretuje go na nowo, nadając mu sens kosmologiczny i antropologiczny. To przesunięcie okazało się najtrwalszym dziedzictwem Witruwiusza w kulturze nowożytnej.

Od oświecenia nie czyta się już Witruwiusza bezkrytycznie. Archeologom traktat pomaga rekonstruować antyczne budowle, odkąd w XVIII w. zaczęli prowadzić wykopaliska w Pompejach, Herkulanum czy Rzymie. Dzięki niemu wiedzieli, jak nazwać elementy architektoniczne, odróżnić teatr od odeonu czy bazylikę od hali targowej. Jednocześnie zauważyli, że autor opisuje ideał uśredniony, a nie pełną różnorodność rzymskiej praktyki.

Dziś dzieło Witruwiusza jest ciekawe dla wszystkich, którzy próbują zrozumieć niuanse i tajemnice rzymskiego budownictwa. W edukacji architektonicznej wciąż stanowi punkt wyjścia do rozmowy o tym, czym w ogóle jest architektura. Witruwiańska triada nadal pojawia się w programach studiów jako pytanie o to, czy da się pogodzić trwałość, funkcję i estetykę w świecie współczesnym. To tekst, do którego się wraca, by sprawdzić, gdzie kończy się teoria, a zaczyna praktyka. Archeolodzy czytają go z łopatą w ręku, inżynierowie – z próbką zaprawy, a architekci – z planem miasta. ■

„O architekturze ksiąg dziesięć"

W pierwszej księdze Witruwiusz tłumaczy, że architekt to nie rzemieślnik, lecz człowiek wszechstronnie wykształcony, który zna matematykę, muzykę, medycynę, prawo i astronomię. W drugiej znajduje się opis materiałów: kamieni, cegieł, drewna, zaprawy, wyliczenie ich właściwości, trwałości, wad i ograniczeń. W trzeciej i czwartej opisano budowę świątyń, a zarazem proporcje, porządki architektoniczne, relacje budowli do ciała ludzkiego. Piąta przedstawia budynki publiczne: teatry, bazyliki i porty. Szósta jest poświęcona architekturze domów prywatnych, zależnej od klimatu, regionu i stylu życia. W siódmej autor zajmuje się tynkami, kolorami, malarstwem ściennym, ale od strony technicznej. Ósma to badania jakości i zarządzania wodą oraz ich wpływu na zdrowie ludzkie. W dziewiątej znajdują się opisy zegarów i astronomia, bo architekt musi rozumieć ruch słońca i gwiazd. Księga dziesiąta jest poświęcona dźwigom, młynom i machinom wojennym.

© COVER IMAGES/EAST NEWS, DE AGOSTINI/GETTY IMAGES, MP

eprasa.pl f60e042159

Kazimierz Kaczor w roli Gustawa Schielkego w spektaklu „Rozmowy z katem" w reżyserii Andrzeja Wajdy, Teatr Powszechny w Warszawie, 1977 r.
Poniżej: Kazimierz Moczarski po wyjściu z więzienia, 1956 r.

Ten trzeci

JACEK SNOPKIEWICZ

Kazimierz Moczarski, żołnierz AK więziony po wojnie, trafił do jednej celi z esesmanem Jürgenem Stroopem. Opisał to w „Rozmowach z katem". Razem z nimi siedział niemiecki policjant Gustaw Schielke. Kim był?

eprasa.pl f60e042159

„Byliśmy wszyscy trzej doświadczonymi więźniami" – napisał w „Rozmowach z katem" Kazimierz Moczarski o sobie, generale SS Jürgenie Stroopie i gestapowcu Gustawie Schielkem. W 1949 r. siedzieli razem w jednej celi więzienia na warszawskim Mokotowie. Wiemy wiele o autorze, oficerze AK, i o jego współwięźniu – krwawym likwidatorze warszawskiego getta. Ale kim był ten trzeci?

Gustaw Schielke przysłuchiwał się ich rozmowom, wtrącał uzupełnienia, to prowokował Stroopa do zwierzeń, to się od niego dystansował, rzucał rubaszne żarty. Pojawia się w różnych publikacjach niczym dobroduszny Sancho Pansa, jako „przedwojenny policjant z Hanoweru" czy „niższy rangą funkcjonariusz SS". W adaptacji teatralnej „Rozmów z katem" zagrał go Kazimierz Kaczor, aktor, który w życiu nie wcieliłby się w czarny charakter.

Jaką rolę odegrał w celi nr 11, czy współpracował z bezpieką? I czy rzeczywiście był mało znaczącym policjantem bez zbrodni na koncie?

Na akta Karola Gustawa Henryka Schielkego natknąłem się przypadkowo, przygotowując książkę reporterską o ściganiu ludzi odpowiedzialnych za zbrodnie popełnione podczas powstania warszawskiego. Dokumentowałem historię Alfreda Spilkera, dowódcy Sonderkommanda działającego na Woli. W czasie okupacji kierował Wydziałem IV AS gestapo w Warszawie rozpracowującym podziemie, a w 1945 r. zaginął bez wieści i był bezskutecznie poszukiwany. W aktach śledztwa dotyczącego Spilkera znalazłem przesłuchanie z maja 1954 r. Gustawa Schielkego, co pozwoliło mi dotrzeć do jego dokumentów w archiwum.

Urodzony w 1896 r. w Nowawes w 1923 r. Schielke jako bezrobotny, tylko z wykształceniem podstawowym, wstąpił do policji porządkowej w Poczdamie. W oddziale pogotowia policyjnego rozpędzał demonstracje organizowane przez Komunistyczną Partię Niemiec. Po sześciu latach został komisarzem policji kryminalnej w Hanowerze. Na własną prośbę w 1933 r. przeszedł do gestapo i pracował w referacie obyczajowym ścigającym członków NSDAP podejrzewanych o homoseksualizm. Został SS-Untersturmfürherem, czyli podporucznikiem. Musiał – jak twierdził – wstąpić do partii, inaczej trafiłby do obozu koncentracyjnego.

We wrześniu 1939 r. był członkiem jednego z Einsatzkommand (EK) działających na Śląsku. Za każdą z armii niemieckich wkraczających do Polski posuwała się Einsatzgruppen w sile batalionu, podzielona na Einsatzkomanda w sile kompanii, dzielone z kolei na Sonderkommanda. Oddziały te były zaopatrzone w listy proskrypcyjne, wykazy członków ważnych polskich instytucji, kartoteki działaczy narodowych, inteligencji, duchowieństwa. Ich zadanie – pozbyć się tych ludzi. Rozkazy były jasne: ujętych z bronią rozstrzeliwać, zatrzymanych odstawiać na gestapo.

Ten najbardziej obciążający epizod kariery Schielkego zaczął się w sierpniu 1939 r., kiedy wraz z innymi gestapowcami powołany został do Einsatzkommanda przygotowywanego na Polskę. Wszyscy byli w SS, w większości młodzi ludzie. Przeznaczeni do akcji w Katowicach, Krakowie, Rzeszowie, czyli tam, gdzie operować miała 14. armia gen. Wilhelma Lista, sformowana w Wiedniu.

O tym, co konkretnie robił, Schielke zeznawał po wojnie w areszcie wojewódzkim UB 27 września 1948 r. Zeznawał oszczędnie, wiedząc, w czym brał udział.

Według niego 6 września 1939 r. komando przyjechało ciężarówkami z Wiednia do Katowic. Miasto było już w niemieckich rękach. Na ulicach obwieszonych hitlerowskimi flagami trwało polowanie na Polaków. Przeprowadzano brutalne aresztowania, poszukiwano osób z list i kartotek. Schielke zeznał: „Podczas przeprowadzania rewizji używaliśmy do pomocy wojska. Zostałem przez komisarza Spilkera mianowany dowódcą odcinka, gdzie przeprowadzaliśmy rewizję. Pod moim dowództwem miałem wtedy ok. 20 ludzi z EK, Ordnungspolizei oraz wojsko do pomocy. W przypadku znalezienia broni dokonywaliśmy aresztowań".

Komando, w którym działał Schielke, nie sporządzało w 1939 r. codziennych meldunków. Nie udało się ustalić dokładnej liczby ofiar.

Komando z Katowic przerzucono we wrześniu 1939 r. do Sanoka. Tam Schielke został komendantem posterunku granicznego na moście na Sanie. Był to ważny punkt – drugi brzeg rzeki zajmowały wojska sowieckie. „Miałem pod swoim dowództwem 4 ludzi, oprócz tego stało na tym punkcie wojsko w sile jednego oficera i 7 żołnierzy. Pozostali przynależni do EK przeprowadzali rewizje w Sanoku, dokonywali aresztowań, a także zajęci byli przy akcji wymiany Żydów i Polaków. Żydów przesiedlano wtedy na stronę zajętą przez wojska rosyjskie".

Jak to się odbywało? Schielke nie mówił. Żydzi stanowili 32 proc. mieszkańców Sanoka – kilka tysięcy osób. San zapisał się we wrześniu 1939 r. jako okrutna rzeka, w której podczas przepędzania Żydów topiono kobiety i dzieci. Wsadzano ich do dziurawych łodzi, które tonęły. Śledczy UB nie pytali o szczegóły, dla nich sprawa musiała być delikatna, bo skąd nad Sanem wzięli się Sowieci?

Po wykonaniu zadań komando z Sanoka dotarło na początku grudnia 1939 r. do Krakowa. Schielke został zastępcą Spilkera w referacie gestapo IV A, zajmującym się zwalczaniem ruchu oporu, sabotażem, partyzantką, nielegalnym posiadaniem radia, ulotkami, cenzurą na poczcie.

Prowadził całą biurokrację i podejmował decyzje w imieniu Spilkera, który najczęściej bywał w terenie. Decydował o zwolnieniach aresztowanych: „miałem pozostawioną całkowicie wolną rękę i moje decyzje były ostateczne".

Spilkera uważał za przyjaciela, choć różnica pozycji w strukturze gestapo była ogromna. Pracowali razem w Krakowie, byli też sąsiadami w kamienicy przy ul. Pomorskiej, często się odwiedzali. Schielke znał życie prywatne swojego szefa. Wiedział np., że zdradza go żona, co odkryli, kiedy nie mogli się dostać do mieszkania zamkniętego na klucz od wewnątrz. Kazimierz Moczarski przytoczył opinie Schielkego o przyjacielu; „najzdolniejszy policjant niemiecki w całej Generalnej Guberni".

Na przełomie lat 1941/42 Spilker awansował do Warszawy, ale Schielkego ze sobą nie zabrał. Ten został w Krakowie. Od 1943 r. był w dowództwie policji i SD w Generalnym Gubernatorstwie. Opracowywał meldunki z wszystkich placówek gestapo i przesyłał miesięczne sprawozdania do Berlina.

Przez cały okres okupacji Schielke nie awansował, pozostawał oficerem SS najniższej rangi, nie miał więc jakichś szczególnych zasług dla gestapo. Świadkowie przesłuchiwani po wojnie w jego sprawie nie mówili o nim ani dobrze, ani źle. Dyrektorzy ▶

© ARCHIWUM TEATRU POWSZECHNEGO W WARSZAWIE, ARCHIWUM ELŻBIETY MOCZARSKIEJ/FOTONOVA

eprasa.pl f60e042159

▶ Fabryki Porcelany Ćmielów poznali go w Krakowie jako uprzejmego Niemca z gestapo, który kupował w ich biurze galanterię porcelanową.

Schielke podczas pierwszego przesłuchania nieopatrznie przyznał się do udziału w aresztowaniach i przesłuchiwaniach. Potem nie miał wyboru i musiał to pierwsze zeznanie potwierdzać. Zaprzeczał jednak kategorycznie, że bił aresztowanych, choć przyznawał, że „powszechnie bito i maltretowano więźniów".

W sierpniu 1944 r. skierowano go do obozu w Płaszowie. 6 sierpnia, w czasie „czarnej niedzieli" w Krakowie Niemcy zorganizowali wielką obławę. Zgromadzono gestapo, żandarmerię, policję, Wehrmacht, Luftwaffe. Gestapowskie budy wywiozły do obozu koncentracyjnego w Płaszowie ok. 6 tys. aresztowanych. Rola Schielkego jest niejasna. Nie przyznał się w celi, że w dniu obławy wieczorem z ramienia gestapo nadzorował transporty do obozu w Płaszowie. Cała akcja wymyślona przez SS-Oberführera Walthera Bierkampa doprowadziła do paraliżu miasta. Następnego dnia – opowiadał w śledztwie Schielke – zaczęły się pilne prośby w sprawie aresztowanych pracowników kolei, przedsiębiorstw miejskich, stołówek SS, gadzinówki „Krakauer Zeitung", zakładów zbrojeniowych. Schielke został upoważniony przez szefa gestapo (później przeniesionego do Berlina) Sturmbannführera Maxa Müllera do zwalniania najbardziej potrzebnych.

Jak po wojnie znalazł się w polskim więzieniu? Całe krakowskie gestapo tuż przed wejściem Armii Czerwonej 17 stycznia 1945 r. uciekało z miasta pieszo. Schielke dotarł do Bielska, gdzie został wcielony do policji polowej i założył mundur Wehrmachtu. Potem z dywizją niemiecką dotarł do Brna, gdzie został wzięty do niewoli przez wojska sowieckie. Po kilku miesiącach zwolniono go jako zwykłego żołnierza, wrócił do Hanoweru w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Tam przyznał, że pracował w gestapo. Twierdził, że próbował go zwerbować angielski wywiad. Odmówił: „jako były komisarz kryminalny gestapo – odnotowano w aktach – znał współpracę z agenturą i uważa, że agent jest człowiekiem najgorszego typu i sumienie mu nie pozwala, aby przystąpić do współpracy".

Jako były gestapowiec został aresztowany 8 października 1945 r. i osadzony w obozie Neuengamme. Tam odszukał go i przesłuchał kpt. Mikołaj Bigda z Polskiej Misji Wojskowej. Podejrzewano, że Schielke należał do załogi SS w Auschwitz. Można powiedzieć, że miał pecha, bo wydano go Polsce 9 maja 1947 r., a wkrótce potem alianci zaczęli wygaszać ekstradycje, zaczynała się zimna wojna.

Polska Misja Wojskowa w strefach okupacyjnych ścigała przede wszystkim „grube ryby". Schielke został przekazany bez problemów, ponieważ SS i gestapo uważano za organizacje zbrodnicze i członków tych formacji można było ekstradować bez żadnych dowodów konkretnych przestępstw.

Schielke po rutynowym przesłuchaniu w sierpniu 1947 r. przez prokuratora Czuczkiewicza siedział w krakowskim więzieniu na Montelupich. Zgodnie z ustaleniami ekstradycji przestępca wojenny powinien w ciągu sześciu miesięcy stanąć przed sądem, toteż przesłuchiwano świadków, którzy pamiętali Schielkego. Udało się ustalić jedynie, że był „znaczącą figurą" w gestapo na Pomorskiej, bo inni gestapowcy salutowali mu i składali raporty z prowadzonego śledztwa. W końcu w maju 1948 r. jego życiorys zaczął prześwietlać mjr Józef Wargin-Słomiński z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Nie był zadowolony z zeznań składanych przez gestapowca. „Zwracam uwagę – pisał do Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie mjr Wargin-Słomiński – na ostrzeżenie Schielkego przed wprowadzaniem nas w błąd. Jego zeznanie, które nam nadesłaliście, jest tendencyjne i wykrętne".

W centrali uważano więc Schielkego za doświadczonego gestapowca z przydatną bezpiece wiedzą. W tajnym piśmie zadano kolejne pytania dotyczące szczegółów działania EK, agentury, list proskrypcyjnych. Jednak w zestawie zachowanych dokumentów brak odpowiedzi.

Ważna jest zbieżność dat. Pytania przesłano do Krakowa 20 grudnia 1948 r., a już na początku stycznia 1949 r. Schielke odstawiony został do warszawskiego MBP. Nie wiemy jednak, kiedy trafił do celi SS-Gruppenführera Jürgena Stroopa i dlaczego.

Kazimierz Moczarski po okrutnym śledztwie został przeniesiony do ich celi 2 marca 1949 r. Niejedyny żołnierz AK osadzony razem z niemieckimi zbrodniarzami, aby go złamać i upokorzyć.

Dokumentacja losów Schielkego jest niepełna, nie ma ani jednego dokumentu z 1949 r. Jaka była jego rola w więzieniu? Razem z Moczarskim i Stroopem spędzili 255 dni w celi. Czy to przypadek? Schielke był zawodowym gestapowcem, znał techniki działania agentury. W „Rozmowach z katem" autor odnotował wyprowadzanie Schielkego z celi przez strażnika, ale nie wiemy, w jakim celu. Mógł być agentem lub zostać zwerbowany jak wielu innych przed wyjściem na wolność, ale dowodów na to nie ma. Pozostają domysły.

Mógł być też człowiekiem, który chciał się w życiu jakoś urządzić, słuchać przełożonych, siedzieć cicho, nie wiedzieć o Auschwitz i kolekcjonować w Krakowie porcelanę.

Miał w sumie szczęście, bo ocalił głowę. W końcu 1953 r., kilka lat po pobycie w celi z Moczarskim, przestał być w „operacyjnym zainteresowaniu" UB. Akt oskarżenia przeciwko niemu zatwierdzony został przez X Departament MBP w styczniu 1954 r. Nie ma w nim słowa o Einsatzgruppen, są aresztowania, prowadzenie przesłuchań, epizod w Płaszowie. W pierwszej instancji został skazany na 11 lat więzienia, w drugiej na 9 lat. Wyrok stosunkowo niski. Schielke większość z tego już odsiedział i miał wyjść na wolność 8 listopada 1954 r.

Pracował wówczas w więziennej kuchni. Bezpieka szukała konfidentów znających język niemiecki. Dowiedziała się od „luźnego kontaktu", że Schielke ma pozytywny stosunek do Polski Ludowej i czyta marksistowskie książki. „Pozostaje w ciągłych sprzecznościach z b. płk. gestapo Herbertem [tak w notatce UB, nie wiadomo, o kim mowa – przyp. J.S.], który wspólnie z nim przebywa w więzieniu, a który wykazuje całkowicie wrogi stosunek do Polski". Zastanawiające, że znowu niski rangą oficer SS siedział z wysokiej rangi SS-Standartenführerem.

W więzieniu otrzymywał listy i paczki od żony Marty, która mieszkała z synem Hansem Georgiem i jego 6-letnim dzieckiem w Hanowerze. Była chora na serce, otrzymywała zapomogę. Matka, Anna Schielke, miała w tym czasie 87 lat, przebywała w domu starców w NRD i chciała przenieść się do synowej. Gustaw Schielke zapewne wrócił do rodziny, ale jego dalsze losy pozostają nieznane.

JACEK SNOPKIEWICZ

Autor pracuje w PWSFTviT w Łodzi jako senior reporter i prowadzi zajęcia – reportaż telewizyjny jako forma filmowa.

eprasa.pl f60e042159

Kto to, do cholery, wymyślił!

Karolina Żebrowska, **UGLY. Encyklopedia brzydkiej mody**, Znak, Kraków 2026, s. 189

Często oglądając dawne portrety i fotografie, zadajemy sobie pytanie: jak coś takiego można było nosić? Dlaczego ludzie zakładali kołnierze wielkości śliniaka czy zdobili głowy martwymi ptakami? Książka Karoliny Żebrowskiej – reżyserki, pasjonatki kostiumologii i popularyzatorki historii mody – bierze to zdziwienie na warsztat i prowadzi czytelnika przez najbardziej osobliwe trendy w europejskiej modzie. Robi to bez akademickiego zadęcia, z dużą dawką ironii i popkulturowych skojarzeń. To nie jest neutralna historia. Żebrowska patrzy na dawne stroje z perspektywy współczesnego odbiorcy, stąd bezlitosne, ale zabawne opisy czepców *wulsthaube* z XVI w. wyglądających jak obce narośle; wenecjańskich platform *chopine*, na których damy poruszały się niczym na szczudłach; tudorowskich „saczków" podkreślających męskie genitalia. Wszystko to z rycinami z epoki i stylizowanymi zdjęciami autorki w strojach koszmarkach. Siłą książki jest to, że za każdym żartem stoi wiedza. Trendy są osadzone w realiach społecznych, ekonomicznych, technologicznych i obyczajowych. Jak podkreśla autorka, moda nie powstaje w próżni, jest odpowiedzią na dostępne materiały, normy społeczne, hierarchie władzy i lęki swoich czasów. Dzięki temu nawet najbardziej absurdalne stroje zaczynają mieć sens. Jeśli ktoś oczekuje klasycznej, zdystansowanej historii mody, będzie się krzywił. Ale to nie wada tej książki – to jej świadomy, konsekwentny wybór.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Putinada

Bartłomiej Gajos, **Historia, która zabija. Polityka historyczna putinowskiej Rosji**, Wydawnictwo Prześwity, 2026, s. 312

Każda dyktatura swoje prawo do rządzenia uzasadnia polityką historyczną. Mówi: „Mamy legitymację do rządzenia, bo pozostajemy w zgodzie z logiką historii, wiernie realizujemy historyczne cele i wartości narodu i społeczeństwa. To jest ta misja i odpowiedzialność za teraźniejszość i przyszłość. Dlatego nie ma mowy, żeby do władzy doszedł ktoś inny". I tę swoją rację musi pokazać, wydobyć z przeszłości zwycięstwa i bohaterów, ale wskazać też zdrady i zdrajców To musi być powiedziane mocno i dosadnie. Pokusa narzucania społeczeństwu własnej wizji historii była i jest bliska wielu formacjom politycznym. Rzecz w tym, że w systemach demokratycznych konkurujące ze sobą różne polityki historyczne poddawane są otwartemu osądowi opinii publicznej i wystawione na krytykę naukową. Dyktatura traktuje politykę historyczną jako jedyną prawdziwą i realizuje z pełną mocą państwa i jego instytucjami: edukacją, propagandą, muzeami, pomnikami, akademiami, paradami. Bartłomiej Gajos znakomicie udokumentował zbrodniczą politykę historyczną Putina, który napaść na Ukrainę nazywa specjalną operacją wojskową w celu walki z faszyzmem, a jej prezydenta nazywa uzurpatorem. Codziennie słyszymy te bzdury skierowane przeciwko wszystkim stojącym na drodze Putina i jego imperialnej Rosji.

WIESŁAW WŁADYKA

Niech żyją inżynierowie

Michał Kopczyński, **Wynalezienie wynalazczości. Innowacje w epoce rewolucji przemysłowej**, Mówią Wieki, Warszawa 2025, s. 577

To będzie zła recenzja, bo nie da się krótko omówić tak bogatej w fakty i przemyślenia książki. Jej tematem są rewolucje przemysłowe od połowy XVIII do początku XX w. Układ jest niechronologiczny, więc czytamy o dziejach kołowrotka i maszyn włókienniczych, by później wejść do szybów węglowych i odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego w stuleciach XVII i XVIII Szwecja była potęgą metalurgiczną. Autor opowiada o ludzkim uporze, dążeniu do naprawiania i udoskonalania świata. W tym kontekście pokazuje rozwój maszyn parowych, transportu, przemysłu chemicznego czy elektryczności. Śledzimy kręte drogi postępu i innowacji w przemyśle, transporcie i rolnictwie. Autor swobodnie prowadzi nas po osi czasu. Gdy omawia trzy rewolucje w rolnictwie (płodozmian, poszerzenie areałów upraw oraz intensywne nawożenie), cofa się do wieków wcześniejszych, by wytłumaczyć, na czym polegała trójpolówka i czym nawożono pola w Niderlandach XVII w. Odpowiada, dlaczego to Anglia odegrała czołową rolę w wielu z tych rewolucji. Ważne było zniesienie monopolu cechów, komercjalizacja wiedzy technicznej, przede wszystkim jednak wprowadzenie nowoczesnego systemu patentowego. Całość czyta się doskonale, do tego stopnia, że niżej podpisany ignorant w zakresie techniki był w stanie to zrozumieć. Kopalnia wiedzy i anegdot o wynalazcach i wynalazkach.

MARCIN ZAREMBA

Odrodzenie po katastrofie

Eric H. Cline, **Po roku 1177 przed Chr. O przetrwaniu cywilizacji**, przekład Jakub M. Rawinis, Wydawnictwo Napoleon V, Oświęcim 2025, s. 298

Upadek cywilizacji epoki brązu (ok. 1200–1100 r. p.n.e.) jest pierwszym utrwalonym na piśmie załamaniem wysoko rozwiniętej kultury politycznej i ekonomicznej. Amerykański archeolog z George Washington University, w swojej poprzedniej książce („1177 przed Chr. Rok, w którym upadła cywilizacja") opisał przyczyny tego wydarzenia. Teraz powraca z sequelem, w którym zajął się odrodzeniem po katastrofie. Przygląda się basenowi Morza Śródziemnego oraz Bliskiemu Wschodowi i analizując źródła pisane oraz archeologiczne, stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego jedne kultury i państwa były w stanie podnieść się z upadku, a inne nie. Wyłania się fascynujący obraz ery, gdzie dawne imperia co prawda przetrwały (np. Egipt), ale były cieniem dawnej potęgi. Stworzoną w ten sposób „niszę ekologiczną" stopniowo wypełniały inne organizmy, które Cline nazywa „społeczeństwami sieciowymi". Byli to przede wszystkim Fenicjanie i mieszkańcy Cypru, którzy wyznawali inne wartości niż imperia, nie myśleli bowiem o podboju terytorium, ale o rozwijaniu sieci handlowych. W dobie wstrząsów światowego handlu wywołanych wojną w Zatoce Perskiej książka Cline'a podsuwa wiele analogii – o tym, co może się stać ze światem, gdy sieci handlowe i łańcuchy dostaw zostają przerwane.

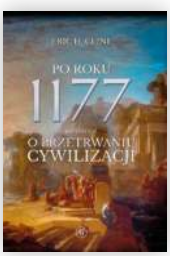

TOMASZ TARGAŃSKI

© MP (4)

eprasa.pl f60e042159

Nie z tego świata

Relacje między Watykanem a Opus Dei nie zawsze układały się dobrze. Ale gdyby nie wsparcie Jana Pawła II, ta organizacja nie stałaby się potęgą.

JOANNA PODGÓRSKA

Założyciel Opus Dei Josemaria Escrivá w Barcelonie, 1972 r.

Reporter agencji Bloomberg Gareth Gore zainteresował się upadkiem w 2017 r. jednego z największych hiszpańskich banków – Banco Popular Español. Nie była to pierwsza tego typu sprawa w jego karierze i szybko dostrzegł, że jest w niej coś dziwnego. Ustalił, że bank był w istocie kierowany przez Opus Dei, które przez dekady czerpało z niego zyski. Poszedł tym tropem. Efektem jest monumentalny reportaż „Opus Dei. Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna".

Organizację założył hiszpański ksiądz Josemaria Escrivá w 1927 r. Koncepcja miała być na wskroś chrześcijańska, oparta na idei powszechnego powołania do świętości, ale za tą fasadą krył się system, który wymagał od swoich członków bezwarunkowego posłuszeństwa i wyrzeczenia się praw osobistych. Celem było pozyskiwanie funduszy, przenikanie do instytucji państwowych, budowanie siatki wpływów. Numerariusze – członkowie żyjący w niemal zakonnej regule obejmującej ascetyczny tryb życia z biczowaniem włącznie – nie mieli zwyczaju rozpatrywać swoich poczynań w kontekście ziemskiej moralności. Jak mówił Escrivá: „Opus Dei to rzecz nie z tego świata". Ale na tym świecie działało – miało wpływy w 72 krajach i pozyskane miliardy.

Gdy Opus Dei zbudowało pozycję w Hiszpanii, Escrivá zwrócił się do Rzymu o zgodę na rozszerzenie działalności niezależnie od tradycyjnej hierarchii kościelnej. I w 1947 r. Pius XII przyznał mu status instytutu świeckiego uznawanego przez Watykan. Na długi czas był to ostatni przyjazny gest ze strony papiestwa. Dla skrajnie konserwatywnego Opus Dei Sobór Watykański II był jak trzęsienie ziemi. Jan XXIII, nie dość że liberał, to jeszcze hojnie wydawał aprobaty dla instytucji świeckich, co Opus Dei odebrało jako degradację; do tej pory jego status był wyjątkowy. Liczyło, że następca Jana XXIII zmieni tę sytuację, ale wybór padł na Pawła VI. Ten już jako biskup Mediolanu wchodził w konflikty z Opus Dei. Po konklawe wściekły Escrivá miał oskarżyć papieża o przynależność do loży masońskiej i wieszczył wieczne piekło tym, którzy go wybrali. Wielu watykańskich hierarchów odnosiło się do Opus Dei z rosnącym dystansem. Krytykowano organizację za zbyt intensywne zaangażowanie w sferę biznesową i „kupczenie duchowością".

Opus Dei robiło swoje, rekrutując nowych członków i skupując posiadłości na świecie, budowało swoją finansową potęgę i wpływy. Escrivá liczył, że dynamiczny rozwój organizacji zmusi Watykan, by potraktował go poważniej i nadał organizacji bardziej prestiżowy status kanoniczny. Paweł VI odmówił. Przez kolejne lata Escrivá desperacko zabiegał o kolejne spotkania z papieżem, bezskutecznie. Wybrał się do Grecji, by ustalić, czy ruch nie miałby lepszych perspektyw na łonie Kościoła prawosławnego. Nic z tego nie wynikło, ale – jak pisze Gore – było to swego rodzaju przekroczenie Rubikonu; sygnał, że dla organizacji kult Escrivy jest decydujący, nawet jeśli oznaczałoby to zerwanie z Kościołem katolickim.

W Watykanie powołano komisję, która miała zbadać falę krytyki wymierzoną w organizację (m.in. zarzut, że podważa autorytet papieża) i przywołać ją do porządku (chodziło o rewizję zasad Opus Dei w duchu soboru). Escrivá pozorował zgodę, grał na czas, ale numerariuszom i swoim księżom dawał do zrozumienia, że o żadnym unowocześnianiu nie ma mowy.

To nie był łatwy czas dla Opus Dei. W 1975 r. zmarli Escrivá oraz jego polityczny protektor gen. Francisco Franco. Część członków zaczęła się buntować i odchodzić mimo prób pacyfikacji szantażem. Rekrutacja szła opornie. Część amerykańskich hierarchów z dużym niepokojem przyglądała się rosnącej potędze ekonomicznej organizacji, opartej na szemranych interesach, praniu pieniędzy i nielegalnym przerzucaniu ich po całym świecie. To był poważny kryzys wizerunkowy.

Ale w 1978 r. hasło „Habemus papam" zabrzmiało dla Opus Dei jak sygnał nadziei. Z ówczesnym przywódcą organizacji, Álvarem del Portillo, Karol Wojtyła poznał się już wcześniej, podczas soboru. Zbliżyły ich konserwatywne poglądy. Wojtyła przemawiał na konferencjach Opus Dei, organizacja wydawała jego książki. Przed konklawe Wojtyła razem z Portillą modlili się przy grobie Escrivy. Wybór Wojtyły, którego Opus Dei mocno wspierało, oznaczał dla ruchu radykalną zmianę. Dwa

© ERIC VANDEVILLE/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES, MP

eprasa.pl f60e042159

tygodnie po wyborze Jan Paweł II powitał Portilla w pałacu papieskim: „To nie jest audiencja, to spotkanie rodzinne”.

Kilka miesięcy później Opus Dei oficjalnie złożyło wniosek o przyznanie statusu „prałatury personalnej”. Mimo że Dykasteria ds. Biskupów jednogłośnie go odrzuciła, papież interweniował osobiście i Opus Dei ten status dostało. Dostało więc prawo wyświęcania księży i funkcjonowania praktycznie poza kościelną hierarchią. Jak pisze Gore, nie była to ze strony papieża wyłącznie przyjacielska przysługa. Organizacja oferowała mu konkretne wsparcie: batalion mobilnych księży do jego dyspozycji plus wpływy w 700 gazetach i czasopismach, 500 instytucjach edukacyjnych, 50 stacjach radiowych. Głosy niezadowolenia płynące ze strony nawet najbardziej konserwatywnych sojuszników Jana Pawła II spacyfikował on stwierdzeniem, że warto iść na ustępstwa wobec Opus Dei, bo w Kościele toczy się walka ideowa o antykoncepcję, utrzymanie celibatu i zakaz kapłaństwa kobiet. Był głuchy na głosy sprzeciwu płynące m.in. z Kościoła hiszpańskiego, który znał Opus Dei jak nikt inny.

Zastrzeżenia miał nawet Joseph Ratzinger, który twierdził, że taki status daje Opus Dei pozycję Kościoła w Kościele. Przeszkodą nie stał się raport jednego z numerariuszy, który przez lata potajemnie kopiował dokumenty organizacji i na ich podstawie upublicznił raport o ciemnych stronach jej funkcjonowania: indoktrynacji, manipulacji, totalnej kontroli członków. Nie zaszkodził nawet skandal związany ze śmiercią prezesa Banku Ambrosiano, Roberto Calviego, i plotki, że Opus Dei może być w to zamieszane. „Udało się w końcu zrealizować marzenie Escrivy o nowym statusie i Opus Dei wchodziło w trzecie milenium chrześcijaństwa z optymizmem, czystą kartą, a także pełną kiesą [...]. W Watykanie zaczęto mówić o beatyfikacji założyciela ruchu, nadchodzące lata zdawały się więc zapowiadać bezprecedensowy wzrost potęgi i wpływów prałatury” – pisze Gore.

Tym razem młyny watykańskie nie mieliły powoli. Opus Dei zainicjowało proces beatyfikacji długo przed upływem wymaganych pięciu lat od momentu śmierci. Kontrowersje budził cud przypisywany błogosławionemu. Cudownie uzdrowiona karmelitanka okazała się kuzynką jednego z najbardziej prominentnych członków organizacji. Członkiem Opus Dei był także lekarz, który cud potwierdził. Nie zbadano ciemnych stron życia Escrivy, m.in. tego, że z sympatią wypowiadał się o Hitlerze. Sprzeciwy były pacyfikowane i do beatyfikacji doszło niespełna 17 lat po śmierci Escrivy. W Watykanie mówiło się, że beatyfikacja została kupiona.

Jednym z najpotężniejszych urzędników papieża, jego sekretarzem i bliskim doradcą został prominentny członek Opus Dei Joaquin Navarro-Valls. Dwudziestu jeden księży z organizacji dostało od Jana Pawła II mitry biskupie i dwie nominacje kardynalskie. Opus Dei na lata stało się odporne na skandale i zarzuty, że funkcjonuje jak sekta, werbuje nieletnich, zamiata pod dywan sprawy molestowania seksualnego dzieci. Przeciwnie – dostało wiatru w żagle, ruszyło na ponowny podbój Ameryki i zbudowało tam finansowo-polityczną potęgę. Udało się niewielką grupę konserwatywnych katolików przekształcić w potężną siłę polityczną, a w Nowym Jorku stanęła nowa siedziba główna organizacji: 17-piętrowy luksusowy budynek wykończony marmurem.

W październiku 2002 r. odbyły się w Watykanie uroczystości kanonizacyjne Josemarii Escrivy, który został uznany świętym czasów współczesnych. To był ostatni prezent Jana Pawła II dla Opus Dei.

Kolejny pontyfikat można określić jako kontynuację polityki Jana Pawła II wobec ruchu. Benedykt XVI był życzliwy wobec konserwatywnego bastionu wiary, aczkolwiek dużo bardziej od niego zdystansowany niż poprzednik. Dopiero wybór Franciszka okazał się trzęsieniem ziemi. Choć początkowo nic tego nie zapowiadało. Jak pisze Gore, początkowo Franciszek nie wiedział zbyt wiele o funkcjonowaniu kręgów watykańskich. Chciał przedefiniować sposób zarządzania papiestwem i uporządkować jego finanse. By to zrobić, musiał sięgnąć po rady ekspertów. A ci byli...w Opus Dei. „Po trzydziestu latach w cieplarnianych warunkach stwarzanych przez Jana Pawła II i Benedykta XVI Opus Dei zdołało – w dużej mierze dzięki umacnianiu pozycji Papieskiego Uniwersytetu Świętego Krzyża – zapewnić sobie status najwyższego autorytetu w kwestiach prawa kanonicznego i komunikacji” – czytamy.

Ta współpraca nie trwała długo. Ks. Lucio Ángel Vallejo Balda z Opus Dei, powołany jako ekspert do ważnej komisji zajmującej się przeglądem struktur gospodarczych Watykanu, został wkrótce aresztowany przez Gwardię Szwajcarską. Zarzucono mu, że działał jako podwójny agent, przekazywał treści niejawnych dokumentów i podkopywał wysiłki papieża do dyskretnego eliminowania korupcji i złych praktyk. Niedługo potem w Argentynie wybuchł skandal związany ze sprawą tzw. numerarii pomocniczych – dziewcząt z ubogich rodzin werbowanych przez Opus Dei na całym świecie i wykorzystywanych do niewolniczej pracy. Po latach upomniały się o sprawiedliwość, a papież je wsparł. Odebrał Opus Dei przyznane przez Jana Pawła II przywileje i zdegradował jego wyjątkowy status.

Organizacja zdecydowała się na podwójną grę. Oficjalnie deklarowała lojalność wobec Franciszka, ale poprzez cywilnych członków atakowała go bezpardonowo. Jeden z publicystów związanych z ruchem napisał: „Opus Dei to elita Kościoła, a Franciszek ich atakuje, bo intelektualnie i duchowo nie dorasta im do pięt”. Po cichu wyprzedawano cenne nieruchomości, by zabezpieczyć je przed ewentualnym przejęciem prze Watykan. Opus Dei postanowiło przeczekać. Mówiąc wprost, poczekać, aż Franciszek umrze, zanim prawdziwa reforma się dokona, licząc, że kolejny papież przyjmie inny kurs wobec ruchu. Dziś śmiało można spekulować, że to się raczej nie udało. Dalszy ciąg wyjątkowego reportażu Garetha Gore'a będziemy mogli śledzić na żywo.

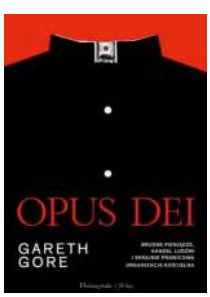

Gareth Gore, **Opus Dei. Brudne pieniądze, handel ludźmi i skrajnie prawicowa organizacja kościelna**, Prószyński i Ska, Warszawa 2026, s. 512

SŁUCHAJ

Polecamy również rozmowę Marcina Zaremby z Adamem Szostkiewiczem o Opus Dei na naszym podkastowym kanale **„POLITYKA O HISTORII”**.

eprasa.pl f60e042159

film

Uciszyć przeszłość 5/6

Tajny agent (O Agente Secreto), reż. Kleber Mendonça Filho, prod. Brazylia, Francja, Niemcy, Holandia, 158 min, w kinach od 27 marca

Błyskotliwy dramat neo-noir Brazylijczyka Klebera Mendonçy Filho zamiast typowego dla gatunku napięcia wybiera powolną nowelową strukturę. Epicka opowieść osadzona w 1977 r. zaczyna się jak szerokoformatowy horror w stylu Sergia Leone, by szybko przejść do utrzymanej w klimacie absurdu opowieści o wycofanym intelektualiście, który stara się zniknąć, by przetrwać. Groteska, surrealistyczna makabra, western, kryminał, dystans, ironia, nawiązania do realizmu magicznego, znaku firmowego kultury iberoamerykańskiej – wszystko łączy się tu gładko ze wszystkim, kontrastując z arcytrudnym tematem. Chodzi o serię tajemniczych zaginięć i prześladowań niewinnych ludzi uznawanych za przeciwników reżimu, o demaskowanie kłamstw władzy oraz rozliczenie z dyktaturą wojskową.

Prowadząc ryzykowną grę z estetycznymi oczekiwaniami i uprzedzeniami widzów, Filho rzuca wyzwanie historii, która wydaje się zataczać koło i powracać jako nostalgia za terrorem. Robi to zupełnie inaczej niż Walter Salles w „I'm Still Here". Wyjątkowość „Tajnego agenta" polega na tym, że pozornie niepasujące do siebie elementy wpisuje w szerszy obraz, nie osłabiając przy tym znaczenia walki na śmierć i życie, w której bierze udział bohater. Wciela się w niego z odpowiednią dawką melancholii i bólu **Wagner Moura**, niezapomniany Pablo Escobar z serialu „Narcos". Gra nauczyciela akademickiego ponoszącego konsekwencje tego, że minister z koneksjami w świecie biznesu jest gotów zamknąć wydział uniwersytecki i przenieść badania do spółki, w której posiada udziały. Na pierwszy plan wychodzi tu paraliżujący strach współczesnych pokoleń, potomków tych, którzy nie mieli szczęścia przeżyć. Ostra w swoim radykalnym przesłaniu, mocno zarysowana krytyka dyktatury spotyka się na ekranie z imponującą, halucynacyjną wizją. Pełen rozmachu film w bezpretensjonalny sposób mówi o chorobie, na jaką zapadła Brazylia, ale też o świecie często zapominającym o swoich winach.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Rozmowa z Kleberem Mendonçą Filho s. 92.

galeria

Serce po lewej 4/6

Aleksander Minorski. Fotografia to interwencja, Muzeum Warszawy, do 6 września

Bohater wystawy to postać trochę zapomniana, a przecież bez wielkiej przesady można by go obwołać kronikarzem życia stolicy. Aleksander Minorski (1906–82) miał – także w przenośni – serce po lewej stronie. Dziś nazwalibyśmy go społecznikiem. Przed wojną angażował się w różne komunistyczne przedsięwzięcia, ale przede wszystkim fotografował ciemne strony życia: biedę, złe warunki mieszkaniowe, wykluczenie. Ze szczególnym uwzględnieniem losu dzieci. Rzadko są to fotografie artystyczne, którymi można by się zachwycać, ale ich walory dokumentacyjne trudno przecenić. Za bezkompromisowość zapłacił cenę: nakład jednego z jego albumów został decyzją władz skonfiskowany i zniszczony, a on sam trafił do osławionego więzienia w Berezie Kartuskiej. Wojnę i pierwsze lata powojenne przeżył w ZSRR, po powrocie jego prace nie miały już dawnej socjologicznej mocy, ale stołeczne budowlane relikty przeszłości, które w nowej rzeczywistości z zapałem upamiętniał, niosą w sobie urok ciekawostek. Był fotografem, ale zawsze marzył, by zostać filmowcem. Po wojnie nakręcił zresztą kilka obrazów dokumentalnych. I oto Muzeum Warszawy przygotowało mu niezwykły, choć pośmiertny prezent. Otóż dzięki wykorzystaniu możliwości, jakie daje AI, w jednej z sal „ożyły" jego przedwojenne zdjęcia, w króciutkich i zaskakująco czułych etiudach filmowych.

PIOTR SARZYŃSKI

„Spotkanie dzieci żydowskich z koniem. Ulica Wołyńska", ok. 1937 r.

© GUTEK FILM, A. SULEJ, PRIME VIDEO, KAROLINA JÓŹWIAK

eprasa.pl f60e042159

film

Miłość i pamięć 5/6

Historia dźwięku, reż. Oliver Hermanus, prod. USA, Wielka Brytania, 127 min, dostępny w serwisach Prime Video, Apple TV+, Rakuten

Po premierze w Cannes nowy film Olivera Hermanusa (twórcy m.in. „Życia" z nominowanym do Oscara Billem Nighyem w roli głównej) podzielił krytyków, z których część dostrzegła w nim bladą kopię „Tajemnicy Brokeback Mountain", choć to fabuła rozgrywana w zupełnie innych rejestrach. W „Historii dźwięku", opartej na opowiadaniach Bena Shattucka, miłość do drugiej osoby idzie w parze z miłością do muzyki. Lionel (**Paul Mescal**) i David (**Josh O'Connor**) poznają się w czasie studiów w amerykańskim konwersatorium. Ich romans zostaje przerwany, gdy David dostaje powołanie do wojska (Stany Zjednoczone właśnie przystąpiły do pierwszej wojny światowej). Kilka lat później wyruszą razem w podróż po amerykańskiej prowincji, by nagrywać i zapisywać ludowe piosenki. W końcu ich drogi znów się rozchodzą, lecz Lionel nigdy nie przestaje szukać utraconej miłości. Pięknie sfilmowany obraz ma w sobie melancholijny urok staroświeckiego romansu, a w najlepszych momentach staje się poetycką refleksją na temat emocjonalnych więzi, pamięci – tak prywatnej, jak zbiorowej – a także kultury jako nośnika wspomnień.

JAKUB DEMIAŃCZUK

scena

Z martwymi przyjaciółkami 3/6

Eurypides, **Trojanki**, reż. Aleksandra Bielewicz, Teatr Powszechny w Warszawie

„Trojanki" Eurypidesa, obraz kobiecych ofiar męskiego parcia do wojny, niszczycielskiego instynktu posiadania i władzy, który pcha świat ku zagładzie raz za razem – to dziś sztuka przerażająco aktualna w coraz to nowych rejonach świata. W spektaklu Aleksandry Bielewicz bohaterki i bohaterowie noszą efektowne kostiumy i bokserskie buty, wbiegają na rampę symbolizującą zamknięte mury Troi, wojnę, los ofiar i traumę. Aktorom towarzyszy muzyka na żywo zespołu The Freuders, bohaterki wyśpiewują swoją traumę i żałobę po zamordowanych mężach, dzieciach, wnukach, po swoim życiu, próbują, jak Helena (**Natalia Lange**) czy Kasandra, różnych strategii przetrwania i buntu. Obok Eurypidesa można usłyszeć fragmenty z Seneki i Giraudoux, a nawet wiersze Wisławy Szymborskiej. Dzieje się dużo, trudno się czasem zorientować, w jakim momencie akcji jesteśmy, ale prawdziwym problemem jest oczywistość pomysłów reżyserskich. W tym nadmiarze i efekciarstwie prawdziwa tragedia i emocje przebijają się z rzadka. Najmocniej w poruszającym wierszu greckiej poetki Rity Boumi Papy z refrenem „Gdy wyjdę na spacer z martwymi przyjaciółkami".

ANETA KYZIOŁ

REKLAMA

ORGANIZACJA
Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca
projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa
PARTNER GŁÓWNY
LOTTO
MECENAS
ORLEN
PARTNER
City
PATRON MEDIALNY
POLITYKA

eprasa.pl f60e042159

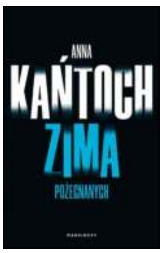

Czwarta pora roku 4/6

Anna Kańtoch, **Zima pożegnanych**, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026, s. 312

Kilka lat temu Anna Kańtoch zapowiadała, że nie należy spodziewać się kontynuacji trylogii o emerytowanej policjantce Krystynie Lesińskiej, po przerwie zdecydowała się jednak dopisać ciąg dalszy. Z dobrym skutkiem: żal byłoby porzucać tak ciekawą, wyłamującą się z kryminalnych schematów bohaterkę, zwłaszcza że Kańtoch ma o niej jeszcze sporo do powiedzenia. Poprzednie książki opowiadały historię Lesińskiej w odwróconej chronologii, w każdym tomie odsłaniając coraz więcej tajemnic z przeszłości, „Zima pożegnanych" siłą rzeczy porzuca ten rytm, choć jeszcze parę białych plam z dawnych lat uzupełnia. Na pierwszy plan wysuwa się jednak krwawa zbrodnia popełniona tu i teraz. Wszystko wydaje się jasne – mieszkająca samotnie kobieta została zamordowana przez stalkera, ale sama też zdążyła mu zadać śmiertelny cios. Tyle że to wyjaśnienie wydaje się Lesińskiej zbyt oczywiste, a rodzina i przyjaciele ofiar mają najwyraźniej sporo do ukrycia. Ekspolicjantka łączy siły z aspirującym pisarzem, który szuka tematu do książki, i wspólnie postanawiają przeprowadzić prywatne śledztwo. Zarys fabuły mógłby sprawdzić się również w lekkiej powieści w stylu cozy crime, ale Kańtoch unika banałów. To proza atrakcyjna, bardzo dobrze poprowadzona i miejscami dowcipna, lecz podszyta smutkiem i goryczą. Rzecz o samotności, przemijaniu i nieznośnym ciężarze kłamstwa.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Czujna przewodniczka 3/6

Natalia de Barbaro, **Przejścia. Którędy do miłości**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2026, s. 256

Autorka „Przędzy" i „Czułej przewodniczki" w nowej książce podpowiada, jak szukać miłości, jej śladów i dowodów, niepozornych gestów, przyćmiewanych zwykle przez krzywdy i traumy. Mamy być jak czujne detektywki miłości. Ta miłość otworzy „przejście" do lepszego życia, a przynajmniej bardziej kompletnego mniemania o sobie i swoim dzieciństwie. Bo do niego autorka się odnosi – i do przeszłości naszych przodków. Znów tworzy jakiś katalog ról, w tym wypadku są to role przyjmowane przez dziewczynki: Dziewczynka-Szkatułka, Najlepsza Przyjaciółka Mamusi, Dziewczynka-w-Białych-Rajstopkach… W dorosłości ewoluują w mało użyteczne strategie przetrwania i schematy postępowania. Ale same decydujemy, czy „siebie przygarniamy", czy się od siebie odwracamy. De Barbaro ma swoją widownię, która niewątpliwie wchłonie ten przekaz i poszuka światła w mroku. Jednak Dziewczynka-Cyniczka – dopisuję tę rolę do katalogu – może powątpiewać, czy utulanie wewnętrznego dziecka (reparenting) to najlepsza forma pracy nad sobą. Autorka radzi poszukać „jednego jasnego wspomnienia", nawet jeśli źle je zapamiętaliśmy – czy delulu ma być podstawą pewności siebie? Całość przypomina chwilami notatnik z sentencjami, choć są tu też ciekawe obserwacje z warsztatów z kobietami i koncepcje, np. figura „wewnętrznego kretyna" (zamiast „krytyka"). Są też słuszne spostrzeżenia: „Kiedy widzę zdanie: »Po prostu pokochaj siebie«, dostaję kurwicy. Że też na to nie wpadłam!". Dziewczynka-Cyniczka czyta i wywraca oczami.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

muzyka

Gama możliwości 5/6

Voo Voo, **Dźwięczność**, e-muzyka

W wywiadach **Wojciech Waglewski** podchodzi do tej płyty, jak gdyby została nagrana i wydana mimochodem, tymczasem robi wrażenie jednej z najbardziej koniecznych w całym repertuarze Voo Voo. Zeszłoroczne pożegnanie żony lidera grupy – tej samej, dla której 35 lat temu nagrał album „Waglewski Gra-żonie" – wywarło oczywiście potężny wpływ na teksty. To do niej skierowana jest tytułowa „Dźwięczność", jeden z rzadkich momentów, gdy jako gitarzysta tak zdecydowanie zwraca się w stronę prostego liryzmu klasycznego rocka. W tekstach bardziej defetystyczny i głęboko naznaczony koniecznością rozchodzenia emocji („Muszę znaleźć jakieś nowe zadanie, jakiś cel, jakiś nowy świat"), jest to jednak zarazem album bardzo przekrojowy – jak gdyby Voo Voo, nieprzywiązane nigdy do jednego nurtu i osobne, chciało zaprezentować całą gamę stylistyk, z artrockowymi partiami w „Ulatam", bigbitowym refrenem „W niebycie", z wycieczkami poza muzykę Zachodu („Bujam się" inspirowane jest etiopskim jazzem Mulatu Astatke), z opowieścią o sile życia chwilą. A załącznik w postaci remiksów tanecznych polskich producentów wydaje się tu puentą trzymającą album po stronie optymizmu.

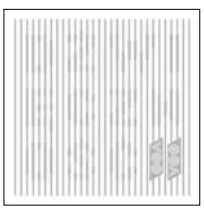

BARTEK CHACIŃSKI

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ADAM BURAKOWSKI/REPORTER, MP (3)

eprasa.pl f60e042159

KULTURA+

Wiosna 2026

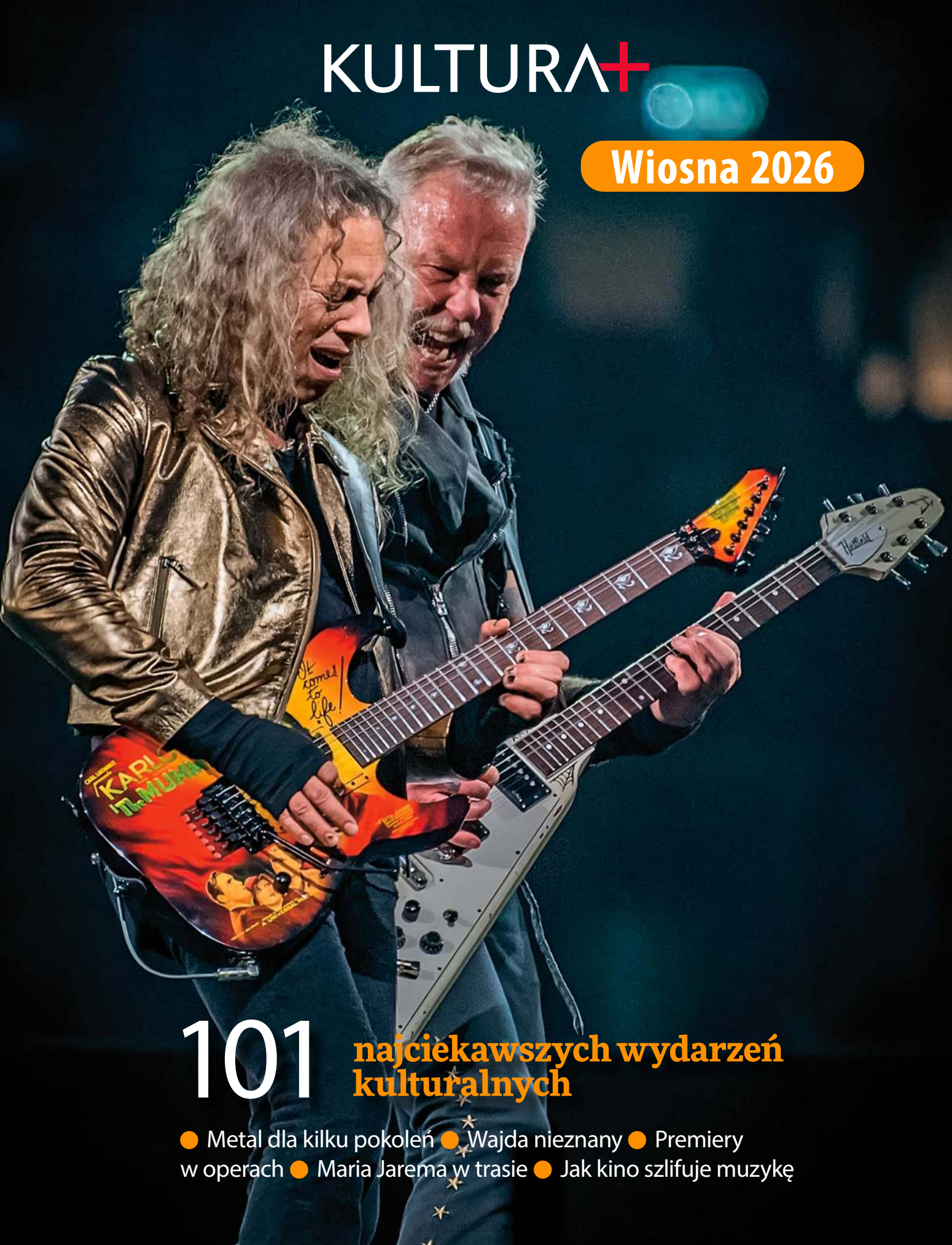

101 najciekawszych wydarzeń kulturalnych

● Metal dla kilku pokoleń ● Wajda nieznany ● Premiery w operach ● Maria Jarema w trasie ● Jak kino szlifuje muzykę

KALENDARIUM WYDARZEŃ: WIOSNA

MARZEC

18.03–6.09 | SZTUKI WIZUALNE | **Aleksander Minorski. Fotografia to interwencja** | Muzeum Warszawy

20.03–17.05 | SZTUKI WIZUALNE | **Kwiato-stany** | Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" | Radom

20.03–28.06 | SZTUKI WIZUALNE | **Maria Jarema. Pęknięty modernizm** | Muzeum Sztuki Nowoczesnej | Warszawa

20.03–13.09 | SZTUKI WIZUALNE | **Ten kot został narysowany w czasie wojny – wystawa zbiorowa** | CSW Zamek Ujazdowski | Warszawa

21.03–5.04 | MUZYKA | **Festiwal Misteria Paschalia** | Kraków

22.03–3.04 | MUZYKA | **30. Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena** | Warszawa i inne miasta

25.03–27.06 | TEATR | **32. Międzynarodowy Festiwal Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych** | Teatr Powszechny | Łódź

26.03 | MUZYKA | **Bal w operze. Leszek Możdżer. Julian Tuwim** | Warszawska Opera Kameralna | Basen Artystyczny (Warszawa)

26.03–28.06 | SZTUKI WIZUALNE | **Ostatni zamek. Zamczystość polska: od Wawelu do Stobnicy** | Zamek Królewski | Warszawa

27.03–17.05 | SZTUKI WIZUALNE | **Jędrzej Bieńko. Kocham cię** | Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" | Radom

27.03 | TEATR | **Martwe natury**, reż. Elsa Revcolevschi | Stary Teatr | Kraków

27.03 | TEATR | **Mężczyźni objaśniają mi świat**, reż. Klaudia Gębska | Teatr Narodowy | Warszawa

27.03 | TEATR | **Każda praca hańbi**, reż. Mira Mańka | Teatr im. Kochanowskiego | Opole

28.03 | TEATR | **Janosik. Nowa historia (Ziemowit Szczerek)**, reż. Rafał Szumski | Teatr Polski | Bielsko-Biała

KWIECIEŃ

1–5.04 | MUZYKA | **Festiwal Actus Humanus Resurrectio** | Gdańsk

9.04 | MUZYKA | **70-lecie pracy artystycznej Jerzego Maksymiuka** | Filharmonia Narodowa | Warszawa

9.04 | TEATR | **Pulverkopf**, reż. Katarzyna Kalwat | Nowy Teatr, Teatr Polski | Warszawa, Poznań

10–26.04 | TEATR | **58. Międzynarodowy Festiwal Teatralny Kontrapunkt** | Szczecin

10.04–8.09 | SZTUKI WIZUALNE | **Gotyk w Karpatach** | Muzeum Narodowe | Kraków

10–11.04 | MUZYKA | **SEA YOU 3city Music Showcase** | Gdańsk

11.04 | MUZYKA | **Julietta (Bohuslav Martinů)** | Opera Wrocławska | Wrocław (spektakle też 12, 14, 16, 17, 18.04)

11–29.04 | BALET | **Łódzkie Spotkania Baletowe** | Teatr Wielki | Łódź

12.04 | MUZYKA | **Oneohtrix Point Never** | Stodoła | Warszawa

Kim Gordon

Jerzy Maksymiuk

14.04 | MUZYKA | **By Storm** | Bardzo Bardzo | Warszawa

15.04 | MUZYKA | **Royber Trio** (Macio Moretti, Mikołaj Trzaska, Olo Walicki) | Pardon To Tu | Warszawa

16–19.04 | KOMIKS | **Poznański Festiwal Sztuki Komiksowej** | Biblioteka Uniwersytecka w Poznaniu

17.04 | MUZYKA | **Falstaff (Giuseppe Verdi)** | Teatr Wielki – Opera Narodowa | Warszawa (przedstawienia też 18, 19, 24, 25, 26.04)

17, 22, 26.04 | INTERDYSCYPLINARNE | **Lem Universum** | Ergo Arena, Torwar, Spodek | Gdańsk, Warszawa, Katowice

17.04–13.09 | SZTUKI WIZUALNE | **Kolekcjoner. Ignacy Korwin-Milewski** | Muzeum Narodowe | Warszawa

17–27.04 | FILM | **Timeless Film Festival** | Warszawa

17 i 25.04 | TEATR | **Requiem dla snu**, reż. Jakub Skrzywanek | Teatr Studio, Stary Teatr | Warszawa, Kraków

18.04 | TEATR | **Profesor**, reż. Jan Hussakowski | Teatr im. Żeromskiego | Kielce

18–19.04 | MUZYKA | **Tame Impala** | PreZero Arena | Gliwice

19.04 | MUZYKA | **Apparat** | A2 | Wrocław

20–21.04 | MUZYKA | **Kim Gordon** | A2 (Wrocław), Progresja (Warszawa)

20–27.04 | INTERDYSCYPLINARNE | **Festiwal Fermenty** | Bielsko-Biała

21.04 | MUZYKA | **Marlon Magnée** | Hydrozagadka | Warszawa

22–26.04 | MUZYKA | **Jazz nad Odrą** | Wrocław

23.04 | MUZYKA | **Tosca (Giacomo Puccini)** | Opera Krakowska | Kraków (spektakle też 24–26 i 28–30.04)

24.04 | MUZYKA | **Król Roger (Karol Szymanowski)** | Teatr Wielki | Poznań (spektakle też 25, 26, 29, 30.04)

24.04 | MUZYKA | **Gala Muzyki Klasycznej Fryderyk Festiwal 2026** | NFM | Wrocław

24.04 | TEATR | **Schronisko, które przestało istnieć**, reż. Tadeusz Pyrczak | Teatr im. C.K. Norwida | Jelenia Góra

24.04 | TEATR | **Kelnerskie tango**, reż. Jakub Przebindowski | Kujawsko-Pomorski Teatr Muzyczny | Toruń

24.04–3.05 | FILM | **Festiwal Off Camera** | Kraków

24.04–16.08 | SZTUKI WIZUALNE | **The Best of Muzeum Karykatury** | Warszawa

25–26.04 | MUZYKA | **The Fairy Queen (Henry Purcell)** | Polska Opera Królewska | Warszawa

25.04 | TEATR | **Prowadź swój pług przez kości umarłych**, reż. Ewa Platt | Teatr Narodowy | Warszawa

26.04 | MUZYKA | **Marc-André Hamelin** | Filharmonia Narodowa | Warszawa

27.04 | MUZYKA | **Marek Janowski dyryguje Sinfonią Varsovią** | Studio im. Witolda Lutosławskiego | Warszawa

© JIM BENNETT/GETTY IMAGES, MIROSŁAW PIETRUSZYŃSKI, DANIEL JAROSZEK, SHUTTERSTOCK AI

eprasa.pl f60e042159

KALENDARIUM WYDARZEŃ: WIOSNA

27.04 | MUZYKA | **Kiefer Sutherland** | Stodoła | Warszawa

29.04–3.05 | FILM | **28. Kino na Granicy** | Cieszyn

MAJ

8–17.05 | FILM | **Festiwal Millennium Docs Against Gravity** | Warszawa, Wrocław, Gdynia, Poznań, Łódź, Katowice, Bydgoszcz

8.05–27.06 | MUZYKA | **35. Festiwal Mozartowski** | Warszawska Opera Kameralna | Warszawa

10–12.05 | MUZYKA | **Jarboe feat. Thor Harris i Joy Von Spain** | Niebo (Warszawa), Blue Note (Poznań)

10–17.05 | BALET | **Androidy** | Teatr Wielki – Opera Narodowa | Warszawa

13–18.04 | LITERATURA | **10. Międzynarodowy Festiwal Poezji Silesius** | Wrocław

14–17.05 | MUZYKA | **Musica Polonica Nova** | NFM | Wrocław

14–24.05 | MUZYKA | **Festiwal Kultura Natura** | NOSPR | Katowice

14.05–26.10 | SZTUKI WIZUALNE | **Rzeźba na meblościankę** | Muzeum Rzeźby Królikarnia | Warszawa

15.05 | TEATR | **Tragedyjo Hamleta, ksiyncia Dynymarku**, reż. Robert Talarczyk | Teatr Śląski | Katowice

15–16.05 | MUZYKA | **Mata** | PGE Narodowy | Warszawa

16.05 | TEATR | **Hamlet**, reż. Kamil Białaszek | Teatr Powszechny | Warszawa

17.05 | MUZYKA | **Piotr Anderszewski** | Filharmonia Narodowa | Warszawa

19.05 | MUZYKA | **Metallica** | Stadion Śląski | Chorzów

21.05–11.06 | MUZYKA | **65. Muzyczny Festiwal w Łańcucie** | Łańcut

22.05 | MUZYKA | **Kawaler srebrnej róży (Richard Strauss)** | Opera Bałtycka | Gdańsk (spektakle również 24, 26, 28 i 30.05)

22.05 | MUZYKA | **Wiedeńska krew (Johann Strauss)** | Opera Krakowska | Kraków (spektakle też 22, 23, 26, 28, 31.05)

22.05 | MUZYKA | **Jakub Józef Orliński**, **Michał Biel** | Filharmonia Narodowa | Warszawa

22.05 | TEATR | **Niespodziewane zwycięstwo Unii Polsko-Czeskiej w Trzeciej Wojnie Światowej**, reż. Jakub Krofta | Teatr im. Słowackiego, Teatr Narodowy | Kraków, Praga

23.05 | TEATR | **Mam coś w głębi nie do przedstawienia. HAMLET (Paweł Demirski)**, reż. Remigiusz Brzyk | Stary Teatr | Kraków

23–24.05 | MUZYKA | **Cavatina Guitar Festival** | Cavatina Hall | Bielsko-Biała

24.05 | MUZYKA | **Peter Evans** | Pardon To Tu | Warszawa

27.05 | MUZYKA | **Wielkie głosy: Piotr Beczała** | Teatr Wielki – Opera Narodowa | Warszawa

27–31.05 | LITERATURA | **Międzynarodowy Festiwal Kryminału** | Wrocław

Dawid Podsiadło

28–31.05 | MUZYKA | **Leo Festiwal** | NFM | Wrocław

28–31.05 | KOMIKS | **Komiksowa Warszawa** | PGE Stadion Narodowy | Warszawa

30.05 | MUZYKA | **Garbage** | Letnia Scena Progresji | Warszawa

30.05 | SZTUKI WIZUALNE | **Woman Art Power 2** | Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" | Radom

30.05 | MUZYKA | **Laibach** | Progresja | Warszawa

31.05–7.06 | FILM | **66. Krakowski Festiwal Filmowy** | Kraków

CZERWIEC

3–6.06 | MUZYKA | **Mystic Festival** (m.in. Behemoth, Megadeth, Anthrax) | Stocznia Gdańska | Gdańsk

4–6.06 | MUZYKA | **Guns N' Roses** | PreZero Arena | Gliwice

4–7.06 | MUZYKA | **Tauron Nowa Muzyka** (m.in. Apparat, Herbert & Momoko, Hania Rani) | Strefa Kultury | Katowice

5.06 | MUZYKA | **Tricky** | Progresja | Warszawa

6–28.06 | MUZYKA | **Dawid Podsiadło – Obrotowy Tour** | Stadion Śląski, ENEA Stadion, Polsat Plus Arena, PGE Narodowy | Chorzów, Poznań, Gdańsk, Warszawa

7–13.06 | FILM | **45. Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych Młodzi i Film** | Koszalin

10–14.06 | MUZYKA | **Ephemera Festival** | Warszawa

11.06 | BALET | **Urojenia (Izadora Weiss)** | Polski Balet Narodowy | Teatr Wielki – Opera Narodowa | Warszawa (spektakle też 12 i 14.06)

12.06 | MUZYKA | **Pat Metheny** | NOSPR | Katowice

12–14.06 | INTERDYSCYPLINARNE | **Ogrody POLITYKI** | Elbląg

13.06 | MUZYKA | **Romeo i Julia (Charles Gounod)** | Teatr Wielki – Opera Narodowa | Warszawa (spektakle też 17 i 19.06)

Młodzi i film

13.06 | MUZYKA | **Sen nocy letniej (Felix Mendelssohn)** | Opera Wrocławska | Wrocław (spektakle też 14, 15, 16, 17, 18, 19.06)

15.06 | MUZYKA | **Foo Fighters** | PGE Stadion Narodowy | Warszawa

16.06 | MUZYKA | **Lost Generation** | Tauron Arena | Kraków / Knock Out Productions

18–19.06 | MUZYKA | **Summer Punch Festival** | Letnia Scena Progresji | Warszawa

19–21.06 | INTERDYSCYPLINARNE | **Festiwal Fantastyki Pyrkon** | MTP | Poznań

19.06–18.07 | MUZYKA | **IX Letni Festiwal Polskiej Opery Królewskiej**

19.06–7.07 | MUZYKA | **Centralny Plac Muzyki** | Warszawa

21–28.06 | INTERDYSCYPLINARNE | **36. Malta Festival** | Poznań

26–28.06 | KOMIKS | **Krakowski Festiwal Komiksu** | Klub Studio | Kraków

27.06 | MUZYKA | **Preisner Scoring Competition – koncert finałowy** | Bielsko-Biała

eprasa.pl f60e042159

Otwarcie Galerii Europa – Daleki Wschód w Muzeum Manggha, 2015 r.
Na pierwszym planie Andrzej Wajda, za nim Krystyna Zachwatowicz-Wajda.

Wajda mniej znany

Wraz z twórcami wystawy „Wajda. W stulecie urodzin" zaglądamy do archiwum niezrealizowanych pomysłów filmowych urodzonego 100 lat temu reżysera.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Gdyby Andrzej Wajda zdołał przenieść na ekran wszystkie swoje wizje, historia polskiego kina – a być może i polskiej tożsamości – wyglądałaby inaczej. W cieniu jego monumentalnej filmografii spoczywa gigantyczne, liczące blisko 250 projektów, archiwum dzieł niezrealizowanych.

Według wyliczeń historyków na każdy ukończony film przypada średnio pięć pomysłów, które utknęły w szufladach, rozbijając się o zakazy cenzury, niedoinwestowanie lub tragiczne zrządzenia losu. W katalogu tej historii niebyłej jest i różewiczowska „Kartoteka", i rozgrywające się w realiach PRL-u „Wesele". Są biografie Adama Mickiewicza, Edwarda Stachury, Henryka Sienkiewicza, Fryderyka Chopina, a także m.in. wizjonerskie, osadzone w realiach okupowanego Heidelbergu „Jądro ciemności". Wszystkie te niepowstałe obrazy tworzą alternatywny testament artysty.

Filmową obsesją Wajdy (planował je przez cztery dekady) pozostaje „Przedwiośnie". Reżyser widział w powieści Stefana Żeromskiego lustro, w którym przeglądały się kolejne polskie kryzysy i nadzieje – od politycznej odwilży, poprzez karnawał Solidarności, aż po bolesną transformację ustrojową lat 90. Pierwsza próba przeniesienia dylematów ideowych z lat 20. na grunt Polski Ludowej czasów małej stabilizacji została uznana za antysowiecką prowokację polityczną. Każde z czterech kolejnych podejść do realizacji było próbą aktualizacji problematyki szklanych domów i konfrontacji z marzeniami o Polsce, mającej być emanacją naszych tęsknot.

Wajda wierzył, że sfilmowanie losów Baryki – wiecznego kontestatora i poszukiwacza idei – pozwoli mu domknąć cykl narodowych dramatów i nadać im ostateczny, uniwersalny sens. Być może jednak właśnie ten przytłaczający ciężar istotności oraz brak aktora o odpowiednim ładunku szaleństwa sprawiły, że projekt na zawsze musiał pozostać w jego wyobraźni. Poddał się dopiero, gdy dowiedział się, że nad własną adaptacją „Przedwiośnia" pracuje Filip Bajon (film ten wszedł do kin w 2001 r.).

Sądząc po emocjonalnej intensywności, z jaką w „Notesach" Mistrz wspomina Andrzeja Wróblewskiego, prawdopodobnie jego największym pragnieniem było utrwalenie postaci i twórczości genialnego, przedwcześnie zmarłego malarza, który zdefiniował wyobraźnię pokolenia Kolumbów. I samego Wajdy. Reżyser uważał moment zobaczenia pierwszego „Rozstrzelania" za formatywny. To pod wpływem tego obrazu uznał, że wszystko, co sam chciałby namalować, zostało już przez Wróblewskiego wyrażone w sposób niedościgniony, co skłoniło go do porzucenia malarstwa na rzecz filmu.

Obaj artyści przyjaźnili się i studiowali razem w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Byli członkami Grupy Samokształceniowej, a Wajda przez lata

© ARCHIWUM MUZEUM MANGGHA

eprasa.pl f60e042159

obserwował dramatyczną walkę o poszerzanie wolności twórczej, widząc w swoim imienniku kontynuatora linii wielkich romantyków. Uważał, że obaj należą do pokolenia świadków, których obowiązkiem jest wypowiadanie się w imieniu zmarłych i pomordowanych. Malarstwo Wróblewskiego było najsilniejszym wyrazem tego zobowiązania. Fascynowała go odwaga w przedstawianiu boleśnie prawdziwej rzeczywistości powojennej.

Twórczość Wróblewskiego, zwłaszcza jego seria „Rozstrzelań", stała się bezpośrednią inspiracją dla pierwszych czterech filmów Wajdy, w których reżyser starał się zmierzyć z tymi samymi tematami wojny i śmierci. Reżyser zawsze czuł dług wdzięczności i przymierzał się do fabuły, która odda Wróblewskiemu właściwą miarę. Zdołał mu poświęcić jedynie dokumentalny szkic „Wróblewski według Wajdy" (2015 r.).

W archiwum dzieł niepowstałych można też znaleźć propozycje zaskakująco sentymentalne, choćby dwa bliźniaczo podobne melodramaty o głodzie miłości: „Blokowisko" oraz „Armelle" (adaptacja opowiadania Ireneusza Iredyńskiego). Punkt wyjścia wydaje się ten sam. Aktor poznaje kobietę mieszkającą na nowo wybudowanym osiedlu. Po wspólnie spędzonej nocy mężczyzna wymyka się rano po zakupy, lecz nie może wrócić do ukochanej, gdyż gubi się w labiryncie identycznie wyglądających budynków.

Wajda widział w tym temacie ogromny potencjał na opowieść o pogoni za idealną miłością, co może budzić skojarzenia ze słynną trylogią Richarda Linklatera rozpoczętą filmem „Przed wschodem słońca". W rolach kochanków reżyser chciał obsadzić francuską aktorkę Marinę Vlady i rosyjskiego barda Włodzimierza Wysockiego. Projekt upadł po śmierci Wysockiego w 1980 r. W „Armelle" w rolach głównych mieli wystąpić Andrzej Seweryn i Małgorzata Braunek, jednak Telewizja Polska, będąca producentem, zdecydowała się wówczas na realizację innego scenariusza – „Brzeziny".

Wajda nie był entuzjastą sportu, jednak spodobało mu się opowiadanie Janusza Głowackiego „Mecz" – satyra na mechanizmy rządzące środowiskiem piłkarskim napisana w 1976 r., w okresie legendarnych sukcesów polskiej reprezentacji pod wodzą Kazimierza Górskiego. O intrygach działaczy, podejmowaniu decyzji, zależnościach politycznych i ekonomicznych oraz twardej grze ambicji, korupcji i konfliktów interesów toczącej się za kulisami fikcyjnego meczu Polska–Holandia. Głowacki przeplata komedię z elementami tragifarsy, łączy groteskowy humor z głębszą refleksją moralną, by odbić się od absurdów współczesnego sportu i skierować uwagę na polityczną manipulację, relacje władzy i prestiżu. Wajda dostrzegł w tym coś więcej niż dowcipny materiał na bieżący komentarz społeczny.

Reżyserski egzemplarz „Meczu" oraz inne wybrane zapiski i fragmenty scenariuszy niezrealizowanych filmów Wajdy można oglądać w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha na przygotowanej przez Krystynę Zachwatowicz-Wajdę wystawie „Wajda. W stulecie urodzin". Patronat nad nią objął Totalizator Sportowy. ■

REKLAMA

ORGANIZATORZY:
WSPÓŁFINANSOWANIE:

eprasa.pl f60e042159

Muzyka różnych odmian metalu i hard rocka stała się zjawiskiem wielopokoleniowym, a tegoroczna wiosna to najlepszy moment, żeby to sprawdzić.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Dla każdego coś ciężkiego

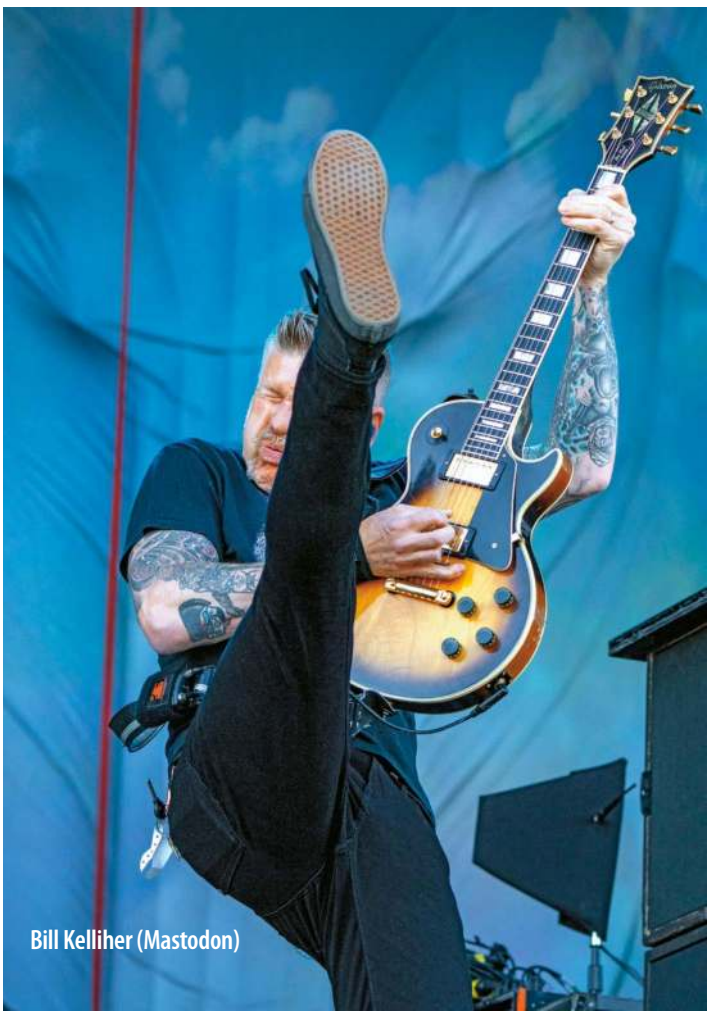

Bill Kelliher (Mastodon)

Slash (Guns N'Roses)

© GORM KALLASTAD/NTB/PAP, RAY GARBO/REX/EAST NEWS, ERIN O'BRIEN, STUDIO C

Tylko najbardziej niezorientowani słuchacze postrzegają dziś metal jako artystyczną niszę. Już dawno przedostał się do szerokiej świadomości, o czym świadczyć mogą choćby komercyjne sukcesy Behemotha czy występy nominowanej do Paszportu POLITYKI Furii w „Weselu" Jana Klaty na deskach Narodowego Starego Teatru w Krakowie. Także kojarzenie metalowych koncertów z przemocą to już kwestia subkulturowej prehistorii, a agresja w muzyce nie przekłada się na agresję pod sceną. Dwu-, a nawet trzypokoleniowe rodziny na festiwalach nie są wcale rzadkością – szczególnie gdy w składzie imprezy obok szanowanych klasyków, grających już czwartą czy piątą dekadę, pojawiają się młodzi gniewni, czasem eksperymentalnie łączący metal z innymi gatunkami muzycznymi, a kiedy indziej odwołujący się wprost do jego korzeni z lat 70.

A dla fanów ciężkiego grania we wszystkich jego odmianach nastały złote czasy. Mnogość koncertów klubowych latem zostaje uzupełniona bogatą ofertą festiwalową. Tylko w czerwcu odbędą się cztery mniejsze i większe imprezy, na których tempo zabawie będą nadawać gitarowe riffy i perkusyjne blasty, a sporą publiczność zgromadzą także występy gigantów takich jak **Metallica** (19 maja, Chorzów). **Guns N'Roses** (4–6 czerwca, Gliwice) czy **Tom Morello** (dawny gitarzysta Rage Against The Machine zagra w Warszawie 9 czerwca).

Jak co roku uderzeniową dawkę metalu szykuje **Mystic Festival** (3–6 czerwca, Stocznia Gdańska). Ponad 90 zespołów na pięciu scenach, od największych gwiazd – takich jak Megadeth, Behemoth, Anthrax czy Mastodon – po wykonawców, którzy na scenie pojawili się całkiem niedawno, ale z pewnością warto na nich zwrócić uwagę (Neckbreakker, Knife Bride, Escuela Grind). Gdański festiwal zapewnia też pełen przekrój gatunkowy, od metalu w bardziej przebojowym, komercyjnym wydaniu,

eprasa.pl f60e042159

po jego najbardziej ekstremalne odmiany (black, death, grindcore). A że Mystic jest bardzo eklektyczny, to w line-upie pojawiają się także wykonawcy niekoniecznie grający głośno i agresywnie, choć dobrze czujący się w metalowym towarzystwie: francuski projekt synthwave'owy Carpenter Brut, raper Kent Osborne, jazzowe Ciśnienie czy brytyjska wokalistka A.A. Williams zapewnią uczestnikom festiwalu jeszcze większą muzyczną różnorodność.

Nazwa **Lost Generation Festival** (16 czerwca, Kraków) może przywoływać literackie skojarzenia ze straconym pokoleniem, ale to impreza dla tych, którzy tęsknią za przełomem lat 90. i zerowych w przebojowo-rockowym wydaniu. Zaproszone do Krakowa gwiazdy przypomną słuchaczom czasy, gdy niszowe zespoły zaczęły odkrywać, że jest także masowa publiczność, która lubi czasem pokiwać głową w rytmie nieco ostrzejszej muzyki (ale bez przesady). Widzów rozbujają więc m.in. fiński The Rasmus, numetalowcy z Papa Roach, a przede wszystkim pop-punkowy The Offspring.

Kolejna nowa nazwa w koncertowym kalendarzu to **Summer Punch Festival** (18–19 czerwca, Warszawa), a tu dla odmiany będą dominować zespoły młode i bardzo młode, co nie znaczy, że niedoświadczone. Choć wśród gości pojawi się nieco weteranów gitarowego grania – m.in. popularne przed laty P.O.D. oraz Three Days Grace – oraz zespołów młodszych, ale już bardzo popularnych, jak Palaye Royale, to spora część zespołów zabrzmi świeżo i unikatowo. Od j-popowej grupy Man with a Mission, poprzez wściekły brytyjski elektroniczny duet Wargasm, aż po deathcore'owy Paleface Swiss: warto posłuchać, co dziś interesuje metalową młodzież.

I na koniec miesiąca jeszcze jeden nowy festiwal: **Hells Bells** (26–27 czerwca, Szczecin). Sama nazwa, zapożyczona od płyty AC/DC, sugeruje, że to wydarzenie raczej dla fanów klasyki, za to w bardzo różnorodnym wydaniu: od death metalu (Vader, Possessed) po punk rock (Dezerter, Discharge, Cockney Rejects), choć będą też zespoły o pokolenie młodsze, jak choćby Furia. Jednak wiek nie jest tu żadną przeszkodą, może na scenie staną weterani, ale zdecydowanie młodzi duchem. Wystarczy posłuchać nowej płyty Dezertera „Wolny wybieg", żeby się o tym przekonać.

Wśród tych fantastycznie zapowiadających się imprez jest jeszcze jedna, przed którą warto przestrzec. **Impact Festival** przed laty był wielką marką, a na imprezie grali giganci pokroju Slayera, Aerosmith czy Rammsteina. Reaktywacja po latach zapowiada się jednak na kapiszon. Okrojony do jednego dnia i zaledwie trójki wykonawców Impact (3 czerwca, Kraków) jest festiwalem tylko z nazwy, na dodatek headlinerem będzie cokolwiek przebrzmiała gwiazda, czyli Limp Bizkit. Lider zespołu Fred Durst kilka lat temu wychwalał Putina (ówczesna żona wokalisty była Rosjanką, co tłumaczy go jednak w stopniu minimalnym), a na scenie pokazywał się z transparentem sugerującym, że Krym jest rosyjski. I choć od kilku lat nie zabiera głosu w sprawach międzynarodowej polityki, dawne wypowiedzi nie wystawiają mu dobrego świadectwa. W Estonii stały się nawet przyczyną odwołania koncertu Limp Bizkit. W Polsce się na to nie zanosi, ale na szczęście kto chce posłuchać mądrzejszego (a już na pewno lepszego pod względem artystycznym) metalu, ma mnóstwo innych możliwości. ■

Dialog zaoczny

Podwójny jubileusz Davisa i Coltrane'a świętujemy w tym roku także w Polsce, dokładniej: we Wrocławiu.

Wrocławski Jazz nad Odrą to jeden z najstarszych festiwali jazzowych w Polsce. Kiedy w 1964 r. odbywał się po raz pierwszy, jeszcze bez wielkich zagranicznych gwiazd, Miles Davis ściągał właśnie do swojego kwintetu Wayne'a Shortera, a John Coltrane był tuż przed sesjami „A Love Supreme". Obaj należeli nie tylko do największych gwiazd całej generacji, ale pracowali na opinię najwybitniejszych liderów w historii jazzu. Miles uważał Coltrane'a za geniusza porównywalnego z Charliem Parkerem. Coltrane twierdził, że Davis poszerza granice jazzu. Wspólnie grali ze sobą w drugiej połowie lat 50., co dokumentują m.in. płyty „Milestones" czy „Kind of Blue".

Ślady muzyki wybitnego trębacza i wielkiego saksofonisty słychać dziś wszędzie. Szczególnie w tym roku, kiedy obchodzimy kolejno – w maju i we wrześniu – setne rocznice urodzin jednego i drugiego z muzyków. Tylko co mają wspólnego Davis i Coltrane z programem tegorocznej edycji Jazzu nad Odrą? Otóż dojdzie tu do ich spotkania na poziomie czysto symbolicznym. 64-letni **Terence Blanchard**, wielka gwiazda współczesnej trąbki, od młodości chciał być jak Davis i zyskał nawet aprobatę samego Milesa. Mieli okazję się poznać, choć nigdy nie zdążył z nim współpracować. Z kolei 60-letni saksofonista **Ravi Coltrane** – syn Johna z jego związku z Alice Coltrane – nie może pamiętać swojego ojca, który zmarł, gdy Ravi miał niecałe dwa lata. Syn wychował się jednak na jego muzyce i dziś wydaje się jego naturalnym reprezentantem.

Obaj pojawią się w finale tegorocznej edycji Jazzu nad Odrą na scenie Impart Centrum w projekcie „Miles/Coltrane Legacy". Hołdów dla obu wielkich jazzmanów będzie w tym roku więcej, ale trudno dziś o bliższą perspektywę niż ta. BCH

Jazz nad Odrą, Wrocław, 22–26 kwietnia

eprasa.pl f60e042159

Daniel Lopatin na sukcesy komercyjne czekał latami. W muzyce miał długo niszową publiczność, ale po wejściu do kina znają go masy.

Oszlifowany diament

BARTEK CHACIŃSKI

Kilkanaście lat temu Daniel Lopatin przyjeżdżał do Polski jako postać muzycznej awangardy. Występował w kompletnym mroku w dawnej fabryce kosmetyków na krakowskim Unsoundzie, a potem grał w tamtejszej gigantycznej Hali Ocynowni ArcelorMittal swoją przeróbkę utworu Lutosławskiego dla miłośników muzyki współczesnej podczas festiwalu Sacrum Profanum. Dziś, ciągle pod szyldem Oneohtrix Point Never, zagra swoją muzykę elektroniczną rodem jakby z lat 70. i 80. na osobnym, autorskim koncercie w warszawskiej Stodole. Ale będzie tu witany bardziej jak gwiazda niż kiedykolwiek dotąd. Co się zmieniło?

W muzyce samego Lopatina – niezbyt wiele. Urodzony w 1982 r. w Bostonie, w rodzinie umuzykalnionych rosyjskich emigrantów żydowskiego pochodzenia, od dzieciństwa miał do dyspozycji syntezatory ojca. I sprzęt mniej więcej w jego wieku – syntezatory przełomu ery analogowej i cyfrowej – towarzyszy mu do dziś. A jego muzyka kojarzy się z powidokami z dzieciństwa, z kolorowej, lecz nieco rozmazanej rzeczywistości taśm VHS, starej telewizji czy gier wideo. Przełomowa płyta „Rifts" (2009 r.) niosła archaiczną muzykę syntezatorową, „Replica" (2011 r.) – wycięte i zmiksowane motywy z reklam z lat 80. Na innych słychać było też fascynację muzyką z gier wideo. Ta bazująca na sentymentach działalność nie miała w sobie nic przebojowego, ale do tego stopnia trafiła w kiełkującą modę, że po kilku latach o współpracę z Lopatinem zabiegały gwiazdy takie jak The Weeknd czy Charli XCX, a on sam mógł zaprosić na swoje albumy Jamesa Blake'a czy Rosalíę. Ale to tylko połowa tej historii. OPN mógłby zostać producentem pracującym dla gwiazd i schować się za ich plecami, tymczasem zaczął zdobywać publiczność filmową.

Kino było dla niego ważną inspiracją muzyczną od początku. Przede wszystkim motywy syntezatorowe Johna Carpentera, reżysera popularnych horrorów i thrillerów („Coś", „Ucieczka z Nowego Jorku", „Halloween"), którego z czasem doceniono także jako kompozytora. Lopatin przeniósł się zresztą do Nowego Jorku, by studiować scenariopisarstwo, a już po pierwszych muzycznych sukcesach mówił jasno, że interesuje go opowiadanie historii dźwiękiem. „Moja muzyka może być strukturalnie filmowa, nie będąc przy tym ścieżką dźwiękową" – chwalił się na łamach magazynu „The Wire" 13 lat temu.

Niedługo później poznał Josha Safdiego, tworzącego z bratem Bennym opisywany niedawno na naszych łamach (POLITYKA 5) filmowy duet. Josh opowiadał „New Yorkerowi", jak przypadkiem trafił na muzykę Lopatina, pracując w sklepie z płytami DVD na Manhattanie, po czym zapragnął go poznać: „Okazał się bardzo głębokim człowiekiem, u którego każde słowo mogło być żartem". Bo Lopatina interesuje połączenie tego, co bystre i mądre z dowcipem (jedna z jego ulubionych książek to „Doskonała próżnia" Stanisława Lema). Jego muzyka znalazła się w przełomowym, dobrze przyjętym przez krytykę i publiczność filmie „Nieoszlifowane diamenty". Pasowała też do kolejnych filmów Safdich, włącznie z „Wielkim Martym" Josha, za którego fantastyczny soundtrack Lopatin zebrał garść nominacji do prestiżowych nagród.

To kolejny przypadek, gdy kino robi z niszowego twórcy bohatera masowej wyobraźni. Tak było z Hildur Guðnadóttir – awangardową wiolonczelistką z Islandii, nagrodzoną Oscarem za muzykę do „Jokera". Albo z Danielem Blumbergiem (zeszłoroczny Oscar za „Brutalistę"), znanym z kręgów muzyki improwizowanej skupionych wokół londyńskiego Cafe OTO. Podobnie z Jerskinem Fendrixem, też bywalcem Cafe OTO, który był nominowany do Oscara w tym roku za muzykę do „Bugonii". Nieoszlifowane talenty niszowych scen regularnie wygładza sukces kinowy.

Oneohtrix Point Never, Stodoła, Warszawa, 12 kwietnia

© AIDAN ZAMIRI

eprasa.pl f60e042159

TOTALIZATOR SPORTOWY

7 LAT

NAJWIĘKSZY MECENAS KULTURY I SPORTU W POLSCE

#GramyDlaKultury

www.prasa.pl f60e042159

Dumna z orkiestry

DOROTA SZWARCMAN

Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia ma 90 lat. Nie wygląda na tyle, ale gra, jakby robiła to od wieku – komplementuje dyrektorka artystyczna Marin Alsop.

Pierwszy występ pierwszej polskiej radiowej orkiestry odbył się 2 października 1935 r. Założył ją wybitny dyrygent Grzegorz Fitelberg. Powstała w Warszawie, ale po drugiej wojnie światowej reaktywowano ją w Katowicach i tu działa do dziś. Jubileusz 90-lecia przypadł więc na ubiegły rok, ale obchody trwają przez cały sezon. Przed nami jego druga połowa, w której najważniejszy będzie festiwal Kultura Natura (14–24 maja).

Powstał w 2015 r. z inicjatywy znakomitego kompozytora Eugeniusza Knapika, wówczas rektora katowickiej Akademii Muzycznej, i ówczesnego dyrektora artystycznego NOSPR Alexandra Liebreicha. Współorganizatorem jest powstałe w tym celu Stowarzyszenie Katowice Kultura Natura, grupujące czołowych miejscowych muzyków. To oni stoją za stroną programową, co roku bardzo atrakcyjną i nawiązującą do określonego hasła.

W tym roku będzie to „Melancholia i ekstaza". Marcin Trzęsiok, muzykolog współodpowiedzialny za program, tłumaczy, o co chodzi: „Człowiek nowoczesny, podważając wiarygodność dawnych porządków metafizycznych, chce wypowiedzieć i zrozumieć prawdę własnego doświadczenia. Jego istotą jest niepewność: wewnętrzne wahadło nieustannie porusza się pomiędzy biegunami rozpaczy i nadziei, niebem chmurnym i niebem czystym, melancholią i ekstazą. Festiwal Katowice Kultura Natura zapuszcza sondę w głąb tego doświadczenia, prezentując szerokie spektrum utworów, stylów i epok: od Monteverdiego do klasyków współczesności".

W ramach festiwalu wystąpią gwiazdy pianistyki (Alexandre Tharaud i Dmytro Choni), skrzypiec (Arabella Steinbacher, Johan Dalene) i kameralistyki – La Venexiana z dziełami wspomnianego Monteverdiego, Modigliani Quartet w bardzo zróżnicowanym programie oraz czołowy zespół muzyki współczesnej Klangforum Wien. Z orkiestr, obok gospodarzy, na finał festiwalu zagra Deutsche Radio Philharmonie Saarbrücken Kaiserslautern.

Koncert inauguracyjny poprowadzi dyrektorka artystyczna i pierwsza dyrygentka orkiestry Marin Alsop. Tę wybitną postać świata muzycznego NOSPR pozyskała od sezonu 2023/24. Równolegle stoi ona na czele wiedeńskiej orkiestry radiowej, dyryguje licznymi zespołami na świecie i prowadzi festiwale (m.in. Ravinia Festival w Chicago). To pierwsza kobieta, która zaczęła przebijać szklany sufit w swojej dziedzinie; w NOSPR na tym stanowisku jest również pierwszą kobietą, choć zespół miał już dwie dyrektorki naczelne.

Pomaga też młodym koleżankom po fachu. – *Założyłam Taki Alsop Conducting Fellowship, aby stworzyć dla aspirujących dyrygentek więcej możliwości zdobywania doświadczeń na ich instrumencie, czyli orkiestrze. Obecnie w społeczności TACF mamy 92 dyrygentki, które bardzo się nawzajem wspierają* – opowiada. Wśród stypendystek znalazło się pięć Polek: kolejno Marzena Diakun, Barbara Dragan, Marta Gardolińska, Anna Sułkowska-Migoń i Anna Duczmal-Mróz. – *To silne i utalentowane dyrygentki. Bardzo różnią się od siebie, ale wszystkie są niezwykle kompetentne.*

Z NOSPR zetknęła się już wcześniej i to muzycy orkiestry, którym praca z nią bardzo się spodobała, zabiegali o stałą współpracę. – *Od początku czułam, że pracuję z muzykami pełnymi pasji, działającymi w zespole o wielkiej historii i tradycji. To pierwsze wrażenie z czasem tylko się pogłębiło* – mówi Alsop. I dodaje: – *Jednym z najbardziej radosnych dla mnie rezultatów pracy z NOSPR jest odkrycie skarbnicy muzyki polskiej. To bogaty i wyjątkowy repertuar, którego poznanie to prawdziwy zaszczyt.*

Na inauguracji festiwalu poprowadzi m.in. Toccatę Bolesława Szabelskiego. Alsop jest entuzjastką muzyki XX i XXI w.; chętnie prowadziła też koncerty na innej imprezie NOSPR – Festiwalu Prawykonań. W dniu jubileuszu, składając życzenia orkiestrze w krótkim filmiku, powiedziała: „Wcale nie wyglądacie na 90 lat, ale gracie, jakbyście robili to przez cały wiek. Jestem bardzo dumna z orkiestry". ■

© GRZESIEK MART, KAROLINA JÓŹWIAK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f60e042159

Purcell i Mozart

Polska Opera Królewska w 410. rocznicę śmierci Szekspira wystawia bazującą na jego dziele maskę Henry'ego Purcella „The Fairy Queen".

Maska to gatunek z czasów baroku, specyficznie angielski – spektakl łączący śpiew, taniec, pantomimę i tekst deklamowany, będący na Wyspach Brytyjskich odpowiednikiem opery. Purcell był najwybitniejszym twórcą w tej dziedzinie, a „The Fairy Queen" to jedno z największych jego arcydzieł. Nazywana jest również semioperą, jest też postrzegana jako muzyka incydentalna do „Snu nocy letniej" – fragmenty mówione pochodzą z niego, natomiast we fragmentach wokalnych (zwanych maskami) nie został wykorzystany tekst Szekspira, niekoniecznie też związane są z treścią główną. Ale tytułowa królowa wróżek to szekspirowska Tytania.

W spektaklu Polskiej Opery Królewskiej, który zostanie pokazany w Teatrze Królewskim w Łazienkach, będzie trochę inaczej, choć oczywiście przy treści szekspirowskiej pozostaniemy. Za inscenizację wraz ze scenografią i projekcjami odpowiedzialna będzie Kamila Siwińska, która wcześniej na tej scenie wyreżyserowała trzy dzieła Benjamina Brittena („Małego kominiarczyka", „Gwałt na Lukrecji" i „Dokręcanie śruby"). Stronę dramaturgiczną przygotowała Małgorzata Sikorska-Miszczuk, która podkreśliła w akcji elementy psychologiczne: toksyczną miłosną zależność, siły pożądania, manipulację. Wśród solistów znajdą się czołowe głosy związane z Polską Operą Królewską (z Olgą Pasiecznik na czele), a muzycznie poprowadzi całość Krzysztof Garstka. Niestety w tym sezonie odbędą się tylko dwa przedstawienia, 25 i 26 kwietnia, ale spektakl zapewne będzie powracał.

Drugą premierą drugiej połowy sezonu będzie „Le nozze di Figaro" Wolfganga Amadeusza Mozarta, którym 19 czerwca, również w Teatrze Królewskim, POK zainauguruje swój tegoroczny, dziewiąty już letni festiwal. O tym spektaklu na razie wiadomo mniej, ale z pewnością będzie olśniewał dowcipem, bo reżyserka Jitka Stokalska, mistrzyni w dziedzinie opery komicznej, jest we wspaniałej formie, czego dowiodła uroczą premierą „Il signor Bruschino" Rossiniego. Na letnim festiwalu, poza „Le nozze di Figaro", odbędą się jeszcze po dwa spektakle „Così fan tutte" i „Don Giovanniego" oraz inscenizowana wersja koncertowa „Die Zauberflöte" w ramach festiwalu Centralny Plac Muzyki. DS

Bohaterowie gitary

Cavatina Guitar Festival łączy w jednej sali gitarzystów wszelkich stylistyk.

„Bohater gitary to zawsze bohater gitary" – mawiał Alan Licht, awangardowy gitarzysta z Nowego Jorku. Niezależnie od tego, czy gra flamenco, death metal, jazz czy rocka. I podobnie spoglądają na to twórcy Cavatina Guitar Festival w Bielsku-Białej, proponując hasło: „Wszystkie oblicza gitary. Jeden festiwal". Rzecz jest inicjatywą nową (odbyły się dotąd dwie edycje), ale zbudowaną na solidnych podstawach. Po pierwsze, zainteresowanie tym instrumentem od czasu pandemii znowu rośnie. Po drugie, polscy gitarzyści w wielu muzycznych stylistykach należą do absolutnej światowej czołówki. Tak jest z bohaterem tegorocznej edycji CGF, klasycznym gitarzystą i wykładowcą Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie Mateuszem Kowalskim. Niedawno nominowanym

do Grammy za album „Slavic Sessions" (wspólnie ze Słoweńcem Makiem Grgiciem), chwalonym przez „Classical Guitar Magazine" i na łamach POLITYKI. Dzięki nominacji do Grammy udało mu się – jak mówił w wywiadzie dla „Ruchu Muzycznego" – dotrzeć do szerokiego grona odbiorców". „Przewija się przy tym informacja, że Polska słynęła w XIX w. ze świetnych gitarzystów i kompozytorów piszących na ten instrument" – dodawał Kowalski, który jest przy tym ambasadorem dawnej polskiej muzyki gitarowej.

Współczesną polską scenę na tegorocznej edycji bielskiego festiwalu reprezentować będą liderzy piszący piosenki na zespoły, w których gitara stanowi po prostu ważny środek wyrazu: Artur Rojek (wystąpi w towarzystwie Cavatina Philharmonic Orchestra) i tworzący jako Cinnamon Gum Maciej Milewski. Z Francji przyjedzie do nas **Asaf Avidan**, również twórca ekspresyjnych piosenek z pogranicza rocka i folku, który śpiewa i akompaniuje sobie na gitarze, akustycznej lub elektrycznej. Z Wielkiej Brytanii – uwielbiany w Polsce zespół Archive. Z Austrii – Cari Cari, świeże odkrycie, gitarowo-perkusyjny duet nieco przypominający surowością koncepcji The White Stripes. Wszystko to wpisze się w program Bielska-Białej jako Polskiej Stolicy Kultury 2026. BCH

Cavatina Guitar Festival, Cavatina Hall, Bielsko-Biała, 23–24 maja

eprasa.pl f60e042159

WINIARY BOOKINGS PREZENTUJE

KUPUJ BILETY NA:
WINIARYBOOKINGS.PL
ORAZ W SIECIACH SPRZEDAŻY:
GOING. / EMPIK BILETY / EVENTIM / EBILET / TICKETMASTER

ANTYRADIO
PATRONEM WYBRANYCH KONCERTÓW JEST ANTYRADIO

REKLAMA

Świat na krawędzi

Musicalom o dwudziestoleciu międzywojennym nie patronuje dziś nostalgia, tylko strach przed wojną i faszyzmem.

ANETA KYZIOŁ

„**Witkacja. Wodewil na krawędzi**" w reż. Ceziego Studniaka z Teatru Rampa w Warszawie to śpiewany i tańczony portret Stanisława Ignacego Witkiewicza. Nietypowy, bo głównie w wykonaniu kobiet. Matka artysty, jego żona, kochanki i muzy zbierają się na symbolicznym pogrzebie Witkacego, by w piosenkach czerpiących z muzycznych estetyk epoki międzywojnia przedstawić swoje racje, wylać żale, pokazać ciemne strony geniusza i relacji z nim. Spektakl (libretto i piosenki Karolina Felberg-Pawłowska i Roman Pawłowski-Felberg, muzyka Grzegorz Rdzak) powstał z okazji 140. rocznicy urodzin S.I. Witkiewicza i 50-lecia Rampy, dostarcza sporo wiedzy o bohaterze i jego sztuce, ale perspektywa jest współczesna. Od odzyskiwania głosu przez kobiety, po najważniejszą – odzwierciedloną już w tytule – kwestię świata na krawędzi.

Akcja wraca do Warszawy lat 30. XX w., która bawi się, próbując nie myśleć o nadciągającej wojnie. A gdy jest już za późno, gorączkowo się pakuje i zastanawia, dokąd uciec. Najbardziej przejmujące sceny spektaklu dzieją się w wagonie – przywołują niedawne obrazy pociągów z Ukrainy przywożących na nasze dworce uchodźców wojennych. We wrześniu 1939 r. kierunek ucieczki był odwrotny: Witkacy z Czesławą Oknińską jadą na Wschód. W Jeziorach Wielkich na ukraińskim dziś Polesiu artysta popełni samobójstwo na wieść o inwazji Armii Czerwonej na Polskę. A ostatnią kobiecą bohaterką „Witkacji" jest Ukrainka.

Musicali wracających do międzywojnia i początku drugiej wojny światowej jest dziś więcej. Widać nie tylko premier Donald Tusk uważa, że „żyjemy w czasach przedwojennych". Najnowszy to „Starzyński", wystawiony w warszawskim Teatrze Syrena przez Konrada Imielę na podstawie biografii autorstwa nagrodzonego Paszportem POLITYKI Grzegorza Piątka. Akcja dzieje się od wieczora 26 października 1939 r. do rana dnia następnego, czyli w ostatnich godzinach spędzonych przez prezydenta stolicy, symbol niezłomnej postawy podczas okupacji, w ratuszu przed aresztowaniem przez Niemców.

W tej samej Syrenie tuż po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę premierę miała „Piplaja", kameralny musical poświęcony tym razem Stefanii Grodzieńskiej (1914–2010), napisany i wyreżyserowany przez Joannę Drozdę z muzyką Tomasza Filipczaka. Biografia mistrzyni satyry obyczajowej i współzałożycielki Teatru Syrena rymowała się z aktualnym kontekstem wybuchu wojny, ale też cenzorskich rządów PiS, przywołujących dokonania polityków sanacyjnych i PRL-owskich oraz walki z agresorem i strachem za pomocą humoru, kiedyś kabaretowego, dziś memów.

Do międzywojnia i drugiej wojny wrócił też w autorskim musicalu „Pilocí" Wojciech Kępczyński (premiera w 2017 r.). Spektakl w Teatrze Muzycznym Roma był hołdem złożonym braciom babci reżysera, walczącym w powietrznej bitwie o Anglię, i miał wielki rozmach. Najwięcej inscenizacji w ostatnich latach doczekał się za to musicalowy klasyk „Cabaret" (libretto Joe Masteroff, muzyka John Kander, piosenki Fred Ebb) o narodzinach nazizmu (choćby: w warszawskim Dramatycznym w reż. Eweliny Pietrowiak, w chorzowskiej Rozrywce w reż. Jacka Bończyka, w krakowskim Teatrze STU w reż. Krzysztofa Jasińskiego czy w poznańskim Teatrze Muzycznym w reż. Łukasza Brzezińskiego). Pierwsze teatralne wzmożenie wywołał wzrost nacjonalistycznych i antysemickich nastrojów za rządów PiS, dziś kolejne produkcje odwołują się do rosnącego poparcia dla Konfederacji i kibolstwa. ■

© MAREK ZIMAKIEWICZ, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl f60e042159

Silesius wraca

Wśród gości 11. edycji wrocławskiego festiwalu literackiego zobaczymy m.in. Serhija Żadana.

W maju czeka nas 11. odsłona Międzynarodowego Festiwalu Poezji Silesius we Wrocławiu, Mieście Literatury UNESCO, a organizowana jest przez Wrocławski Dom Literatury, z główną sceną w postaci klubu Proza. Tegorocznym hasłem będzie „Konflikt", a gościem honorowym – Słowenia. Do programu wraca Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius.

Festiwal Silesius jak co roku stanie się miejscem ciekawych dyskusji i premier poetyckich. Czeka na nas choćby debiut poetycki nagrodzonego Paszportem POLITYKI Jula Łyskawy. Zaplanowane są dyskusje wokół antologii – te w ostatnich latach zdają się ukazywać niczym grzyby po deszczu. Skąd ten trend? O to pytać będziemy m.in. Piotra Śliwińskiego, Olę Kołodziejek czy Jakuba Kornhausera. Sztuczna inteligencja w poezji? Wiemy już, że to nie przyszłość, lecz teraźniejszość. Wrocław pamięta też o zmarłej w 2025 r. Urszuli Kozioł – w programie pojawią się czytania jej poezji, przewidziane jest także odsłonięcie muralu upamiętniającego poetkę. Pamięta wreszcie o Rafale Wojaczku – turniej poetycki imienia poety to już nieodzowny element festiwalu.

Nagroda Silesius wręczona zostanie po raz 19. W sobotę 23 maja poznamy nazwiska osób nagrodzonych w kategoriach debiut i książka roku; wcześniej, bo już w kwietniu, ogłoszone zostanie nazwisko poety bądź poetki, który otrzyma Silesiusa za całokształt pracy twórczej (wtedy poznamy też nominacje). Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius pod względem finansowym pozostaje najwyższym wyróżnieniem w Polsce – w puli znajduje się 205 tys. zł (w tym 100 tys. zł dla laureata/laureatki nagrody za całokształt).

Od 2019 r. Wrocław jest członkiem Sieci Miast Kreatywnych UNESCO jako Miasto Literatury. Wspólnie z partnerami z Lublany wybrano trzy słoweńskie poetki: Anje Zag Golob (poetkę, tłumaczkę, publicystkę oraz współzałożycielkę i redaktorkę naczelną wydawnictwa VigeVageKnjige), Ninę Dragičević (poetkę i kompozytorkę, współredaktorkę magazynu literackiego „Idiot") oraz Anę Pepelnik (poetkę, tłumaczkę z języka angielskiego i performerkę związaną z lublańskim środowiskiem literackim i muzycznym), które w maju odwiedzą Wrocław. W ramach pasma słoweńskiego odbędą się też warsztaty skierowane do osób tłumaczących na język polski poezję słoweńską. Będzie dyskusja wokół antologii „Literatura na uchodźstwie" z udziałem autorek i autorów, którzy musieli uciekać z własnych krajów i – dzięki Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia ICORN – znaleźli bezpieczną przystań w polskich miastach wchodzących w skład sieci (w Krakowie, Gdańsku i we Wrocławiu).

Kolejnym międzynarodowym akcentem tej edycji Festiwalu Silesius będzie konferencja naukowa organizowana przez Wydziały Filologii i Neofilologii Uniwersytetu Wrocławskiego, której Festiwal i Wrocławski Dom Literatury będą partnerami. Związana ona będzie z przyznaniem przez uczelnię doktoratu honoris causa ukraińskiemu poecie i pisarzowi Serhijowi Żadanowi. Z tej okazji we Wrocławiu pojawi się nie tylko sam nagrodzony, ale też inne postacie z kręgu literatury ukraińskiej. JSOB

11. Międzynarodowy Festiwal Poezji Silesius, Wrocław, 17–24 maja

REKLAMA

62 jazz nad odrą
22—26.04.2026

BILETY NA JAZZNADODRA.PL I STREFAKULTURY.PL

BARTOSZ PERNAL ORCHESTRA FEAT. BOB MINTZER
NEW WORLD QUARTET STANKIEWICZ, OLESZKIEWICZ, SMOCZYŃSKI, CINELU
LARS DANIELSSON
PETER ERSKINE QUARTET
MICHAŁ BARAŃSKI
MICHAEL MAYO
PATRICK BARTLEY QUARTET
LEO RICHARDSON QUARTET FEAT. ALEX GARNETT
LAWRENCE CLARK QUINTET
GONZALO RUBALCABA TRIO
DOROTA PIOTROWSKA & SOUND CIRCLE FEAT. GREG OSBY
PABLO HELD TRIO
TERENCE BLANCHARD / RAVI COLTRANE

Strefa Kultury | JnO | Wrocław miasto spotkań

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, w ramach programu „muzyka", realizowanego przez narodowy Instytut Muzyki i Tańca

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Narodowy Instytut Muzyki i Tańca

eprasa.pl f60e042159

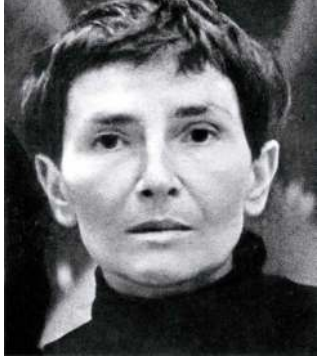

Artystka w ruchu

Warszawa – Wenecja – Monachium. Prace Marii Jaremy ruszą w tym roku w bardzo znaczące europejskie tournée.

PIOTR SARZYŃSKI

Zaczęło się dużą retrospektywą otwartą właśnie w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Jej współkuratorem został Éric de Chassey, znany francuski historyk sztuki, wieloletni dyrektor słynnej Villa Medici w Rzymie. To gwarantuje nie tylko świeże, ale też światowe spojrzenie na dorobek Jaremy. Drugim etapem będzie obecność prac artystki na słynnym weneckim Biennale Sztuk, które otworzy się na początku maja. Tu jej dzieła będą zestawione z twórczością Tadeusza Kantora, z którym się przyjaźniła, ściśle współpracowała i dla którego była – jak zapewniał – „Matką Rodu". Tę wystawę z kolei przygotowuje Fundacja Rodziny Staraków w ramach prestiżowej sekcji „Colaterale". I wreszcie na finał, dzięki wsparciu Instytutu Adama Mickiewicza, wystawa z warszawskiego MSN powędruje do monachijskiego muzeum Lenbachhaus, gdzie można ją będzie zobaczyć od września aż do kwietnia 2027 r.

Pamięć o artystce z pewnością jest dobrze pielęgnowana w Krakowie, z którym

była ściśle związana. Wzmacnia ją fakt, że brat Józef stworzył przed wojną miejscowy teatr Cricot, drugi zaś, Władysław, powołał do życia po wojnie Teatr Groteska. Z kolei mężem Jaremy był znany krakowski pisarz Kornel Filipowicz. Im jednak dalej od Wawelu, tym o niej jakby ciszej.

Drogę artystyczną zaczynała jako studentka samego Xawerego Dunikowskiego i lata przedwojenne upłynęły jej głównie na rzeźbieniu. Niewiele z tych prac zachowało się do dziś, niektóre znane są wyłącznie ze zdjęć. Maria Jarema aktywnie kreowała także ówczesne życie artystyczne. To ona współtworzyła, jeszcze przed wojną, Grupę Krakowską, współpracowała z teatrem Cricot. Mocno manifestowała swoje lewicowe poglądy polityczne; mając zaledwie 28 lat, napisała odezwę „Do artystów", współtworzyła przedstawienia teatralne dla robotników.

W 1948 r. wstąpiła do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ale rozczarowana stalinizmem podarła legitymację partyjną – co było aktem wielkiej odwagi – i udała się na emigrację wewnętrzną. Imponowała bezkompromisową postawą wobec realizmu socjalistycznego, wybierając życie bardzo skromne i wykluczające ją z artystycznego obiegu, ale zgodne z jej poglądami na sztukę i politykę.

Podczas wojny tworzyła sporo gwaszy, a po 1945 r. porzuciła rzeźbę na rzecz malarstwa. W 1949 r. opracowała własną technikę, sytuującą się na styku grafiki i malarstwa, a łączącą monotypię i temperę. To ona dawała jej najlepsze możliwości artystycznego wyrazu, podkreślała indywidualność spojrzenia na sztukę

Onirycznie i lirycznie

Radomska „Elektrownia" całkiem niedawno gościła okazałą wystawę młodego pokolenia artystów za zbiorów Wojciecha Fibaka, a teraz przyszedł czas na indywidualną wystawę jednego z najbardziej utalentowanych młodych polskich malarzy – Jędrzeja Bieńki.

Bieńko ukończył warszawską Akademię Sztuk Pięknych, ma 25 lat, a jego zawodowe CV już prezentuje się imponująco: wystawy w najważniejszych państwowych i prywatnych galeriach, nagrody i wyróżnienia. Artysta łączy dwa rzadko stosowane zabiegi formalne. Po pierwsze, maluje na niezagruntowanych płótnach, co przydaje

Jędrzej Bieńko, „Blue Flowers in the Eyes", 2025 r.

obrazom nieco zamglonego, świetlistego klimatu. Po drugie, używa aerografu, czyli rzadko stosowanego urządzenia natryskowego (choć eksperymentowali z nim choćby Wojciech Fangor i Zdzisław Beksiński, a przed nimi słynny Man Ray) dającego efekt rozmazanych konturów. Do tego dochodzi, konsekwentnie wykorzystywana, wąska paleta ziemistych barw. Łącznie wszystkie te rozwiązania doskonale odpowiadają treści obrazów Bieńki – oscylujących gdzieś w nierealnym, ale intrygującym uniwersum, w którym zacierają się granice między światem ludzi, zwierząt i roślin, żyjących w osobliwej, a niekiedy urzekającej homeostazie. P.SA

Jędrzej Bieńko, Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia". Wystawa czynna od 27 marca do 17 maja

© TADEUSZ ROLKE, SPADKOBIERCY MARII JAREMY (2), MUZEUM SZTUKI W ŁODZI, JĘDRZEJ BIEŃKO

eprasa.pl f60e042159

i oryginalność, a ostatecznie zapewniła artystyczną nieśmiertelność.

W początkach twórczości świat przedstawień kreowany przez Jaremę nawiązywał do tradycyjnej sztuki figuratywnej. Z czasem jednak coraz mocniej przesuwał się w stronę abstrakcji, przybierającej raz to bardziej geometryczne, kiedy indziej zaś biomorficzne formy. Duże znaczenie w ewolucji jej twórczości odegrały kolejne wyjazdy do Francji. Była tam trzykrotnie, w 1937, 1947 i 1956 r., a łącznie w Paryżu spędziła ponad rok. Z każdego pobytu przywoziła mnóstwo obserwacji i inspiracji rozwojem sztuki współczesnej. Nigdy jednak nie przenosiła ich bezkrytycznie do swoich prac, lecz przepracowywała je indywidualnie, na własny użytek.

Wydaje się, że tym, co artystkę fascynowało najbardziej, nie były przedmioty, a nawet nie postacie ludzkie jako takie, lecz dynamika, ruch, wibracja. Metafora tańca. O tym, jak bardzo oryginalna i osobna była jej droga artystyczna, świadczą nieskuteczne próby odnalezienia w jej twórczości konkretnych stylów i nurtów epoki. Przy okazji analizy jej prac pisano więc o ekspresjonizmie i konstruktywizmie, surrealizmie i kubizmie, a nawet o nawiązaniach do secesji. I w każdym z tych przypisań tkwi ziarno prawdy, ale też żadne nie definiuje w pełni sztuki Jaremy. Stąd bardzo trafny wydaje się tytuł stołecznej wystawy: „Pęknięty modernizm".

Rok 1958 był pierwszym, w którym jej sztuka miała okazję szeroko dotrzeć do odbiorcy. W kwietniu odbyła się retrospektywa jej dorobku w stołecznej Kordegardzie, a dwa miesiące później Jarema reprezentowała Polskę na Biennale Sztuk w Wenecji. Niestety, to był też rok jej śmierci. Po paroletniej walce z białaczką organizm skapitulował w listopadzie. Żyła zaledwie 50 lat, z czego – o czym pisał Filipowicz – pięć lat zabrała jej wojna, a kolejne sześć – stalinizm. Byłoby oczywiście dużą przesadą twierdzić, że Jarema pozostaje artystką zapomnianą. Byłoby też pewną przesadą uważać, że jej twórczość jest niedoceniona. A jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że ów dorobek zasługuje na więcej uwagi, niż mu się dotąd poświęcało. Ten rok ma szansę wiele w tym zakresie zmienić. ■

REKLAMA

eprasa.pl f60e042159

Jest bardzo dziwnie urodzić się w mieście, które 11 lat wcześniej zostało zamordowane. I ja to bardzo silnie odczuwałem – mówi Tomasz Lipiński, laureat nagrody specjalnej Kreatora Kultury podczas Paszportów POLITYKI.

Młodość była trudna

Tomasz Lipiński (ur. 1955 r.) – wokalista i gitarzysta rockowy, autor tekstów, kompozytor. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, ale rzucił studia dla kariery muzycznej. Zakładał lub współtworzył grupy Tilt, Brygada Kryzys i Fotoness. Kluczowa postać generacji, która sprowadziła na polski grunt muzykę punkrockową.

MIROSŁAW PĘCZAK: **– Ukazał się pierwszy tom twojej autobiografii „Jeszcze będzie przepięknie". Dlaczego zdecydowałeś się ją napisać?**

TOMEK LIPIŃSKI: – To było tak, że najpierw chciałem opowiedzieć tę część życia i tę część prawdy o sobie, która nie była znana. Najbardziej uwierało mnie to, że byłem postrzegany w bardzo ograniczony sposób, o wiele bardziej, niż bym sobie tego życzył, bardzo tak jednostronnie. I pomyślałem sobie, że napisanie o tych aspektach mojego życia, zwłaszcza młodego życia, mogłoby zapobiec utrwaleniu tego jednostronnie postrzeganego wizerunku. Ale jak już zacząłem, to zrozumiałem, że aby opisać te wszystkie najwcześniejsze lata, od mojego przyjścia na świat począwszy, musiałem sięgnąć do źródeł, które wcześniej mi nie były znane.

Na przykład?

Głównym źródłem były wspomnienia mojej mamy, które spisała kilka lat przed śmiercią. Były też listy, które pisałem do przyrodniej siostry (córki Eryka Lipińskiego – przyp. red.). I czytając to, odkryłem, że ta historia dla mnie samego jest nieznana albo lepiej powiedzieć – nowa. Nie tylko pokazywała mi wydarzenia, o których nie wiedziałem, ale też mnie samego, jakim się nie zapamiętałem. Ale najciekawsze było to odkrywanie swojej przeszłości poprzez odkrywanie losów mamy. Oczywiście wiedziałem, że przeżyła w czasie wojny tragiczną śmierć ojca, że przeżyła głód, a nigdy mi właściwie o wojnie nie opowiadała, mówiła tylko, że wojna to straszna rzecz, ale na czym ta straszność polegała, już nie wyjaśniała.

A ojciec?

On mógłby być tej historii takim trochę negatywnym bohaterem, ale w końcu nie jest. Był człowiekiem bardzo zasłużonym dla polskiej kultury... A z drugiej strony wobec mamy i wobec mamy mojej siostry też, czyli wobec Ha-Gi (Anna Gosławska-Lipińska – przyp. red.), zachowywał się dosyć podle. Ale to nie oznaczało, że nie byłem dumny z rodziców. Przez poznanie tych wojennych doświadczeń mamy pojąłem, że nie jestem w stanie ich ocenić, ponieważ to, co przeżyli, było tak niewyobrażalnie potworne, tak kompletnie poza naszym zasięgiem... Tata po powrocie z Auschwitz – udało się go cudem stamtąd wyciągnąć – żył w psychozie, że to, co się dzieje, to sen i zaraz się obudzi na pryczy w obozie. Nie byłem w stanie sobie tego wyobrazić. Jak się o tym dowiedziałem, to zrozumiałem, że i taty pokolenie, i pokolenie mamy – ojciec był od mamy starszy prawie o 20 lat – przeżyły niebywałą traumę. Od tej pory staram się ich różne zachowania raczej zrozumieć, niż oceniać. Uświadomiłem też sobie, że nasze pokolenie, pokolenie ludzi urodzonych dekadę po wojnie, miało pewne wspólne doświadczenie – przemocowych rodziców. Pytałem różnych swoich rówieśników – właściwie każdy był bity w dzieciństwie. I zrozumiałem, że myśmy byli bici nie dlatego, że sprawiało to rodzicom jakąś sadystyczną satysfakcję,

© LESZEK ZYCH

PARTNER GŁÓWNY
PASZPORTÓW POLITYKI 2025
zaiks
Stowarzyszenie Autorów ZAiKS

eprasa.pl f60e042159

ale dlatego, że nie przerobili swojej własnej traumy.

Warszawa, którą pamiętasz z dzieciństwa, była wielokrotnie opisywana. Ale ty byłeś w tej szczególnej sytuacji – wychowywany bez udziału biologicznego ojca, ale w kontakcie z jego zawodowym środowiskiem; z rysem dziecka samotnika odkrywającego Warszawę po swojemu i tylko dla siebie…

I to mi zostało. Kiedy jadę do nieznanego mi miasta, to zapoznaję się z nim w taki sam sposób, jak się zapoznawałem z Warszawą w dzieciństwie. Czyli samotnie. Ja generalnie nie lubię wycieczek. Ale nie wiem, czy moje upodobanie do samotności wzięło się stąd, że byłem niejako na nią skazany, czy może była to predyspozycja, z którą się urodziłem. Musiałem bardzo dużo czasu spędzać sam ze sobą i się tego nauczyć. Poznawanie miasta... Jest bardzo dziwnie urodzić się w mieście, które 11 lat wcześniej zostało zamordowane. I ja to bardzo silnie odczuwałem.

Czy dużo wysiłku wymaga rekonstruowanie takich odczuć?

O dziwo, ja to świetnie pamiętam. Wszystkie te swoje emocje z dzieciństwa. Pamiętam całe połacie miasta, które jeszcze leżały w gruzach. Teren getta to była pustynia ogrodzona płotami, stały tam jakieś baraki, jeździły spychacze. Owszem, pewną część getta odbudowano dosyć szybko, nie usuwając zresztą gruzów – domy stawiano na pagórkach gruzów, właściwie na cmentarzu. Mieliśmy w domu album „Dni powstania" ze zdjęciami z powstania warszawskiego i ja to oglądałem jako bardzo małe dziecko. I jak daleko jestem w stanie sięgnąć pamięcią, zdawałem sobie sprawę, czym było powstanie.

Była w tym fascynacja czy lęk?

Już od przedszkola byliśmy poddawani takiej swoistej antywojennej indoktrynacji przez ludzi, którzy przeżyli wojnę i naprawdę nie chcieli przeżywać jej jeszcze raz, nie chcieli, żeby ich dzieci taką wojnę przeżywały. Niedaleko kamienicy, gdzie mieszkałem, stał zrujnowany, wypalony dom, przy którym się bawiliśmy. I pamiętam ten trupi zapach. Mama w swoich wspomnieniach też pisze o zapachu, który był takim miksem rozkładających się szczątków, zgnilizny, wilgoci.

Zazwyczaj kiedy ludzie przypominają sobie przeszłość, są skłonni do jej idealizacji. Wszystko wskazuje, że ty nie masz tej skłonności.

Kiedyś w rozmowie z Pawłem Sito powiedziałem, że człowiek jest trochę jak cebula. Z wierzchu są suche łupiny, ale tam w środku jest ciągle totalna świeżość. I ja czuję, że gdzieś tam w samym środku jestem tą samą istotą, która się urodziła w 1955 r., i z jakiegoś powodu udało mi się nie stracić poczucia tej świeżości. I nigdy nie gloryfikowałem młodości może właśnie dlatego, że ta młodość była trudna. Jestem dzisiaj dużo szczęśliwszym człowiekiem, niż byłem jako nastolatek. Jest mi dzisiaj dużo lżej niż wtedy, kiedy byłem dzieckiem, nastolatkiem. A już jak byłem młodym dorosłym, dotknęła mnie silna depresja, która po krótkich przerwach wracała, męczyła mnie, ludzi naokoło, co trwało jakieś 20 lat. I to, na czym mi najbardziej zależało, to sprawić, żeby to moje życie nie było tak trudne.

Jednym z ważniejszych doświadczeń naszego pokolenia było chyba przejście od bezbronnego dzieciństwa do zbuntowanej młodości. Jak to przebiegało u ciebie?

Myślę, że tu się bardzo wiele na siebie nakłada. Decydujący był dla mnie moment, kiedy w wieku 13 lat nie pozwoliłem się bić mamie. Wtedy też dorośli przestali być dla mnie jakimkolwiek autorytetem. I jak patrzę na swoje piosenki, na różne zapiski, to przez to wszystko przebija takie „nie mów mi, co mam robić". Więc kiedy ma się taki stosunek do świata dorosłych – do rodziców, nauczycieli – to już nie ma odwrotu, nie możesz być grzecznym chłopcem, musisz wydeptywać własne ścieżki.

Czym z twojej perspektywy była polska tożsamość inteligencka?

Na pewno była czymś, z czym się utożsamiałem. Co się brało najprawdopodobniej stąd, że w takim otoczeniu poznawałem świat. Że była mama, która była graficzką w redakcji; że był Olek Ziemny, który pisał wiersze, reportaże, uczył mnie wielu rzeczy i tłumaczył mi świat; że w domu było mnóstwo książek; że szybko się nauczyłem czytać i czytałem te książki... To był świat twórców, intelektualistów. Oczywiście nie zapominam też o ojcu, wybitnym artyście i organizatorze życia kulturalnego. Wydaje mi się, że ta inteligencja z czasów PRL była po prostu klasą społeczną w rzekomo bezklasowym społeczeństwie. I ta klasa miała pewne charakterystyczne cechy. Jedną z nich było mniej lub bardziej subtelne manifestowanie swojej wyższości wobec ludzi spoza inteligencji.

Dziś nazywamy to przemocą symboliczną…

I było to szczególnie wyraźne u inteligentów, którzy do tych kręgów świeżo doszlusowali. Pamiętam, że moja mama miała skłonność, żeby o „ludziach pracy" wypowiadać się z takim lekkim lekceważeniem, a kiedy dawała taksówkarzowi napiwek, było w tym coś z wielkopańskiego gestu. Nie lubiłem tego. Wychowała się w rodzinie policjanta, dzielnicowego na Powązkach. Pozycja policjanta w przedwojennej Polsce była chyba trochę wyższa niż dzisiaj, tym niemniej nie była to inteligencja. I mama z racji swoich talentów i zrządzenia losu po wojnie trafiła do Łodzi, gdzie powstawały wydawnictwa, redakcje czasopism, więc tam skupiały się środowiska inteligenckie. W wieku 19 lat (tyle miała w 1945 r.) trafiła do inteligenckiego ula. I to zdeterminowało całe jej życie. Zaczynała jako kierowniczka biura, ktoś w rodzaju sekretarki, ale kiedy okazało się, że ma talent plastyczny, wysłano ja na studia i została redakcyjną graficzką. Warto przy tym pamiętać, że tzw. inteligencja twórcza była w PRL-u uprzywilejowana i jak na ówczesne warunki żyło jej się dobrze – pod warunkiem że się politycznie nie buntowała.

Jak wspominasz dzisiaj tzw. muzykę młodzieżową z czasów PRL?

To jest bardzo ciekawe, bo – znów – ten dziwny PRL to był, jak się powiadało, „najweselszy barak w obozie", duży kraj, większy niż Węgry, Bułgaria czy Czechosłowacja, nie tak stłamszony jak NRD, wewnętrznie pogmatwany, trochę zachodni, trochę wschodni. Ale to wszystko było też trochę grą pozorów, w której manifestowanie odrębności splatało się z hołdami dla Wielkiego Brata. Ja nazywam PRL ustrojem schizofrenicznym. I tak samo z tą muzyką. Z jednej strony ataki na imperialistyczną muzykę, szkodliwą, deprawującą naszą młodzież, sprzeczną z socjalistycznym wychowaniem, a z drugiej nikt tego socjalistycznego wychowania nie traktował poważnie. W czasach licealnych poszedłem do kina studyjnego na „Niewinnych czarodziejów". Zrozumiałem, że jedno pokolenie wstecz byli tacy sami ludzie jak my. A na filmie jeszcze jazzowa czołówka: Komeda, Trzciński. I wiadomo było, że nikt nie chciał słuchać pieśni radzieckich, wszyscy chcieli słuchać tego, co było za żelazną kurtyną. A tam w połowie lat 50. eksplodował rock'n'roll, co do Polski dotarło z pewnym opóźnieniem, a dziesięć lat ▶

eprasa.pl f60e042159

▶ później podbijał świat rock brytyjski, czego już nie dało się pominąć i wszyscy chcieliśmy słuchać tej muzyki. Było radio Luksemburg, była Rozgłośnia Harcerska, która nadawała na falach krótkich...

...ważna dla nas wszystkich.

Jasne, to była sprawa pokoleniowa. Na wakacjach spotykałeś kogoś i zawsze pojawiało się pytanie: „Czy słuchasz Rozgłośni?". A oczywiście pytaniem fundamentalnym było: „Jakiej muzyki słuchasz?". Myśmy wszyscy chodzili na imprezy, a tam nie słuchało się przecież Połomskiego. Słuchało się rocka. Więc siłą rzeczy w Polsce też powstawały zespoły rockowe. I ten Franek Walicki, który wymyślił termin „big beat", nawet chyba nie tyle wymyślił, ile skądś zaczerpnął...

Z nagłówka francuskiej gazety, jak sam przyznawał po latach.

I ten big beat miał być takim kamuflażem, że niby nie rock'n'roll. I wtedy w tym big beacie pojawiały się różne rzeczy. Były zespoły stricte rockowe i takie jak Trubadurzy, którzy nigdy nie byli przez nas traktowani jak zespół rockowy. Ale generalnie było bardzo dużo ciekawej muzyki.

W książce wspomniałeś o zespole Quorum jako czymś ciekawym. Ja ten zespół znam z jednego nibyrewiowego kawałka, bynajmniej nierockowego...

A grali bardzo progresywnego rocka, tyle że mało kto o tym wiedział. Ja się o tym przekonałem, kiedy zagrali na studniówce w moim liceum, potem opowiadał mi o nich Zbyszek Hołdys. Myśleli, jak tu zarobić parę groszy, więc zagrali taką w założeniu pastiszową piosenkę „Ach, co to był za ślub". Leciało to cały czas w radiu, zarobili kasę, ale zespół się skończył. Ale mieliśmy fantastyczne zespoły. One się nie przebijały, niektórym się to udawało i były to na ogół te, które pochodziły z Warszawy, jak Klan, albo się do Warszawy przeniosły. Najlepszym przykładem jest Breakout z superpłytą „Na drugim brzegu tęczy" z Mirą Kubasińską i Włodzimierzem Nahornym. Światowy poziom. Skaldowie poszli bardzo ciekawą drogą. Zaczęli od piosenki poetyckiej, a potem, kiedy przywieźli ze Stanów organy Hammonda, pojawiły się klimaty rockowe, jazz-rockowe.

W wypowiedziach publicznych zaznaczasz pewien dystans do subkultur. Dlaczego?

Subkultura hipisowska, która trafiła mnie jako bardzo młodego nastolatka, była dla mnie bardzo ważna. Też dlatego, że towarzyszyła jej muzyka. Przełom lat 60. i 70. był z kolei kumulacją niezwykłej muzyki – do dzisiaj rock się karmi tym, co wtedy się pojawiło. Ale cały ruch hipisowski z czasem uległ kryzysowi, jeśli nie degeneracji. Odwrotnością legendy komun stała się sprawa Mansona, a cała amerykańska kontrkultura zaczęła zalatywać fałszem, wielu jej liderów okazało się potem zapobiegliwymi mieszczanami.

Odpowiedzią stała się eksplozja punk rocka. I była to odpowiednia reakcja na stetryczenie dziadów hipisowskich. Na podobnej zasadzie miałem dystans do polskiej Muzyki Młodej Generacji. Warto zwrócić uwagę, że zespoły tej eksplozji rockowej lat 1975–78 nazwanej „punkiem" bardzo się od siebie różniły. Każdy był inny. Nie było tam jednego zdefiniowanego stylu muzycznego. Wspólna identyfikacja polegała na czymś zupełnie innym. Doskonale pamiętam, że się czuło ten rodzaj energii w bardzo różnych formach muzycznych. Weź np. zespół Blondie, który występował w nowojorskim klubie CBGB razem z Ramones – oba nie miały ze sobą nic wspólnego. W Anglii to samo. Porównaj Clash z Buzzcocks czy Sex Pistols. Za każdym razem co innego. Ja nawet nie chcę definiować tego czegoś, ale mam pewność, że nie o styl chodziło. Muzycy z tych zespołów często powtarzają, że „w pewnym momencie na nasze koncerty zaczęli przychodzić dziwnie ubrani ludzie, a potem się dowiedzieliśmy, że są punkami". I jak już McLaren zrobił z tego modę, to dla mnie oznaczało to koniec pewnej idei. Punk stał się stylem albo konglomeratem wariantów stylu. Ciekawe, że ta eksplozja, która miała ogromny wpływ na kulturę światową, w Polsce została uwieczniona pomnikiem glana w Jarocinie.

Ciągle myślę o ostatniej dekadzie PRL jak o bardzo osobliwym momencie historii. Z jednej strony władza – ciągle opresyjna, chociaż słabnąca – z drugiej boom rockowy. Robiłeś wtedy karierę muzyczną...

No, to taka kariera po grudzie bardziej. O tym wszystkim będzie w drugiej części autobiografii. Ja to widzę tak: stan wojenny to był ostatni ruch, dzięki któremu reżim miał się uratować. Wiadomo było, że upadek jest nieuchronny, że system wyczerpał swoje możliwości, stał się niewydajny ekonomicznie, doszło do tego ugrzęźnięcie Rosji w Afganistanie, wyścig zbrojeń, który Sowieci zaczęli przegrywać. I paradoksem lat 80. było to, że z jednej strony mieliśmy rządy junty wojskowej, a z drugiej te rządy były już tak dziurawe jak stare wiadro, które nie jest już w stanie utrzymać tej wody, ale jeszcze je niesiemy. No i wszystkie te nowo otwarte szczeliny systemu zaczęła wypełniać niezależna kultura.

ROZMAWIAŁ MIROSŁAW PĘCZAK

tokfm

Rozmowy z laureatami Paszportów POLITYKI w każdą środę o godz. 11.40 w „Kulturze Osobistej" w TOK FM, na tokfm.pl i w aplikacji mobilnej.

Współorganizator Gali

TVP

Partnerzy Główni

TOTALIZATOR SPORTOWY | 7 LAT | ZAiKS Stowarzyszenie Autorów ZAiKS | PZU FUNDACJA | ORLEN

Partner Oficjalny

Warszawa

Partnerzy Kategorii

Książka: Sopot
Sztuki wizualne: KRUK
Film: KUJAWY POMORZE | FUNDUSZ FILMOWY KUJAWY POMORZE
Scena: Białystok
Muzyka popularna: PZU FUNDACJA
Muzyka poważna: ART & SCIENCE

Partner Medialny

tokfm

eprasa.pl f60e042159

Twoje utwory były emitowane w internecie, radiu lub telewizji w latach 2020-2025, ale nie masz umowy z ZAiKS-em?

Nic straconego!

ZAiKS pobrał dla ciebie wynagrodzenia na mocy obowiązujących przepisów, ponieważ właśnie w ten sposób prawo zabezpiecza autorów, autorki i ich spadkobierców.

Zgłoś się po swoje pieniądze do ZAiKS-u. Czekamy na Ciebie.

W celu odebrania wynagrodzenia niezbędne jest potwierdzenie praw do utworu.
Kontakt: +48 22 55 67 101, wydział.repartycji@zaiks.org.pl

Stowarzyszenie Autorów ZAiKS jako największa w Polsce organizacja zbiorowego zarządzania prawami autorskimi dba o to, by każdy twórca zarabiał na swojej twórczości.

zaiks
sprzyjamy wyobraźni

eprasa.pl f60e042159

Obrazki z masakry

Państwo torturowało i zabijało obywateli. Dopiero jak to ustalimy, możemy się zastanawiać, jak ludzie to przeżywali. I o tym staram się robić filmy – mówi brazylijski reżyser Kleber Mendonça Filho, autor nominowanego do Oscara „Tajnego agenta".

Kleber Mendonça Filho (ur. 1968 r.) – reżyser, scenarzysta, producent, wcześniej krytyk filmowy i dziennikarz. Debiutował pełnometrażową fabułą „Sąsiedzkie dźwięki", w 2012 r. uznaną przez „The New York Times" za jeden z najlepszych filmów roku. „Aquarius" (2016 r.) i „Bacurau" (2019 r.) brały udział w głównym konkursie w Cannes, ten drugi zdobył Nagrodę Jury. Za „Tajnego agenta" Mendonça Filho otrzymał cztery nominacje do Oscara, zdobył w Cannes tytuł najlepszego reżysera, odebrał też Złoty Glob dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego. Pół roku temu był gościem festiwalu Nowe Horyzonty.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Gdy w ubiegłym roku „I'm Still Here" Waltera Sallesa zdobył Oscara dla najlepszego filmu międzynarodowego, mówiono, że to głos odświeżający pamięć Brazylijczyków na temat wojskowej dyktatury. Teraz pan wraca do tych samych mrocznych lat 70. Skąd ta potrzeba mówienia o przeszłości?**

KLEBER MENDONÇA FILHO: – Skończyłem 56 lat, dekady mijają, pamięć się wyostrza, więc jestem wystarczająco dorosły, by spojrzeć z dystansem na zachodzące zmiany. W ten sposób doszedłem do 1977 r., gdy miałem dziewięć lat. Ale to nie miało być o mnie. Chodziło raczej o dziwną atmosferę panującą wtedy w Brazylii, zupełnie inną niż obecnie, głównie z powodu przemocy i bezkarności reżimu wojskowego, który wtedy panował.

Terror przeminął.

Tak, ale ostatnio mieliśmy coś w rodzaju jego odrodzenia za sprawą prezydenta Bolsonaro. Ten człowiek uosabiał najgorsze wartości skrajnej prawicy. Jego rządy, zakończone próbą zamachu stanu po przegranych wyborach w 2022 r., przejawiały się powrotem kompletnego szaleństwa, niewyobrażalnej korupcji, nieodpowiedzialnych decyzji, takich jak podżeganie do homofobii czy likwidacja ministerstwa kultury. Przyniosły jego zwolennikom nostalgię za zbrodniczą epoką. To była bezpośrednia inspiracja dla mojego filmu. Po upadku junty Brazylia bardzo się zmieniła, cywilizacyjnie poszła naprzód i oto nagle znów znalazła się w trudnym momencie. Zaczęliśmy słyszeć rzeczy, których dawno już się nie mówiło publicznie, jakbyśmy wrócili do paranoi lat 70.

I w związku z tym co się panu przypomniało?

Jedną z rzeczy, którą doskonale zapamiętałem z dzieciństwa, było nienaturalne zachowanie dorosłych. Ja beztrosko się bawiłem w pokoju, a rodzice obok nagle zniżali głosy, zaczynali mówić do siebie coś szeptem, a potem kontynuowali normalnie rozmowę. To było niezrozumiałe, nie miało żadnego sensu – spędzaliśmy czas w domu, nikt nie podsłuchiwał. W ten sposób dawał o sobie znać irracjonalny strach.

Zdawał pan sobie sprawę, że krajem rządziła wówczas faszystowska junta?

Nie. W tamtym czasie moja matka ciężko zachorowała i rodzina bardzo starała się chronić mnie i mojego młodszego brata przed martwieniem się, w jak trudnym położeniu się znaleźliśmy. Na szczęście po długim leczeniu mama wyzdrowiała, ale o tym także nikt nas nie poinformował. Mój wujek pod byle pretekstem zaciągał nas wtedy do kina w moim rodzinnym mieście Recife na północnym wschodzie kraju. Z jego strony to był taki środek znieczulający, żeby nas „odurzyć" filmami i odciągnąć od kłopotliwych pytań na temat rzeczywistości. Odcisnęło to na mnie piętno. Pamiętam przełom 1977 i 1978 r. z perspektywy wydarzeń, które oglądałem na ekranie, zostały we mnie obrazy romantycznych randek, pościgów samochodowych, palenia papierosów w sali kinowej i tego, w jaki sposób mój wujek się ubierał. Był hipisem, miał 20 lat, problemy z policją, bo władza nie lubiła kontestatorów. Nie rozumiałem niczego, co się działo w polityce. Prawdy dowiedziałem się znacznie później.

Nigdy natomiast nie zapomnę potwornego wrażenia, jakie na mnie robiły zdjęcia publikowane w gazetach i telewizji: rozkładających się trupów, torturowanych ciał, ofiar skrytobójstw, strzelanin, niewyjaśnionych wypadków. Pamiętam też przerażenie mojej rodziny po porwaniu i zamordowaniu Aldo Moro we Włoszech, również dokumentowanym naturalistycznymi, dosadnymi fotografiami. Wykorzystałem to wspomnienie w filmie, gdzie widać krwawe obrazki z masakry.

Skąd się wzięło zbiorowe milczenie na temat przeszłości, któremu poświęcony jest pański film? Jaką rolę odegrała w tym procesie amnestia w 1979 r.?

Mój ojciec był w czasach dyktatury dziennikarzem. Wszystko, o czym się rozmawiało u nas w domu, tworzyło jakąś mgiełkę niedopowiedzeń. Ale ta amnezja zbiorowa, o którą pan pyta, była bardzo realna. W szkołach nie uczono o tym, co się naprawdę działo. W telewizji niczego istotnego nie pokazywano. Jakby te 21 lat po prostu nie istniało. Film Waltera Sallesa świetnie to ilustruje.

Amnestia była bardzo perfidnym zagraniem junty. Cyniczni wojskowi sami jej sobie udzielili. Jednocześnie ułaskawili tych, którzy się buntowali przeciwko rządowi: aktywistów politycznych, działaczy związkowych, lewicujących studentów, rebeliancką młodzież walczącą z reżimem. Przy czym wojsko zabiło ok. 20 razy więcej ludzi niż radykalne bojówki opozycji, ale ogłosili amnestię dla wszystkich. Zaproponowali: zacznijmy od nowa, każdy jest w porządku. Myślę, że miało to traumatyczny wpływ na społeczeństwo. Nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności za gwałty, morderstwa czy tortury. Wszystko zostało wymazane.

„Tajny agent" to opowieść o zbiorowej amnezji i nieprzepracowanej traumie

To jak w Indonezji, gdzie siepacze generała Suharto po wymordowaniu ponad pół miliona obywateli nazywanych komunistami nigdy nie zostali rozliczeni. Joshua Oppenheimer poświęcił tej tragedii wstrząsające dokumenty: „Scena zbrodni" i „Scena ciszy".

Oprawcy, wojskowi psychopaci też wiedli szczęśliwe, zdrowe życie w Brazylii, pobierając wysokie pensje aż do śmierci. Nie było procesów, nie musieli się nawet ukrywać ani z niczego tłumaczyć. Żyli pod tymi samymi adresami. Amnestia z 1979 r. była oficjalnym prawem, które znormalizowało wszystko, co się działo od 1964 r. Powoływano się na nią jak na konstytucję. Stąd w brazylijskim społeczeństwie głębokie, niepokojące poczucie ▶

© GARETH CATTERMOLE/GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f60e042159

▶ niesprawiedliwości. Oraz podziały zdominowane przez klasy, pieniądze i rasizm. Jeśli stałby pan w hotelu obok czarnoskórego kolegi wykonującego ten sam zawód, wielu pomyślałoby, że to pański kierowca.

Dlaczego Lula podczas swojej pierwszej prezydentury nie zrobił więcej, by przywrócić zbiorową pamięć i ukarać morderców?

Lula zrobił sporo – otworzył ok. 25 nowych publicznych uniwersytetów, poprawił system opieki zdrowotnej, pomógł też odrodzić się brazylijskiej cinematece. Brazylia jest złożona, niemniej Lula wykonał niesamowitą pracę podczas swoich kadencji. Ale dopiero jego następczyni Dilma Rousseff utworzyła Komisję Prawdy, narodową instytucję, której celem było wyjaśnienie losów zaginionych osób.

Mówi pan o Comissão Nacional da Verdade, prawda? Powstała w 2012 r., ale jej zalecenia w dużej mierze zignorowano.

Komisja Prawdy pracowała latami, przesłuchała setki świadków, zidentyfikowała 434 osoby odpowiedzialne za morderstwa i tortury. I co się stało? Nic. Absolutnie nic. Bo ta amnestia z 1979 r. wciąż obowiązuje. Sąd Najwyższy potwierdził jej ważność. To jest właśnie ten mechanizm, który mnie fascynuje i przeraża jednocześnie. Jak społeczeństwo może funkcjonować, kiedy prawda jest znana, udokumentowana, ale prawnie nieważna? To schizofrenia. Wiemy, kto torturował, kto zabijał, znamy nazwiska. Carlos Alberto Brilhante Ustra – pierwszy brazylijski oficer skazany za tortury, ale tylko w procesie cywilnym! Nigdy nie poszedł do więzienia za te zbrodnie. Ja sam dołączyłem wtedy do Partii Pracujących (PT), bo przez lata oskarżano mnie o bycie jej członkiem, choć tylko na nich głosowałem. W końcu pomyślałem: skoro i tak to o mnie mówią, to dołączę.

Jak ta decyzja wpłynęła na pana twórczość?

Nie stałem się aparatczykiem. Nie zacząłem kręcić zaangażowanych ideologicznie gniotów. Prawda nie jest jedna – w sensie narracji politycznej, interpretacji, bo emocje zniekształcają wspomnienia – ale są fakty. Są ciała. Są dokumenty. Kiedy mówię o prawdzie w kontekście dyktatury brazylijskiej, mówię o prawdzie faktograficznej: kto kogoś zabił, kto torturował, gdzie są pochowani zamordowani. Problem z amnezją zbiorową polega na tym, że pozwala na relatywizm tam, gdzie nie powinno go być: może nie było tak źle, może przesadzają, obie strony popełniały błędy. Nie. To nie jest symetryczna sytuacja. Państwo z całą swoją machiną przemocy torturowało i zabijało obywateli. To jest punkt wyjścia. Dopiero jak to ustalimy, możemy rozmawiać o niuansach, o tym, jak różni ludzie to przeżywali, jak zapamiętali. Ale bez tej podstawy faktograficznej mamy tylko mgłę. I o tym staram się robić filmy.

W 2016 r. zrealizował pan „Aquarius". Premiera odbyła się w Cannes, w tym samym czasie w Brazylii próbowano odsunąć Dilmę Rousseff od sprawowania urzędu prezydenckiego, przeciwko czemu wasza ekipa protestowała na czerwonym dywanie.

Impeachment. Piękne słowo na zamach stanu, prawda? Dilma była partyzantką w czasach dyktatury, została schwytana, torturowana. A potem wygrała wybory. I została odsunięta od władzy przez ludzi, którzy – jak to ujął jeden z polityków – chcieli zapomnieć o tych lewackich historiach. Kiedy staliśmy z tymi transparentami w Cannes z napisem „Um país é golpeado" (Kraj doświadcza zamachu stanu), wiedzieliśmy, że to może mieć konsekwencje. I miało. Pojawiły się problemy z dystrybucją w Brazylii, atakowano nas w prawicowych mediach. Film nie mógł się ubiegać o Oscara, został zablokowany. Ale musieliśmy go zrobić. Bo właśnie o tym był „Aquarius" – o odmowie milczenia.

Główną rolę Clary, krytyczki muzycznej odmawiającej sprzedaży swojego mieszkania deweloperom, zagrała Sonia Braga, która powiedziała kiedyś, że to najbardziej polityczny film, w jakim wystąpiła.

Wie pan, w Brazylii nic nie jest tylko tym, czym się wydaje na pierwszy rzut oka. Clara broniąca swojego mieszkania to oczywiście Clara broniąca pamięci – swojej, ale i zbiorowej. Ten apartament w budynku Aquarius to nie są tylko cztery ściany. To archiwum, żywy organizm pełen wspomnień. Płyty winylowe, które kolekcjonuje, fotografie, meble po ciotce, która w latach 70. uczyła ją kochać muzykę... Ale Clara to też Brazylia sama w sobie. Kobieta w średnim wieku, która przeżyła raka piersi, dyktaturę wojskową, którą pamięta. I teraz przychodzą młodzi ludzie w garniturach – ci deweloperzy – którzy chcą wszystko wyburzyć, zacząć od nowa. Mówią: „To stary budynek, niebezpieczny, nienowoczesny". Brzmi znajomo, prawda?

Wie pan, co mnie uderzyło, kiedy „Aquarius" czy „Tajny agent" zaczęły być pokazywane na świecie? Ile osób mówiło: to jest o moim kraju. Ludzie z Argentyny, Chile, Grecji, Polski, Hiszpanii – wszędzie tam, gdzie były dyktatury, gdzie była trauma, która nie została przepracowana.

Argentyna rozliczyła się z juntą. Odbył się proces dowódców, wydano setki wyroków.

Argentyna pokazała, że to możliwe. Mimo amnestii z 1983 r. zaczęto ścigać zbrodniarzy. Videla umarł w więzieniu. To możliwe. Ale w Brazylii... Jeszcze raz to podkreślę: wie pan, ile osób zostało pociągniętych do odpowiedzialności za zbrodnie dyktatury? Zero. Nikt. Ani jedna osoba nie poszła do więzienia za tortury, za morderstwa.

Zanim stał się pan filmowcem, pracował pan jako dziennikarz. Jak doświadczenie krytyka filmowego i festiwalowego programera wpłynęło na pańską karierę reżyserską?

Dobre pytanie. W moim przypadku byłem zmuszony do oglądania ogromnej liczby filmów, czasem więcej, niż chciałem. Wytrenowałem mózg, by nie patrzeć na filmy jako na ćwiczenia techniczne, lecz by starać się sięgać w głąb metafory, rozumieć, co twórcy próbują przekazać niekoniecznie wprost, językiem symbolicznym. Zaczynałem bardzo skromnie, od domowej kamery wideo i montowania do piątej rano w sypialni. Pracowałem z przyjaciółmi, to było ekscytujące. Z tamtej perspektywy „Tajny agent" to niewyobrażalnie drogi film – kosztował 5 mln euro, choć dla Amerykanina to ledwie budżet na wino.

Są w pana filmach sceny jakby nie z tego świata. W „Tajnym agencie" mamy kota z dwiema głowami czy surrealistyczną „włochatą nogę". Skąd te wizje?

W brazylijskiej kulturze, z jej afrykańskimi korzeniami, duchowość jest bardzo żywa. W candomblé, umbandzie – religiach afrobrazylijskich – przeszłość jest zawsze obecna. Orixás, duchy przodków, one są tu, z nami. To nie jest metafora, dla milionów Brazylijczyków to rzeczywistość. Natomiast „włochata noga" wzięła się z lokalnej legendy miejskiej w Recife. Dziennikarze wymyślili ją, bo nie mogli pisać o tym, co naprawdę się działo w czasach dyktatury, np. o pobiciach przez policję. Pisali więc: „włochata noga znowu zaatakowała" – i ludzie wiedzieli, o co chodzi.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl f60e042159

Wielokulturowy Białystok
– miasto do zobaczenia...
... i do posłuchania
Białostocki duet Sw@da x Niczos,
laureaci Paszportu POLITYKI w kategorii muzyka popularna.

ebrasa.pl f60e042159

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

„Szajka zdrajców i volksdeutschów próbuje zadłużać Polaków u Niemców na miliardy euro” – to pasek w TV Republika. Poezja. Mało kto wie, że Stanisław Przybyszewski też tworzył w obu tych językach.

●

Firma Roberta Lewandowskiego Stor9 od miesięcy boryka się z płynnością finansową i zaległymi fakturami. To informacja „Do Rzeczy” w dziale Rozrywka. Zabawne. Jak „Szczęść Boże” Grzegorza Brauna.

●

Liderem serwisów o tematyce show-biznesowej pozostaje Pomponik, najdłużej angażuje Pudelek, średnio 16 minut. Podobno 40 proc. Polaków ma problem z czytaniem rozkładów jazdy. Jest odbiorca do przejęcia.

●

„Magdalena Stępień pozuje z nowym partnerem”. Próbuję ustalić, kim jest Magdalena Stępień i dlaczego o niej piszą media. Sprawa jest oczywista. Magda jest znana z faktu posiadania nowego partnera.

●

„Weronika Książkiewicz nieco zniknęła z show-biznesu. Zdradziła powód”. Ten nieco/dzienny tekst napisało dla Jastrząb Post dwóch autorów. Nieco zaskakujące. Chyba ani jeden nieco nie przeczytał.

●

Irena Kamińska-Radomska, niegdyś ekspertka w programie „Projekt Lady”, poinformowała mężczyzn, że źle chodzą chodnikiem i ona pokaże im, jak to trzeba robić. Rezerwuję miejsce w kolejce po Nobla.

●

Agnieszka Holland wygrała w sądzie ze Zbigniewem Ziobrą, który porównał jej film „Zielona granica” do propagandowych filmów Trzeciej Rzeszy. To najlepszy dowód, że sądy działają, nawet jak się zaczyna od zera.

Największym wydarzeniem medialnym tygodnia był rozwód Sandry Kubickiej i Barona po dwóch latach małżeństwa. Już wiadomo, z czyjej winy. Ona przyszła z adwokatem, a on z ochroniarzem.

●

Aneta Bańkowska, była szefowa serwisów rozrywkowych Agory, czyli m.in. plotek.pl, aktualnie pracuje jako psycholog. Doskonały wybór. Po lekturze tych wszystkich bredni sama się sobie przyda.

●

Najnowsza edycja „Tańca z gwiazdami” ma mniejszą widownię niż poprzednia. Widowisko śledzi średnio 1,55 mln widzów. To zrozumiałe. „TzG” bez Karolaka to jak ambulans bez pacjenta.

●

„Sofi Sivokha pokazała się w zmysłowym wydaniu. Odważne zdjęcia gwiazdy »Królowej przetrwania«” – to Jastrząb Post. Polska to wspaniały kraj. Coraz trudniej zrobić tu karierę, ale coraz łatwiej zostać gwiazdą.

●

Krzysztof Zanussi pożalił się, że tuż przed rozpoczęciem zdjęć do jego ostatniego filmu dwoje głównych aktorów odmówiło mu współpracy. Film miał być o potrzebie absolutu. Trzeci!

●

Filip Chajzer, dziennikarz i mistrz dań tureckich, został reporterem „Halo, tu Polsat”. Gratulacje. Niech kroi rzeczywistość na cienkie kawałki. Opieka na pionowym rożnie. A przyprawioną powoli obraca.

●

„Gdyby doszło do wojny, odpaliłbym wszystkie moje wozy bojowe i pojechałbym z moimi ludźmi na front” – to detektyw Krzysztof Rutkowski. Brawo. Śmierć ze śmiechu to też zwycięstwo.

Michał Wiśniewski, autor wielu małżeństw i nielicznych przebojów, wyznał podczas koncertu, że rozstał się z żoną. W tym repertuarze wokalista od lat sprawdza się najlepiej.

© MARCIN GADOMSKI/AKPA

eprasa.pl f60e042159

FELIETON

Witkowski

Wiosna androidów

Już od ponad stu lat życzymy sobie za Lechoniem, by wiosną wiosnę, nie Polskę, zobaczyć. Tymczasem nasz kraj dalej swoje. Odkręcasz kran, a tam (obok ciepłej wody) Polska. Wzuwasz buty i piją po polsku. Stało się coś, a Polacy za oknem śpiewają, że nic się nie stało. Rozpanoszyła się nam Polska, „na tysiączne się wiorsty rozsiadła". W przededniu astronomicznej wiosny – a i w głębi wiosny nie tylko wonnej, ale i namacalnej – Polska działała na mnie jak baner reklamowy na remontowanym budynku mieszkalnym. Niby jakieś słońce, a wewnątrz ciemno i zimno. Ktoś na tym wszystkim zarabia, ale nie ty, pozostaje więc siedzieć w krypcie i czekać, aż to wszystko się skończy.

Człowiek by sobie pooglądał te wszystkie przebiśniegi, ba, nawet na inne „niespodzianki", które wylazły spod śniegu, a których z grzeczności nie nazwę, by popatrzył. Przynajmniej miałby jakiś dowód, że to już, że ciemne wieki za nami. Zrazu przypomina mu się jednak, że nie wszyscy sprzątają po pieskach. I że za zwrócenie uwagi właścicielowi można oberwać „wiąchą" w najlepszym lub fangą w najgorszym wypadku. Trzeba jednak wytrwale próbować, żeby Polska była lepsza. W Polsce nic nie istnieje samoistnie, bez Polski.

Widziałem w przededniu wiosny rzeczy, którym my, ludzie, nie powinniśmy dawać wiary. Kingę Rusin, która odpowiadała na (podobno liczne) pytania, dlaczego nie było jej na rozdaniu Oscarów. Podkreślającą, że mogła być, bo miała liczne zaproszenia, ale nie pojechała. Widziałem jej byłego małżonka, który walczył o Europę za pomocą niebieskiej czapki, i jego adwersarzy walczących o brak Europy za pomocą czapki czerwonej. Zgodnie popierających jednak izraelskie ludobójs..., przepraszam, interwencje wojskowe skoncentrowane na walce z terroryzmem. Śniłem o szwalni czapek fioletowych, ale to dla nich przecież kolor zbyt lewacki.

> „Ile można z tą Polską" – myślałem, aż tu nagle (niby te przebiśniegi!) wychynęły przede mną inne widoki.

Widziałem zakonników, którzy „opróżniają" kamienice na krakowskim Kazimierzu i zamykają lokale wżarte w tkankę miasta, żeby dać nam kolejny hotel. Oraz opuchłe od pasażerów tramwaje, które z coraz mniejszą częstotliwością pozwalają dojechać na miejsce (ale są za to coraz droższe). Widziałem fundację, która w żadną tam wolność wyznania czy rozdział Kościoła od państwa nie zamierza się bawić. I która uznała fakt, że festiwal metalowy pokryje się częściowo z katolickim świętem za nieprzypadkowy, bo fani muzyki „zamierzają bluźnić Bogu, wychwalać bunt Lucyfera, sadyzm, samobójstwa i dewiacje seksualne".

Oglądałem film „Pojedynek", dzieło subtelne jak strzał z pepeszy, które przypomniało mi, że balans między infantylnością a podniosłością nie leży w kręgu zainteresowań niektórych twórców. Słuchałem Leszka Millera, który tłumaczył, że Grzegorz Braun nie jest wcale „oszołomem", tylko „człowiekiem o skrystalizowanych poglądach". I Patryka Jakiego, który próbował wcielić się na Uniwersytecie Warszawskim w Charliego Kirka, brak mu jednak choćby ułamka jego erystycznych zdolności.

„Ile można z tą Polską" – myślałem, aż tu nagle (niby te przebiśniegi!) wychynęły przede mną inne widoki. Widziałem Maćka Szczerbowskiego, który na Oscary pojechał (choć nie wiem, czy dostawał liczne pytania w tej sprawie). I również został zaproszony, tyle że na scenę, aby odebrać statuetkę za animację „The Girl Who Cried Pearls". Oglądałem manifestacje, podczas których różne środowiska przypominały zakonnikom, jak to tam było z tym uchem igielnym i wejściem do „królestwa niebieskiego". Oraz prezydenta Krakowa wypraszanego z jednej z manifestacji, bo bujać to my, ale nie nas.

Widziałem bezinteresowny front pomocy najbardziej potrzebującym, nieczuły na imperialne gierki. Słuchałem współorganizatorów festiwalu metalowego organizowanego w Boże Ciało, cierpliwie tłumaczących, że „nigdy nie sugerowali się świętami, bo nie stanowią one dla nich powodu do aktywności marketingowej". I słuchaczy, którzy zamierzają się tam dobrze i bezpiecznie bawić, zamiast „wychwalać sadyzm". Wreszcie: katolików, którzy nie żyją w oblężonej twierdzy. Wśród nich, a jakże, fanów metalu.

Podziwiałem w filmie „Good Boy" duet Stephena Grahama i Moniki Frajczyk, prowadzony przez Jana Komasę. A także ludzi, którzy przypominali Leszkowi Millerowi, że serdeczność wobec Moskwy nie wiąże się już z takimi apanażami jak niegdyś. Oraz studentkę, która przekonywała Patryka Jakiego, że powinien w tamtym momencie przebywać w innym miejscu. Wystarczająco dojrzałą, by wiedzieć, gdzie leży problem z naszą klasą polityczną, i wystarczająco młodą, by dać spontaniczny i pozbawiony kalkulacji odpór wobec tego całego bełkotu.

I dalej była to bardziej Polska niż wiosna, a jednak powietrze jakby lżejsze. Żadnych „niespodzianek" spod śniegu, bo zaczęliśmy jednak sprzątać po pieskach. „Ile można z tą Polską?" – myślałem. „Niechby nawet do samego końca, mojego lub jej" – dodawałem. A że, jak mawiał pewien replikant, „wszystkie te chwile przepadną w czasie jak łzy w deszczu"? Trudno, lepiej mieć dobre wspomnienia.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl f60e042159

Policja historyczna

Z okazji 155. rocznicy urodzin Róży Luksemburg (przypada 5 marca, tak jak śmierć Stalina) władze Zamościa zamierzały odsłonić tablicę o treści: „W tym domu mieszkała Róża Luksemburg, wybitna działaczka międzynarodowego ruchu robotniczego". Wszystko to prawda: Luksemburg urodziła się w Zamościu, działała na rzecz robotników i była wybitna. Na Zachodzie czyta się ją i o niej dyskutuje. Inspiruje różne nurty lewicy: od anarchizmu, poprzez socjaldemokrację, aż po maoizm. W Zamościu turyści z zagranicy często o nią pytają. Można spotkać się z opinią, że jest najbardziej rozpoznawalną postacią historyczną z Polski. Tablicy jednak nie odsłonięto, ponieważ 4 marca w Zamościu zjawili się z interwencją panowie z Instytutu Pamięci Narodowej. Cierpieli na różyczkę.

Tablica na domu Róży Luksemburg wisiała od czasów PRL-u, dopóki w 2018 r. nie zniknęła. Być może miał z tym związek ówczesny wojewoda lubelski Przemysław Czarnek. Znaszli ten kraj, w którym pod osłoną nocy wiesza się krzyże i zdejmuje tablice? Ba. Po ośmiu latach od nadprzyrodzonego zniknięcia władze Zamościa postanowiły być w ciąży do połowy: nowa tablica miała zostać odsłonięta na przekór ciemnym siłom, ale luzem – bez mocowania do ściany. Po interwencji policji historycznej wycofały się nawet z tego. IPN orzekł, że uroczystość odsłonięcia byłaby złamaniem ustawy o zakazie propagowania komunizmu z 2016 r.

> IPN nie odczuwa potrzeby definiowania pojęć, którymi wywija. „Komunizm" to dla niego maczuga na politycznych wrogów.

Czy Luksemburg była komunistką? Pierwsza partia z komunizmem w nazwie pojawiła się dopiero w roku 1918, a ona została zamordowana przez Freikorps w 1919, więc jeśli była, to z pewnością nie w rozumieniu wspomnianej ustawy. Ale IPN nie odczuwa potrzeby definiowania pojęć, którymi wywija. „Komunizm" to dla niego maczuga do bicia politycznych wrogów. Mamy nań reagować jak pies Pawłowa po terapii inwersyjnej: toczyć pianę z pyska. Gdy to się nie dzieje, stróże prawilnej pamięci dostają histerii. Najświeższego przykładu dostarczają opinie prawicowych mediów o „Stygmacie" Katarzyny Kwiatkowskiej-Moskalewicz, biografii Heleny Wolińskiej i Włodzimierza Brusa, według nich „odrażającej". Wolińska nie wydała wyroku na „Nila"? Tym gorzej dla faktów!

Czerwona Róża była znakomitą myślicielką. Tak, marksistowską. Doktorat z ekonomii obroniła w Zurychu jako jedna z pierwszych kobiet na świecie, na podstawie rozprawy „Przemysłowy rozwój Polski". W Polsce pokutuje wyobrażenie złej Luksemburg, która nie chciała niepodległej Polski, i dobrego Piłsudskiego, który rozstał się z lewicą „na przystanku Niepodległość". Nie dopuszczamy myśli, że za jej stanowiskiem też mogła stać uprawniona racjonalność.

„Róża była przeciwniczką wszelkich ruchów i państw narodowych, które na przełomie wieków formowały się w Europie – wyjaśnia Weronika Kostyrko, autorka biografii „Róża Luksemburg. Domem moim jest cały świat". – Sprzeciwiała się dążeniom PPS do wciągnięcia robotników w walkę o odrodzenie państwa polskiego. Wielokrotnie pisała o tym, że żadne państwo narodowe nie spełni oczekiwań ludzi pracy, bo do rozwiązania ich problemów konieczna jest światowa rewolucja. Tak samo była przeciwna syjonizmowi". Było to myślenie niewątpliwie utopijne, ale czy błędne jako diagnoza? Odrodzona w 1918 r. Polska po odcięciu od rynku rosyjskiego pogrążyła się w kryzysie jakby na potwierdzenie tez Luksemburg. Warto skonfrontować się także z jej perspektywą.

Tak, pragnęła rewolucji. Według Kostyrko – w formie strajku powszechnego. Nawet jeśli nie wykluczała przemocy (Piłsudski ją stosował), to nie projektowała Gułagu. Ostro polemizowała z Leninem w obronie podmiotowości robotników, przeciwko władzy partii. „W debacie z dominującą antykomunistyczną narracją, którą pielęgnowała dawna opozycja, a dziś podtrzymuje liberalna inteligencja, najłatwiej jest połączyć Różę Luksemburg z Feliksem Dzierżyńskim i Włodzimierzem Leninem – mówi Kostyrko. – A Róża była wielką miłośniczką polskości. Wyrażała się o niej nawet pochlebniej niż Marszałek, któremu zdarzało się mówić o Polakach nieprzyjemne rzeczy. Ona urodziła się w rodzinie żydowskiej i większość życia spędziła w Niemczech, ale tylko o Polakach mówiła »mój naród« i tylko o polskim »mój język«. (...) Pierwszym wyrokiem, na który została skazana, była kara grzywny za publicystykę przeciwko germanizacji Polaków w zaborze pruskim".

Podczas operacji w Zamościu IPN stwierdził również, że odsłonięcie tablicy byłoby przysługą dla Kremla. To przykre, kiedy instytucja pilnująca zbiorowej pamięci zapomina aktualizować własne pliki. Kreml nie otacza już rewolucji październikowej czcią, postrzega ją jako katastrofę. Polityka historyczna Putina opiera się na religijnym wręcz kulcie siły państwa przywróconej przez Czeka i Stalina w czasie wielkiej wojny ojczyźnianej. Sprawiedliwość społeczna to w Rosji pieśń przeszłości, na tapecie jest goły imperializm. Więc jeśli ktoś tu pije sobie z dzióbków z Putinem, to na pewno nie Zamość, gdy myśli ciepło o swojej rewolucjonistce.

RENATA LIS

eprasa.pl f60e042159

FELIETON

Sulej

Coraz więcej wizerunków

Jameela Jamil, aktorka i feministyczna influencerka (4 mln obserwujących) z okazji swoich 40. urodzin obwieściła na Instagramie, że uwielbia się starzeć i nie może się doczekać, kiedy będzie „starą babą". Starość jest według niej nie tyle czasem mądrości, ile szansą na to, by stać się prawdziwie wolną i nieposkromioną. „Jeśli myśleliście, że byłam niepokorna jako młoda kobieta, to ja wam dopiero pokażę" – deklaruje i daje do zrozumienia, że nie ma ochoty walczyć o zachowanie młodości za wszelką cenę i nie interesuje jej „cofanie czasu".

Łatwo zauważyć, że w popularnym dyskursie na temat żeńskiej atrakcyjności dominuje ideał świeżej nastolatki, żeby nie powiedzieć – lolity. Kobiety mają wyglądać jak dziewczynki, a dziewczynki mają wyglądać na starsze. Nie ma się więc co dziwić, że 10-latki buszują po salonach kosmetycznych, nastolatki życzą sobie operacji plastycznych, a kosmetyki przeciwko starzeniu są wciskane 20-latkom. Kultura powtarza za samcami z manosfery, że młodość i piękno są kapitałem, w który trzeba nieustannie inwestować i który trzeba pomnażać. Logika patriarchatu sprzęga się z rozbuchanym konsumpcjonizmem, dehumanizacją i uproduktywnieniem relacji międzyludzkich oraz rosnącą dominacją cyfrowych platform jako obszarów realizowania pożądania. Krótko mówiąc – nie jest dobrze.

Nie ma już wirtualu i realu, jest czasoprzestrzenny bajzel, gdzie AI wydaje się bardziej realna od rozmowy w windzie.

Jeszcze w latach 90. wydawało się, że nie może kobiet spotkać już nic gorszego niż kultura diety, stringi i moda na *heroin chic*. Dziś jednak kulturowych wymagań jest jeszcze więcej. Musisz być młoda albo taką udawać. Musisz być chuda – nie ma wymówki, przecież „leki na cukrzycę" są już do zdobycia dla każdego. Nie zaszkodzi operacja plastyczna, żeby twarz przypominała jakiś wzór z popularnego katalogu: *Mar-a-Lago face*, Kardashian, a może odessanie tłuszczu z policzków? Algorytm lubi twarze, które trudno skojarzyć z biografią i tożsamością, ale za to łatwo – z jakimś trendem.

A jeśli już jesteś młoda, chuda i o twarzy, która brzmi znajomo, to może zainwestuj też w modne suplementy, białkowe koktajle i proteinowe batony, żeby pokazać, jaka jesteś zdrowa, czysta i zoptymalizowana. Ciało należy glamouryzować już nie tylko na zewnątrz, ale też od środka. Czas jest cofany, wyginany i zakrzywiany. Ciało staje się materią interwencji, nieustannej obserwacji pod kątem estetycznego dopasowania i monitorowania w imię marzenia o nieśmiertelności.

Panujące mody dotykają również panów. Bo taka zoptymalizowana kobieta będzie dobra tylko dla mężczyzny, który ma drogi zegarek, biceps i garnitur, prawda? Nie tak dawno wybuchła na platformie X dyskusja o tym, czy przystoi facetom noszenie śmiesznych koszulek i trampek. Nie rozpoczął jej konserwatysta, lecz lewicowy intelektualista występujący w swoim podkaście w garniturze. Kobieta ma być infantylna, a mężczyźnie nie przystoi taki wizerunek, bo to przecież ten poważny dorosły, odpowiednio odziany.

Gapimy się na siebie nieustannie – cały czas zamykamy swoje odbicia w małych okienkach, tweetach, hasztagach, jesteśmy pokawałkowani na odcinki, obrazy, produkty. Teraz nie ma już nawet stylów życia – one przynajmniej sugerowały robienie czegoś w rzeczywistości (i w ogóle życie). Dzisiaj są estetyki, czyli *cores*, oraz *maxxing* – podwyższanie swoich mocy, jakby się było postacią w grze komputerowej. Może więc być *nonna core* (babcina estetyka) czy *dark academia core* (np. dla fanów i fanek Harry'ego Pottera). Jest *look maxxing*, *fitness maxxing*, *fashion maxxing*. Do estetyki dopasowane są nawet leki, które przyjmujesz, czy książki, które czytasz.

Internet przestał być już przestrzenią, gdzie rzeczy dzieją się obok rzeczywistości. Nie ma już przestrzeni wirtualnej i realnej, jest jeden wielki czasoprzestrzenny bajzel, w którym AI wydaje się bardziej realna od rozmowy w windzie. Tropimy „niedoskonałości" tak intensywnie, że mamy gdzieś nierówności społeczne i działanie na rzecz sprawiedliwszego świata. Jest coraz mniej słów, a coraz więcej wizerunków, choć wydawałoby się, że więcej się nie da. Popadliśmy w zbiorową dysmorfofobię, wyewoluowaliśmy daleko od wpatrzonych w horyzont ciekawskich łowców-zbieraczy. Zamiast rozwijać się jako ludzie, wciskamy swoje tożsamości w klasowe, patriarchalne kalki. Krótko mówiąc – będzie gorzej.

Jameela Jamil w swojej deklaracji o wyczekiwaniu starości zamieszcza obrazek (to przecież Instagram). Jest śmieszny, slapstickowy – twarz zakrywają jej włosy i okulary. Uchwycona w karykaturalnym ruchu, jak postać z niemego filmu. W podpisie wyróżnione słowo: RUNNING. Jameela biegnie buntowniczo w stronę starości, ale czas działa na jej niekorzyść – może zanim tam dobiegnie, starość będzie już zlikwidowana dla takich szczęśliwców z 4 mln followersów. Zostanie dla społecznych pariasów, których nie było stać na botoks i którzy nie mieli przywileju oddzielenia się ekranem telefonu od niesprawiedliwego świata.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl f60e042159

Jak się pozbyć głupich myśli

Głoszone przez Czarnka i innych wiceprezesów PiS opinie na temat Niemiec, Czwartej Rzeszy, SAFE czy OZE-sroze pokazują, że partia ta tkwi w głębokim umysłowym kryzysie. Nic dziwnego, że Czarnek, Bocheński i Jaki wpadli na desperacki pomysł, żeby odbyć cykl spotkań ze studentami polskich uniwersytetów pod hasłem „Zmień nasze zdanie". Zgadzam się, że zmiana ta jest konieczna, cieszę się także, że o pomoc poprosili studentów; mogli przecież poprosić kiboli, którzy są znani z tego, że dzięki licznym ustawkom ukształtowali poglądy i mentalność prezydenta Nawrockiego.

„Nie narzucamy wam swojego zdania, ale zapraszamy do rozmowy. Wymieńmy myśli" – proponują wiceprezesi, najwyraźniej gotowi rozmawiać i wymieniać się ze studentami w nadziei, że po tej kompleksowej wymianie zaczną myśleć co innego, niż myślą teraz. Nie wiem tylko, co na to prezes Kaczyński. Nie chcę się wtrącać, ale tournée po uniwersytetach i zachęcanie studentów do tego, żeby dzięki wymianie myśli z wiceprezesami PiS zmienili zdanie tych wiceprezesów w sprawach, w których mają oni identyczne zdanie jak prezes PiS, wydaje mi się nieco ryzykowne.

Na szczęście dla prezesa część studentów zaprotestowała przeciwko zmuszaniu ich do wymiany myśli z wiceprezesami PiS w obawie, że mocno na tej wymianie stracą. – *Perspektywa, że po wymianie zostanę z myślami kogoś takiego jak Jaki lub Czarnek, przeraża mnie* – wyznaje student III roku historii na UW.

– *Gdybym zaczął myśleć to, co myślą oni, znajomi uznaliby mnie za przygłupa* – dodaje jego kolega. – *Dlatego niech się raczej wymieniają między sobą*.

Na miejscu Czarnka, Bocheńskiego i Jakiego byłbym ostrożny z wymianą myśli ze studentami, bo wiadomo, co studenci myślą o PiS i prezesie Kaczyńskim. Wybrany z listy PiS senator Włosowicz wymienił swoje myśli tak niefortunnie, że obecnie poddaje w telewizji ostrej krytyce politykę własnej partii, twierdząc, że „nie do takiej partii wstępował".

Nie wiem, z jakimi studentami Włosowicz się spotykał i jak przekonali go, że wstąpił nie do tej partii, do której myślał, że wstąpił. W każdym razie uważam, że jak chce się z kimś porozmawiać o swoich wątpliwościach co do tego, czy będąc w PiS, jest się w tej partii, w której myśli się, że się jest, to lepiej z tym iść do posła Błaszczaka niż do studentów, którzy mogą tak namieszać w głowie, że człowiekowi odechce się być w jakiejkolwiek partii.

GALERIA POLITYKI

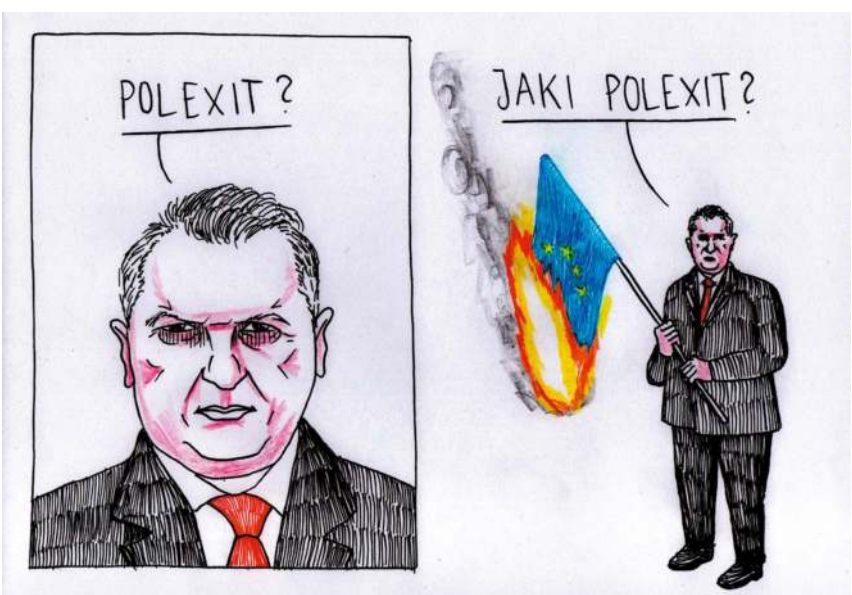

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint leipa passion process technology

eprasa.pl f60e042159

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

25 lat temu, a konkretnie w numerze 12. z 2001 r. Tomasz Walat w artykule „Szwed Norwegowi wilkiem" opisywał problem z dzikimi zwierzętami, który niespodziewanie nabrał wagi politycznej, a nawet dyplomatycznej. A że i u nas głośno ostatnio o wilkach i innej zwierzynie usiłującej z nami koegzystować, warto przypomnieć ten tekst.

„Konferencja prasowa na schodach pałacyku szwedzkiego premiera w związku z wizytą norweskiego szefa rządu Jensa Stoltenberga. O co pytają dziennikarze? O rosnące ceny norweskiej ropy? O plany budowy rurociągu doprowadzającego norweski gaz do szwedzkich elektrowni? O stosunki Norwegii z Unią Europejską, której Szwecja właśnie przewodniczy? Nie, wszyscy pytają o wilki!

W sumie chodzi o jakieś 100 wilków i tylko 9 ma paść pod kulami myśliwych, ale emocje są takie, jakby znów miano strzelać przy murze berlińskim. Rząd szwedzki, ustami ministra ochrony środowiska Kjella Larssona, złożył oficjalny protest przeciwko dziesiątkowaniu »południowo-skandynawskiego stada wilków«. Wilki nie znają układu z Schengen i za nic mają granice państwowe. Urodzone i odchowane w rzadko zaludnionej i obfitującej w lasy zachodniej Szwecji szukają jedzenia w rolniczej norweskiej prowincji Ostlandet, gdzie owiec i kóz nie trzyma się, w przeciwieństwie do Szwecji, pod kluczem. Norwegia ma najwyższe pogłowie tych zwierząt w Europie, licząc na jednego mieszkańca.

Rząd Norwegii nie ma nic przeciwko wilkom. Polowania na wilki obserwuje kilkanaście ekip telewizyjnych z całej Europy. Rząd boi się, że kolejna kampania znów nadweręży wizerunek tego kraju na świecie, podobnie jak wcześniejsze akcje przeciwko zabijaniu wielorybów i fok, które doprowadziły do spadku eksportu norweskich produktów i utraty sympatii opiniotwórczych kół USA i Europy Zachodniej. Z samego eksportu łososi, który podczas konfliktu o wieloryby był bojkotowany w USA, zyskała Norwegia w zeszłym roku aż 3 mld dol., więc lepiej zachować ostrożność. (...)

»Cały kraj ma prawo do życia« – przypomina się popularne hasło, przyświecające obrońcom tradycji i stylu życia, które cechowały społeczeństwo wiejskie, jakim była do niedawna Norwegia.

– Jeśli znów pojawią się u nas wilki, dzieci nie będą mogły chodzić do szkoły pieszo, trzeba będzie zrezygnować z wycieczek do lasu na grzyby i maliny. Życie w stałym zagrożeniu traci na wartości – twierdzą mieszkańcy wiejskich terenów.

Na nowo odrodził się konflikt między miastem i wsią, który ostro zaznaczył się już w trakcie referendum w sprawie norweskiego członkostwa w Unii Europejskiej w połowie lat dziewięćdziesiątych. Norweskie miasta głosowały za, prowincja zaś masowo odrzuciła propozycję wstąpienia do UE, co na pewien czas przywróciło pokój. Teraz jest on zagrożony z powodu wilków. – *Nie będzie nam Oslo, ani tym bardziej Sztokholm czy Bruksela, dyktowało, jak mamy żyć na wsi* – krzyczą lokalni politycy wspierani przez opozycję.

Pojawił się także konflikt pokoleń. Kiedy myśliwi ruszyli ze strzelbami na wilki, usiłowali im w tym przeszkodzić młodzi ludzie, członkowie radykalnych organizacji ekologicznych, którzy mimo ostrego mrozu rozbili namioty na linii ognia. Obrońcy wilków musieli się jednak poddać, kiedy miejscowa ludność (starsi wiekiem rolnicy) zaczęła niszczyć ich namioty i przeszkadzać w przeszkadzaniu myśliwym. Dzięki helikopterom i skuterom śnieżnym udało się już zastrzelić kilka wilków; ofiar w ludziach nie było.

Na Północy, gdzie ludzi i owiec mniej, pojawiają się renifery i coraz bardziej wojowniczo nastawieni Saamowie (Lapończycy), którzy domagają się przestrzeni życiowej i prawa administrowania tundrą traktowaną tu jako pastwiska. Nie tylko wilki, lecz także niedźwiedzie (też przychodzące ze Szwecji), rosomaki, rysie i żbiki uważane są za szkodniki i bezlitośnie zabijane. Władze norweskie boją się narazić na zarzut dyskryminowania mniejszości narodowych, co byłoby dużo mniej politycznie poprawne niż tępienie wilków".

OGŁOSZENIE

Przepraszam Panią dr Agnieszkę Rejniak-Majewską za wykorzystanie bez jej wiedzy i zgody w książce pt. „Sztuka geometryczna a postmodernizm" wydanej w wydawnictwie Neriton w Warszawie w 2011 r., fragmentów pracy doktorskiej autorstwa dr Agnieszki Rejniak-Majewskiej pt. „Problem racjonalności sztuki w twórczości artystycznej i dyskursie teoretycznym późnego modernizmu i postmodernizmu" bez należytego oznaczenia pochodzenia tych fragmentów, czym naruszyłam jej autorskie prawa osobiste.

dr Paulina Sztabińska-Kałowska

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f60e042159

Trybunka pod młotek

Twórca stylu marki Apple zaprojektował dębową mównicę dla domu aukcyjnego Christie's. Legenda potrzebowała legendy. I nowego obiektu kultu.

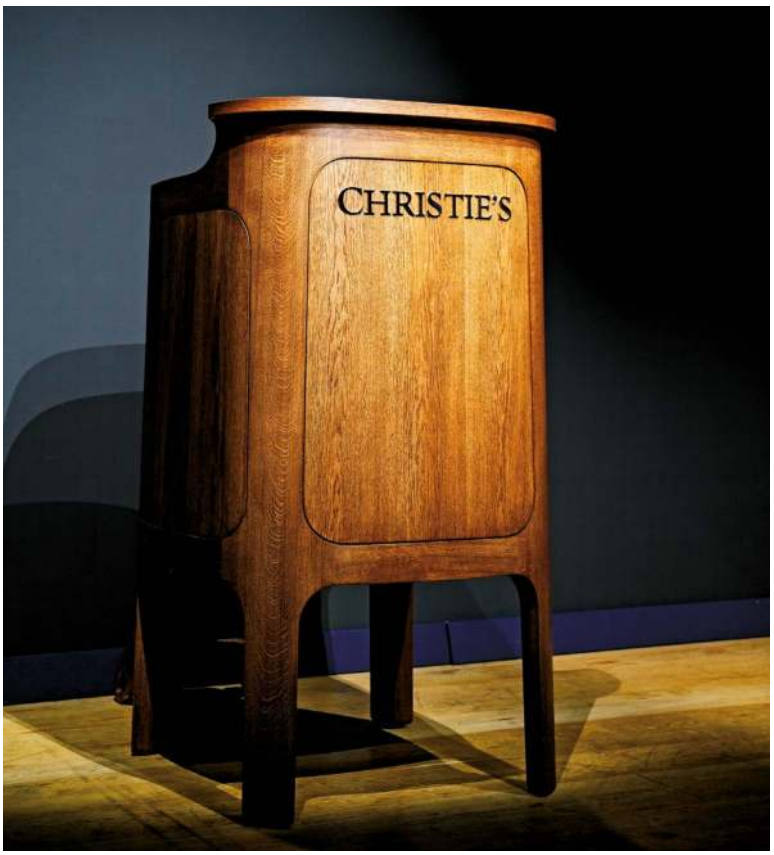

Najsłynniejszy dom aukcyjny na świecie, Christie's, uczcił swoje 260. urodziny nową mównicą dla prowadzącego licytację. Ta niepozorna drewniana budka jest symbolem marki i niemal świętością. Nie zmieniano jej wyglądu od powstania Christie's w 1766 r. Nawet gdy pierwotna budka została zniszczona podczas bombardowań Londynu w czasie drugiej wojny światowej, nie zaproponowano nowego kształtu, tylko z największą pieczołowitością odtworzono historyczny projekt. Dopiero w ubiegłym roku zapadła decyzja: musi powstać nowa mównica.

Kto sprawdziłby się w tak odpowiedzialnym zadaniu? Chyba tylko projektant z tytułem sir, czyli ze szlachectwem nadanym przez królową. Lista jest krótka – z żyjących brytyjskich projektantów wzornictwa tylko Jony Ive ma taki tytuł, ale też trzeba powiedzieć, że jest żywą legendą na Wyspach. To on, współpracując ze Steve'em Jobsem, stworzył język wizualny Apple: iMaca, iBooków, iPoda, iPhone'a, iPada. Ive jako pierwszy zaczął humanizować branżę elektroniki, tłumacząc zdziwionym inżynierom, że design to nie tylko wygląd, ale też przyjemność dotyku i interakcja z produktem.

Właśnie kogoś takiego szukało Christie's – legenda potrzebowała legendy. I projektanta, który rozumie, że z jednej strony tworzy nową świętość i ikonę, a z drugiej weźmie pod uwagę potrzeby użytkowników, czyli licytatorów. A ci narzekali, że stare mównice były chwiejne i niewygodne, trzeba było mocno szarpać schodki, żeby wyjechały. Z kolei operatorzy nagrywający transmisje musieli unikać ujęć z boku – trybunki tylko od frontu wyglądały korzystnie.

Ive uspokajał zleceniodawców. „Wiem, że nie projektuję mebla, ale scenę", miał powiedzieć. Na mównicy odbywa się przecież spektakl. Prowadzący aukcje są wytrawnymi aktorami, a sala reaguje w sposób emocjonalny i trudny do przewidzenia. Przypomnijmy kwoty, które sprawiały, że uczestnicy aukcji mdleli. W 2015 r. obraz Pabla Picassa „Kobiety Algieru" (wersja „O") został sprzedany na aukcji Christie's w Nowym Jorku za 180 mln dol. i wydawało się, że nic tego nie przebije. Ale dwa lata później w tym samym domu aukcyjnym obraz Leonarda da Vinci „Zbawiciel świata" poszedł za 450 mln dol. Rekord pozostaje niepobity, ale trudno się dziwić, że budka licytatora staje się bastionem, który musi wytrzymać drżenie nóg licytatora i solidne uderzenia młotka.

TREND

Katarzyna Rzehak
– historyczka sztuki, badaczka polskiego dizajnu, dziennikarka, wykładowczyni. Przez dekadę była dyrektorką w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. Pracuje w Fundacji Integracja.

Projekt Jony'ego Ive'ego jest stabilny: nowa trybunka ma ciężar właściwy i powagę, bo wykonano ją z litego dębu. Tu Anglicy musieli przełknąć fakt, że dębina pochodzi z lasów francuskich, z tego samego źródła co belki do odbudowy Katedry Notre Dame. Ive zadbał, żeby obiekt z każdej strony wyglądał równie atrakcyjnie, napis „Christie's" na froncie był stalowy i błyszczący, choć krój liter zostawiono ten sam co zawsze. Nowością jest to, że napis zdobi też wnętrze budki. Ive nie byłby sobą, gdyby nie dołożył technologii: po naciśnięciu przycisku specjalny bezszelestny mechanizm wystawia i chowa schodki. Wspomagane jest również bezszelestne zamykanie drzwiczek. **Pierwsza trybunka Ive'ego** została zaprezentowana w londyńskiej siedzibie Christie's na King Street na początku marca, ale najlepsi brytyjscy stolarze wykonują już kolejne. Pojawią się w ciągu najbliższych sześciu miesięcy w salonach aukcyjnych Christie's na całym świecie: w kwietniu w Paryżu, w maju w Nowym Jorku i Genewie, we wrześniu w Hongkongu.

Czy nowe mównice nie przypominają przypadkiem swoimi owalami i obłościami klasycznej linii iPhone'a? – zastanawiają się miłośnicy aukcji. Nawet jeśli, to tylko dowód uniwersalności stylu, który – jak widać – wszędzie pasuje i się nie starzeje. ■

© LUCY NORTH/PA/FORUM, ARCHIWUM PRYWATNE, AN, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl f60e042159

WIRAL

Leo, król memów

W czasie ceremonii rozdania nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej prowadzący Conan O'Brien zażartował, że obecny na widowni **Leonardo DiCaprio** to król memów. Skorzystał też z okazji, żeby sprokurować nowy obrazek z aktorem – kamera uchwyciła wąsatą minę wyrażającą „nie pisałem się na to" (w oryginale było tam jeszcze TFW: *that feel when*, z ang. to uczucie, gdy...). Chociaż to przykład tzw. wymuszonego mema, a nie organiczny wiral, to dzięki sile mediów społecznościowych szybko dołączył do imponującej kolekcji.

W czasach, gdy aktor uwodził młodzieńczą urodą, wystąpił w kasowym „Titanicu", obrazie wielokrotnie cytowanym i parodiowanym, fotosy z filmu stanowiły pożywkę dla twórców photoshopowych przeróbek. Podobnie stało się ze zdjęciem z planu filmu „Incepcja" (2010 r.), przedstawiającym raźnie maszerującego DiCaprio. Idealna poza, by w tle zmontować jakąś eksplozję albo – bardzo intertekstualnie – tonącego Titanica. Z tego samego filmu pochodzi używany w internetowych konwersacjach fotos, na którym Leo mruży oczy, tłumacząc coś innemu bohaterowi.

To właśnie ikoniczne miny zapewniły aktorowi miejsce w sieciowym panteonie – tak jak ironiczny uśmieszek z „Django" (2012 r.), w którym zagrał charyzmatycznego kanalię. Kolejny rok przyniósł dwa memiczne filmy – „Wielkiego Gatsby'ego" (szampański toast na tle fajerwerków) i „Wilka z Wall Street". W 2019 r. Leo zagrał aktora w filmie Tarantino „Pewnego razu w Hollywood" – i przeszedł do historii sceną, w której gwizdnięciem i wyciągniętym palcem pokazuje ważną scenę w swoim filmie (odtworzył ją nawet Donald Tusk w filmiku, na którym ogląda „Gwiezdne wojny").

Memiczna jest sama osoba Leonardo DiCaprio – długo żartowano z jego braku Oscara (którego dostał wreszcie za film „Zjawa" z 2015 r.), między humorem a niechęcią mieszczą się zaś reakcje na jego zamiłowanie do młodszych (niestarszych niż 25 lat) partnerek. Jak ktoś zauważył, nie można żartować z niczego innego, bo Leo chroni swoją prywatność i nic więcej o nim nie wiemy. Cóż, nie pisał się na to.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

To srogie sroze

Czas chwycić byka za rogi i podążyć za myślą **Przemysława Czarnka**, profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, byłego wojewody i ministra, a dziś kandydata na premiera. Tak się bowiem składa, że od razu w pierwszym wystąpieniu w roli kandydata wprowadził do polszczyzny słowo „sroze" w określeniu „OZE-sroze". Ten przykład tylko pozornie da się zbyć hasłem o lekceważeniu i próbie wyśmiania odnawialnych źródeł energii (OZE). Profesor użył bowiem językowego zabiegu reduplikacji (analogicznie do trele-morele czy czary-mary), a zarazem odwołał się do starego ludowego skojarzenia, w którym poniżeniem jest dla kogoś lub czegoś odwołanie do wypróżniania lub fekaliów. Stąd cząstki sr- lub sra- doklejane u nas wcześniej w innych konstrukcjach. Zwykle w sytuacjach, gdy mówiący jednym gestem chce coś odrzucić, podważyć lub ośmieszyć, ale brakuje mu merytorycznych argumentów. Albo gdy czuje się bezradny wobec zjawiska. Stąd pojawiająca się czasem „srekologia", tu w opowieści z platformy X: „Eko srekologia. Wujek mieszka w maleńkiej miejscowości pod lasem. Kilka domów. Wywózka odpadów. Jednego dnia mieszkania prywatne, innego jedno przedsiębiorstwo. W związku z tym, że druga strona ulicy podlega pod inne miasto powtórka, jednego dnia domy, innego przedsiębiorstwo".

Często jednak taki rodzaj językowego echa ma – przeciwnie – wyśmiać ludzi odrzucających np. naukę. „Z jednej strony niby inżynier, a z drugiej, że nauka srauka i fizyka nie będzie Ci mówić, co masz robić" – czytamy na forum audiofilskim. A na platformie X: „Nauka srauka – u nas za to zawierza się Matce Boskiej i po krzyku". Czarnek zagrał więc kartą, którą łatwo odwrócić. Odwołał się zarazem do kultury języka jidysz, który już przed wojną zaczął takie zbitki tworzyć z angielskim. Stąd „fancy-schmancy" wyśmiewające pretensjonalne gesty. A wreszcie historyczne „Um-shmum", którym miał bagatelizować rezolucję ONZ Dawid Ben Gurion jako minister obrony Izraela w 1955 r. w ówczesnym sporze o Strefę Gazy. Czarnek nie jest więc nawet pierwszym politykiem, który tego zabiegu używa.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Nie mam fury, ale to jest obojętne,
Gonię, pędzę, gonię, gonię pengę
Pusher & Oska030, Moment, 2026 r.
penga – pieniądze (od szwedzkiego pengar)

eprasa.pl f60e042159

Café po wiedeńsku

Uwielbiane przez Wiedeńczyków tradycyjne kawiarnie w ostatnich latach stały się też atrakcją turystyczną miasta.

PODRÓŻE

Do Café Central chadzali Freud, Trocki i Zweig, a także Peter Altenberg – austriacki pisarz i członek wiedeńskiej bohemy. Ten ostatni podobno spędzał tu tyle czasu, że do lokalu doręczano mu listy i... pranie. Central to do dziś jedna z najpiękniejszych wiedeńskich kawiarni; sklepienia wspierają się na kolumnach ze zdobnymi kapitelami, przy stolikach z marmurowymi blatami stoją krzesła z oparciami z giętego drewna, a nad wszystkim unosi się duch CK monarchii. To charakterystyczny wystrój tradycyjnych wiedeńskich lokali kawowych.

Niestety, znam go tylko ze zdjęć. Gdy przychodzę do Café Central, przed wejściem zastaję długą kolejkę turystów. Na kawiarnianym fanpage'u czytam, że są tacy, którzy czekają w niej półtorej godziny – i twierdzą, że warto. W końcu – jak mawiają Wiedeńczycy – „są kawiarnie i jest Café Central". Ja jednak odpuszczam i ruszam do Hawelki. Nie mam większych nadziei – założony w 1936 r. lokal jest znacznie mniejszy od Central – ale okazuje się, że los mi sprzyja: czeka na mnie jeden ze stolików przy oknie. Już po chwili kelner w białej koszuli i czarnej muszce podaje mi kawę melange, czyli wiedeński odpowiednik cappuccino.

Nazajutrz odwiedzam **Café Schwarzenberg**, która reklamuje się jako najstarsza kawiarnia przy Ringu – XIX-wiecznym bulwarze okalającym starówkę. Choć wystrój pochodzi z czasów dwudziestolecia międzywojennego, to ma w sobie XIX-wieczny *charme*. Uwagę przyciąga elegancki mężczyzna czytający gazetę – stojak z prasą, na którym aktualne wydania wiszą wsunięte w drewniane uchwyty, to część kawiarnianej tradycji. Prócz niego widzę jednak głównie przyjezdnych.

Café Central, Hawelka, Schwarzenberg, a także Sperl, Landmann czy Sacher – wiedeńskie kawiarnie z XIX lub początku XX stulecia – stały się obowiązkowym punktem wycieczek do stolicy Austrii. Wiedeńska kultura kawiarniana w 2011 r. została wpisana na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO, a mieszkańcy są z niej bardzo dumni. – *Wiedeńska kawiarnia jest jak salon dla każdego* – powiedział mi kiedyś Nicolas Gräser z biura promocji miasta. – *Przychodzą tu studenci, emeryci, artyści* – wyliczał. – *Słowem wszyscy, którzy mają czas.* Podobną myśl wyraził wcześniej Stefan Zweig, nazywając wiedeńskie kawiarnie „demokratycznym klubem otwartym dla każdego za cenę kawy". Obecnie wynosi ona 5–7 euro i nie wydaje się wygórowana, gdyż – jak to określono we wpisie UNESCO – w tej cenie „konsumujemy czas i przestrzeń". Zabytkowe wnętrza i aura CK monarchii, wspierana działaniami biura promocji miasta, działają jak wabik na turystów, same lokale dodatkowo podbijają swą wiedeńskość np. wizerunkami cesarzowej Sisi zdobiącymi ciastka jej imienia.

Co ciekawe, egzotyzujący trik stosował założyciel jednej z pierwszych kawiarni w Wiedniu – Jerzy Franciszek Kulczycki. Ten wierny żołnierz Jana III Sobieskiego, świetnie znający język turecki, podczas oblężenia Wiednia wykazał się ogromną odwagą. Został nagrodzony licznymi dobrami, ale mógł też wybrać sobie łup z obozu pokonanych. Legenda głosi, że wybrał worki z kawą. Dobrze zaopatrzony, otworzył kawiarnię Dom pod Błękitną Butelką. By przyciągnąć klientów, kawę podawał w tureckim stroju. Niektórzy przypisują mu też pomysł dodania do kawy mleka. Jeśli tak było, Wiedeń swą najbardziej wiedeńską kawę zawdzięczałby Polakowi. Miasto odpłaciło się Kulczyckiemu za ten wkład w kulturę, nazywając w 1862 r. na jego cześć ulicę. Trzy lata później w narożniku domu przy Kolschitzkygasse postawiono mu pomnik. I tak Kulczycki do dziś serwuje kawę w tureckim stroju.

Dziś to wiedeńskie kawiarnie zdają się przeżywać oblężenie. Wiedeńczycy dzielnie dają jednak odpór przybyszom. Mój sąsiad z Café Schwarzenberg przeczytał gazetę od deski do deski przy jednym kieliszku wina; Café Korb przypomina niekiedy klub czytelniczy; w Hawelce widziałam dwie dziewczyny, które spokojnie grały w karty nad opróżnionymi już filiżankami. Zgodnie z miejscowym zwyczajem kelnerowi nawet nie przyszło do głowy, by je poganiać. Bo – jak głosi fama – w wiedeńskiej kawiarni nad jedną kawą można siedzieć godzinami. I być może właśnie to – bardziej niż zabytkowy wystrój – najlepiej oddaje ducha tej wyjątkowej kultury. ■

Julia Zabrodzka
– fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

© JULIA ZABRODZKA, ARCHIWUM PRYWATNE (2), BARTEK KIEŻUN

eprasa.pl f60e042159

KUCHNIA

Sery owiane dymem

Polsko-grecki mariaż to przepis na pyszną przekąskę. Wystarczy oscypek, spory kawałek bundzu i nieco bryndzy.

Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych: „Italia do zjedzenia" i „Neapol łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze.

Podhale przez stulecia nie było najbardziej przyjaznym miejscem do życia. Surowy klimat i jałowe gleby nie wspomagały rolnictwa, więc opierano się głównie na pasterstwie. Nadal można tu spotkać górali, którzy opiekują się stadami owiec. Pół roku spędzają na hali, wypasając zwierzęta, dojąc je nawet trzy razy dziennie i zbierając mleko, by dwa razy dziennie wyrabiać bundz i oscypki.

Kiedy wszedłem do bacówki, owce były już po pierwszym dojeniu. Chata powoli wypełniała się dymem. Nad ogniskiem wisiał miedziany gar pełen mleka. – *Najpierw musimy je przecedzić* – usłyszałem – *żebyś nie znalazł potem w serze kawałków liści albo kwiatów z górskiej hali. Teraz można zabrać się za ser. W wielkim kotle ogrzewamy mleko do temperatury ludzkiego ciała* – tłumaczył mi baca – *a potem dodajemy podpuszczkę*. Zamieszał wielką chochlą. – *Teraz będziemy mieć z godzinę przerwy* – poinformował. Trzeba poczekać, aż pojawi się skrzep serowy. Tu nie ma żadnych nowoczesnych urządzeń, nawet termometru. Wystarczy wsunąć dłoń w gorące mleko.

Gdy pojawił się skrzep, górale szybko odciskali go z nadmiaru serwatki. – *Chcesz trochę? Nazywa się żentyca* – zagaił gospodarz. – *Jest bardzo zdrowa*. Popijałem nieufnie i powoli, ale z coraz większym zainteresowaniem, bo intensywny smak był zaskakująco przyjemny. Żentyca najwyraźniej była testem. – *Mało komu smakuje* – powiedział jeden z serowarów – *ale naprawdę jest zdrowa i świetnie robi na kaca*.

Wielkie serowe kule górale muszą formować w gorącej wodzie, inaczej mleczna masa traci elastyczność. Dłonie robią się czerwone od temperatury. Po chwili baca wyciągnął pięknie rzeźbione drewniane pierścienie z wiadra z solanką i zacisnął je na serze. To one odpowiadają za charakterystyczne wzorki na serowych wrzecionach.

Gotowe oscypki na 24 godziny zanurza się w solance, a później umieszcza gdzieś pod dachem bacówki, by owiewane dymem z ogniska wędziły się i nabierały smaku.

Jednocześnie powstawał inny ser, miękki, świeży i delikatny, czyli bundz. Proces produkcji jest podobny, ale skrzepowi nie nadaje się specjalnego kształtu, tylko przerzuca się go po krótkiej kąpieli w gorącej wodzie na kawałek płótna, by odciekał. To ser idealny na śniadanie. Po chwili miałem w rękach kawałek bundzu i tłusty placek ziemniaczany (tzw. moskole), a do tego kieliszek śliwowicy. Na trawienie.

Kupiłem od bacy jednego dużego oscypka, spory kawałek bundzu i nieco bryndzy. Część miałem zamiar zjeść z żytnim chlebem i olejem rzepakowym, ale nadal miałem spory zapas. Wpadłem na to, by upiec z nich grecką tiropitę, czyli słone ciastka nadziewane serami i ziołami, które regularnie wcinałem na śniadanie, mieszkając w Atenach. Taki polsko-grecki mariaż wydawał się szansą na pyszną przekąskę. Nie ukrywam, miałem nadzieję, że w lodówce czeka na mnie ciasto filo. Czekało. ■

Tiropita

Składniki na 16 ciastek:
- kilka arkuszy ciasta filo
- 400 g bundzu
- 150 g oscypka
- 100 g bryndzy
- 2 jajka
- pęczek koperku
- pęczek pietruszki
- nieco mięty
- sól, pieprz

Dodatkowo: 150 g roztopionego masła

- Bryndzę kruszymy do miski. Bundz kroimy w niedużą kostkę. Oscypek ścieramy na dużych oczkach tarki. Mieszamy wszystko delikatnie. Dodajemy posiekane zioła i jajka. Doprawiamy pieprzem i solą. Mieszamy jeszcze raz!
- Cieniutki arkusz ciasta dzielimy wzdłuż na cztery paski szerokości ok. 10 cm. Jeden z nich smarujemy roztopionym masłem i nakładamy na niego drugi pas. Pasy nie muszą być idealne – i tak wszystkie niedoróbki, niezbyt proste cięcia czy dziurki w cieście przykryją się podczas składania.
- Na końcu każdego z pasów układamy nieco sera. Składamy, chwytając za prawy narożnik, i zawijamy do lewego boku, by powstał trójkąt. Zawijamy na przemian, raz przez przyprostokątną, raz przez przeciwprostokątną (matematyka z podstawówki się przydaje!) trójkąta. Kto nie wie, niech wrzuci hasło w Google. Pomoże!
- Efektem końcowym ma być trójkątne ciastko wypełnione serowym farszem.
- Gotowe smarujemy masłem i układamy na blasze do pieczenia. I tak samo z kolejnymi ciastkami.
- Pieczemy na złoto w 190 stopniach.

eprasa.pl f60e042159

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Ślad węglowy wojny

Bilans ofiar i zniszczeń wojny na Bliskim Wschodzie jest tragiczny, ale to niejedyne jej skutki. „To także toksyczna bomba z opóźnionym zapłonem, która zatruwa glebę, wodę i powietrze" – pisze na polityka.pl Piotr Rzymski, biolog środowiskowy i medyczny. Jednym z zagrożeń jest tzw. czarny deszcz po bombardowaniach instalacji naftowych. To dlatego mieszkańcom Teheranu doskwierały bóle głowy i pieczenie w gardle. Te i inne skutki wojny Irańczycy będą odczuwać przez wiele lat.

Duńczycy byli gotowi

Dania poważnie brała pod uwagę desant Ameryki na Grenlandię – wynika z dziennikarskiego śledztwa, którego rezultaty właśnie zostały opublikowane. Duńskie wojsko wysyłało na wyspę worki z krwią i przygotowywało się do wysadzenia pasów startowych, a rząd w Kopenhadze zabiegał zawczasu o poparcie sojuszników w Europie. „Nikt w Danii nie wierzy, że to koniec awantury o Grenlandię. Przeciwnie, wszyscy przeczuwają, że Trump wróci do tematu", pisze w naszym serwisie Mateusz Mazzini.

Naga prawda o AI

AI ma różne chwalebne zastosowania, ale zdrożne niestety też. Młodzież używa narzędzi do „rozbierania" fotografii (fachowo: nudyfikacji), żeby wyobrazić sobie nago niczego nieświadomych ludzi. Jak powszechne jest to zjawisko, zbadał dr Chad Steel z George Mason University. „Wyniki okazały się alarmujące", relacjonuje na polityka.pl Marcin Rotkiewicz. Aż 55,3 proc. nastolatków przyznało, że stworzyło samodzielnie co najmniej jeden taki obraz. Strach pokazać się w sieci.

„Piekło kobiet": mroczna fikcja?

W podkaście historycznym POLITYKI konfrontujemy z faktami kolejny popularny polski serial. „Piekło kobiet" opowiada o codzienności kobiet w II RP, m.in. o aborcji i ówczesnych relacjach matrymonialnych. Jak było naprawdę, wyjaśnia w rozmowie z Marcinem Zarembą prof. Katarzyna Sierakowska z Instytutu Historii PAN. Czy serialowa Helena Wróblewska w realiach dwudziestolecia mogłaby ciągle nosić spodnie? Czy pismo „Fortuna Amandi" swatające pary istniało naprawdę? Wyjaśniamy sumiennie.

O czytaniu bez kitu

„W czasach, kiedy nie mieliśmy nic, literatura była dla nas wszystkim", mówi reporterka Magdalena Grzebałkowska. Co czytała w dzieciństwie? Kiedy i dlaczego pochłonęła „Muminki" od deski do deski? I czy próbowała żuć kit? Odpowiedzi – również śpiewające – do usłyszenia i obejrzenia w podkaście „Polityka o książkach" Justyny Sobolewskiej. Zaproszenia dla Grzebałkowskiej domagali się nasi widzowie. Czytamy Wasze komentarze.

© SIPA/EAST NEWS, ANADOLU/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, ANNA AMAROWICZ, LESZEK ZYCH

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl f60e042159

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
Badania wstępne, okresowe i kontrolne
Orzeczenia sportowo-lekarskie
Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
blokady / neurolizy współczulne
blokady / neurolizy nerwów obwodowych
termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
Dietetyka kliniczna
Dietetyka sportowa
Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
Rehabilitacja ortopedyczna:
- *stawów rzepkowo-udowych*
- *stawów barkowych*
- *kręgosłupa*
- *stawów kolanowych*
- *kontuzji sportowych*
- *po zwichnięciach stawów*
- *urazów mięśni*
- *więzadeł*
- *po złamaniach*

Fizykoterapia
Masaż leczniczy
Diagnostyka funkcjonalna
Rehabilitacja w uroginekologii
Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl f60e042159

eprasa.pl.f60e042159